

# ANNE FRASIER

## ZEW NIEŚMIERTELNOŚCI



# Spis treści

TYTUŁOWA

CYTATY

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47

**ANNE ERASIER**

**ZEW NIĘŚMIERTELNOŚCI**

(Pale Immortal)

Tłumaczenie: Agata Kowalczyk



Wydawca światowych  
bestsellerów

2008

Wielu tam poszło niewielu wróciło spod sklepień Tuoneli, z Krainy  
Zmarłych bezwiecznych progów.

*Elias Lonnrot Kalevala*

Czy raczej ten, co pożegna wnet Białolicej śmierci chłód...

*John Keats Hyperion*

# Rozdział 1

Samochód przebiegał się przez ciemność nocy; dwoje pasażerów wpatrywało się w milczeniu w rozwijającą się przed nimi drogę.

Jechali już ponad dobę, tylko kilka razy zatrzymując się, by nabrać benzyny i skorzystać z toalety. Jedzenie ograniczało się do paczkowanych przekąsek branych z półek w kolejce do kasy.

Autostrada międzystanowa ciągnąca się wzdłuż pustyni, którą początkowo jechali, ustąpiła teraz miejsca wąskim jednopasmówkom, wijącym się wśród rozległych lasów i pastwisk Środkowego Zachodu, które ukazywały się ich oczom w snopach żółtego światła reflektorów. Krajobraz stawał się obcy.

Przynajmniej dla Grahama Yatesa, który przywykł do milionów gwiazd i nieba rozciągającego się po horyzont. Jego oczy nie mogły się przyzwyczaić do wzgórz zasłaniających niebo, do krętej drogi, która ukrywała to, co leżało tuż przed nimi, do mgły zalegającej w dolinach.

Okno pasażera było uchylone; przesycający powietrze zapach przypominał Grahamowi tropikalny las, który oglądał kiedyś w muzeum nauki. Albo kubeł z kompostem w jednej ze szkół, do których chodził. Gnijące rośliny i mokra ziemia.

Daleko jeszcze?

A może są już prawie na miejscu?

Chciał zapytać, ale ona i tak by nie odpowiedziała. Nie odezwała się do niego słowem, od kiedy wyjechali z Arizony. I dobrze. Wolał milczenie od wrzasków.

Sekundę po tym, gdy wyłączała wycieraczki, szyba pokrywała się mgiełką, w której Graham w końcu rozpoznał rosę. Nie można było się jej pozbyć. Śmieszna sprawa. Po prostu pojawiała się na nowo.

Graham wymyślił plan. Miał mnóstwo czasu na myślenie - kiedy już doszedł do siebie po niezłym haju. Gdy dojadą na miejsce, ucieknie.

I to ma być plan? To żaden plan.

Ogłuszyć ją i ukraść samochód – to byłby plan. Ale Graham nie miał w sobie dość agresji. Nawet po tym wszystkim, co mu zrobiła, nie potrafiłby jej uderzyć. A zresztą, znał ją – gdyby dostała, na pewno wpadłaby w szal. Naskoczyłaby na niego, plując i sycząc. Sytuacja była wystarczająco zła bez takich atrakcji.

Nigdy nie rób niczego, co jeszcze bardziej pogorszy sytuację...

Nie bał się; powtarzał to sobie w duchu z łomoczącym sercem. Nawet śmierci, o której sporo myślał ostatnio, jeszcze zanim ona zaciągnęła go do samochodu. Ale który nastolatek kilka dni przed szesnastymi urodzinami nie myśli o śmierci?

Świadomość, że mógłby umrzeć, była jedną z niewielu rzeczy, które przynosiły mu pociechę. Oznaczała, że jest jakaś droga ucieczki. Dopóki się pamiętało, że śmierć tylko czeka, wiedziało się, że to wszystko może się skończyć.

O czwartej piętnaście nad ranem przyjechali do Tuoneli w Wisconsin.

Ich samochód był jedynym na pustych ulicach. Żaluzje i zasłony w domach szczelnie zasłaniały okna. Wszyscy mocno spali i nie mieli pojęcia o dramacie rozgrywającym się tuż za ich drzwiami.

Tak cicho.

Kompletna martwota. Zupełnie jakby nikt tu nie mieszkał.

Straszono go Tuonela, od kiedy pamiętał.

„Jak nie będziesz grzeczny, odeślę cię do Tuoneli. Przecież nie chcesz jechać do Tuoneli, prawda?”

Groźbę zawsze wypowiedano tonem, który sugerował najgorsze. Tuonela była złym miejscem. Tuonela była strasznym miejscem. Tuonela była jak troll pod mostem.

W zeszłym roku widział wypadek samochodowy. Naprawdę fatalny wypadek. Człowiek w środku nadział się na kolumnę kierownicy. Graham nie mógł przestać się gapić. Tuż przed śmiercią mężczyzna otworzył oczy i spojrzał prosto na niego.

Właśnie taka zawsze wydawała mu się Tuonela. Była jak coś przerażającego, od czego nie da się oderwać oczu. Ale teraz, kiedy już tu dotarli, miasto nie dorastało do koszmarnych wyobrażeń Grahama. To jest Tuonela? – miał ochotę zapytać.

Gdyby był starszą panią, nazwałby ją uroczą. Może staroświecką.

Przypominała mu wioskę z kolejki elektrycznej, którą bawił się jako dziecko. Nie jego wioskę, ale wioskę sąsiada. Jakiegoś świra, który nosi czapkę kolejarską i ma piwnicę pełną kolejowych gadżetów.

Zatrzymali się przed ciemnym domem; do werandy i frontowych drzwi prowadził prosty chodnik. Dwie słabe latarnie rzucały niebieskawy blask. Graham ledwie rozróżniał gałęzie rozłożystych drzew ponad dachem i coś, co wyglądało jak czarne, bezkształtne krzaki zaśmiecające ogródek otoczony niskim płotem.

Nie zamierzał dać jej satysfakcji oglądania jego łez. Nie zamierzał nawet na nią spojrzeć, bo właśnie tego chciała. Chciała, by płakał i błagał, i obiecywał jej, że będzie grzeczny. Że przeprasza.

Grali w to już nieraz, ale on miał dość tej gry.

Złapał szelki swojego wielkiego plecaka, otworzył drzwiczki pasażera i wypadł z samochodu, zatraskując je za sobą. Rozległo się szczekanie psa. Było jak głuchy, odległy krzyk, pełen rezygnacji, dobiegający z innego świata.

Nim zdążyła wysiąść za nim, Graham ruszył chodnikiem w stronę domu. Za jego plecami ryknął silnik, gdy wdepnęła pedał gazu do samej podłogi. Czuł jej złość buchającą z ciasnej puszkii samochodu. Była wściekła, że nie błagał.

Spojrzał.

Nie mógł się powstrzymać.

Powoli odwrócił głowę; zobaczył, jak stary oldsmobile odbija od krawężnika, jak pędzi ulicą. Błysnęły czerwone światła hamulca, gdy samochód z piskiem pokonał zakręt i zniknął z widoku.

Graham nasłuchiwał, aż odgłos silnika umilkł.

Wróci?

Zawsze wracała.

Uciekaj! Kryj się!

Znów spojrzał na dom.

Teraz, gdy podszedł bliżej, gdy jego oczy przywykły do ciemności, widział, że dom jest niski i rozłożysty. W ogóle nie znał się na domach, ale ten w niczym nie przypominał budynków w Arizonie. Dostrzegął surowy tynk i ciemne, drewniane belki, a na górze dwa małe okienka w czymś, co wyglądało na poddasze.

Uciekaj! Wiej! Co z twoim planem! Pamiętasz swój plan?



Ale dokąd mógłby pójść? Nie miał pieniędzy. Skręcało go z głodu. Nie spał od czterdziestu ośmiu godzin. Było mu zimno.

To wszystko jego wina. Złamał zasady. Szlajał się całą noc, pijąc i paląc trawkę. Zasłużył na karę.

Nie na taką. Nareszcie był dość dorosły, by zrozumieć, że żadne dziecko na to nie zasługuje.

Przez całe życie go oskarżano, że koloryzuje, nawet kłamie. Ale on zawsze opisywał wszystko tak, jak to widział. Jeśli to się nazywa kłamstwem, to był kłamcą.

Zbliżył się do domu. Wszedł po drewnianych stopniach; jego kroki rozbrzmiewały echem. Powietrze było gęste, jakby oddychał wodą. Znow uderzyły go zapachy: wilgotnej ziemi i bujnych roślin.

Uniósł rękę, ale zawahał się z palcem kilka centymetrów od guzika dzwonka, czując łomotanie serca w piersi i w głowie. Piekło też miało drzwi. Wiedział to dobrze. A jeśli wyszło się z jednego piekła, co mogło człowieka powstrzymać przed wejściem do następnego?

Ale co innego mu pozostało? Był dwa tysiące kilometrów od wszystkich, którzy mogliby mu pomóc.

Jego mózg nie działał. Nie potrafił myśleć. Nie umiał zdecydować, co ma zrobić. Dawno już zostawił za sobą łzy i rozpacz. Teraz marzył tylko o łóżku.

Prześpij się. Zdobądź jakieś jedzenie. Najpierw się przekonaj, jak tutaj będzie. Sprawdź, czy aż tak źle, jak cię straszyla. Potem zobaczysz.

Obraz wypadku samochodowego znow rozbłysł mu w głowie. W oczach tego człowieka było przerażenie. Facet widział już drugą stronę.

Graham nacisnął guzik. Kiedy nikt nie otworzył, zapukał. Z początku cicho, potem mocniej. Dwie minuty później podszedł do okna, oparł dłonie na szybie i spróbował zajrzeć do środka.

## Rozdział 2

Wąskie ulice wybrukowane kostką lśniły od rosy, gdy Evan Stroud wracał do domu z dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie płaszcza, z kołnierzem podniesionym dla osłony przed wilgotnym wiatrem. Czarne niebo wisiało nad jego głową, bez jednej gwiazdy czy skrawka księżyca.

Był przyzwyczajony do długich spacerów w środku nocy. Noc to jedyna pora, kiedy czuł się prawie normalnie.

Spojrzał na zegarek i stwierdził z niemałym zdziwieniem, że już niedługo zacznie świtać. Zdarzało mu się już przedtem, że nie potrafił określić, gdzie podziały się całe godziny. Czyżby zaczynało się to zdarzać coraz częściej?

Wspinał się dalej stromym chodnikiem prowadzącym w górę z rzecznej doliny.

Miasto Tuonela posadowione było na zboczu góry; wysokie wiktoriańskie domy przywarły do skał i urwisk, jakby bały się głębiej zapuścić fundamenty.

Evan niechętnie wychodził z domu od czasu włamania, ale w końcu uznał, że nie będzie rezygnował z tych kilku godzin wolności tylko dlatego, że ktoś żywił niezdrową ciekawość na temat jego osoby.

Czasami myślał, że powinien wyprowadzić się z Tuoneli. Ale dokąd miałyby pójść? Tutaj wszyscy już do niego przywykli. Nie musiał niczego wyjaśniać i większość ludzi go akceptowała. Może i był dziwadłem, ale swojskim dziwadłem.

Z początku nie zauważył, by czegoś brakowało po włamaniu. Potem, stopniowo, zdał sobie sprawę, że niektóre przedmioty nie zapodziały się, ale zwyczajnie zniknęły. Nie mógł znaleźć szczotki do włosów. Nigdzie nie było jego ulubionej czarnej koszulki. A kubek, z którego codziennie pił kawę? Też wyparował.

Wykradli kawałki jego samego. Intruz, czy intruzi, nie został złapany, nie znaleziono żadnych podejrzanych odcisków palców.

Mieszkał w Tuoneli przez całe życie, ale nagle zaczął odnosić

wrażenie, że wszyscy wpadli na ten sam pomysł: „Zacznijmy prześladować Evana Strouda”.

Publikacja jego książek zwykle wywoływała niewielkie zainteresowanie, które szybko gasło i umierało. Ale ostatnia pozycja, zbiór historycznych faktów, opowieści i spekulacji na temat starej Tuoneli, sprowokowała następnych świrów.

Byli tacy, którzy po prostu pukali do jego drzwi i pytali, czy mogą go odwiedzić. Czy mogliby dostać autograf w książce. Albo czy mogliby się z nim sfotografować. Ale inni węszyli, a nawet robili zdjęcia z ukrycia i umieszczali je potem w Internecie, z idiotycznymi podpisami w rodzaju „Stroud robiący zakupy w ciemnych delikatesach”. „Stroud w swoim ogródku o trzeciej nad ranem!”

Zdjęcia z ogródka były niewyraźne, przedstawiały jakąś nierozpoznawalną postać kroczącą przed siebie i oglądającą się przez ramię w słynnej, przygarbionej pozie Bigfoota. Evan uznawał, że to może być on, ale nie sposób było tego stwierdzić, więc czym się tu przejmować? Po prostu jakaś zamazana plama na spacerze. Ale już sama niejednoznaczność zdawała się dodawać tym zdjęciom wiarygodności.

Już to było wystarczająco przykre. Ale w końcu nieproszeni goście, jak ci z przedwczorajszej nocy, postanowili się włamać. Chcieli dowodu, że Evan jest tym, za kogo niektórzy go uważali. Wampirem.

Skręcił za róg, w ulicę prowadzącą pod jego drzwi. Podeszwy butów stukały głucho. Gdy dostrzegł swój dom, zszedł z chodnika na pasek trawy obok krawężnika. Co za bzdura: żeby człowiek musiał się podkradać do własnego domu. Ale złodzieje często wracali. Chciał ich złapać na gorącym uczynku.

Usłyszał jakiś dźwięk. Ktoś był na werandzie; pochylony, majstrował przy oknie.

Evan rozpiął swój długi płaszcz i sięgnął pod połę; jego palce dotknęły rękojeści pistoletu, który nosił od czasu włamania. Z początku myślał, że przesadza z tą bronią ale teraz cieszył się, że ma ją przy sobie.

Lampy na jego ulicy różniły się od reszty latarni Tuoneli. Dawały niebieskie jarzeniowe światło, które nie zawierało szkodliwego

promieniowania ultrafioletowego. W blasku tych niebieskich latarni Evan dostrzegł, jak dzieciak – nastolatek o złocistych, kręcących się dziko włosach, prostuje się i odwraca od okna, by spojrzeć na niego z przerażeniem.

Chłopak uniósł rękę, jakby chciał osłonić się od ciosu. Albo kuli.

Evan przypomniał sobie o pistolecie i westchnął. Szybko schował smitha & wessona z powrotem do kabury pod pachą ale nie zapiał zatrzasaku.

Praktykant na wampira.

- Wróciłeś po więcej? – zapytał groźnie.

To było pogwałcenie jego sanktuarium, jedyne miejsce, w którym czuł się bezpiecznie. Ale co mógł zrobić? Zbudować trzymetrowe ogrodzenie z drutu kolczastego? Już i bez tego czuł się wystarczająco wyobcowany ze świata.

- Czy to ty jesteś idiotą, który włamał się tu przedwczoraj? Zapomniałeś czegoś?

Chłopak nie odpowiedział. A może Evan nie dał mu szansy. Później, kiedy odtwarzał w głowie ten incydent, zadawał sobie takie pytanie.

- Nie jesteś w tym zbyt dobry, co? – rzucił ze złością. – Trzeba było przyjść w ciągu dnia. Kiedy spałem w trumnie. Nic nie wiesz o wampirach?

Szczeniak zawrócił na pięcie, pochylił się i zeskoczył z werandy. W trzech susach przebił się przez kępę krzaków i wypadł poza zasięg światła latarni.

Evan nie zamierzał dać mu uciec tak łatwo. Przełączył się z wizji na fonię; nasłuchując, jak chłopak z trzaskiem przedziera się przez zarośla, ruszył w ciemność, podążając za odgłosami ruchu.

Miał przewagę, znał teren. I całkiem nieźle widział w nocy – był to dowód na to, że człowiek potrafi się przystosować i zrekompensować inne fizyczne ułomności. Będzie miał przynajmniej satysfakcję, że porządnie nastraszył tego gnojka.

Przeskoczył przez niskie ogrodzenie, łopocząc połamami płaszcza. Zatrzymał się, by sprawdzić kierunek. Z prawej dobiegł go odgłos stóp deptających suche liście w zagajniku na wschód od jego domu. Popędził za intruzem.

Od paru dni z przerwami padał deszcz. Nasiąknięta ziemia próbowała wessać jego buty, zedrzeć mu je z nóg. W oddali usłyszał plusk.

Z trudem wyłowił w ciemności sylwetkę chłopaka, usiłującego wydostać się z koryta strumienia. Ześlizgiwał się, zjeżdżał, ale w końcu wskoczył na brzeg i zniknął mu z oczu. Sekundę później Evan usłyszał okrzyk przestachu i odgłos ciała padającego i turlającego się po ziemi przy akompaniamencie trzasku łamanych gałązek i szelestu krzaków.

Brodząc w wodzie, pokonał strumień i wspiął się na stromy brzeg. Chłopak zbierał się już z ziemi. Zanim jednak zdążył dobrze stanąć na nogi, Evan pokonał krótki dystans i rzucił się na niego. Dysząc ciężko, przycisnął gówniarza do ziemi i przygwoździł plecy kolaniem, wykręcając jedną rękę do tyłu, między łopatki.

- Mógłbym cię teraz zabić - powiedział. - Tego chcesz? Mógłbym wyssać z ciebie krew do ostatniej kropli.

I zemleć twoje kości, żeby upiec sobie chleb. Żadnej odpowiedzi. Evan przycisnął mocniej.

- Jesteś członkiem Nieśmiertelnych? To oni cię przysłali? To ma być jakaś inicjacja?

Nieśmiertelni byli bandą dzieciaków, które nazwały swój gang na cześć dawnego mieszkańca Tuoneli, Richarda Manchestera alias Nieśmiertelny, terroryzującego miasto i mordującego jego mieszkańców. Niektórzy twierdzili, że Manchester zabił nawet sto osób, aby wypić ich krew i wykąpać się w niej. W panice, jaka wtedy zapanowała, w trakcie masowego exodusu z tak zwanej Starej Tuoneli, zagubiły się dokumenty, więc tak naprawdę nikt nie znał liczby ofiar.

- O czym ty mówisz, zboku?

Chłopak trząsał się ze strachu. Ale nazwał go zbokiem. Evan nie mógł odmówić mu odwagi. Albo głupoty. Rozluźnił chwyt.

Czyżby usłyszał szloch? Gówniarz płakał? Evan puścił nadgarstek chłopaka i zdjął kolano z jego kręgosłupa.

- No już. Nic ci nie będzie.

- Wal się.

Nastolatek uniósł umazaną błotem twarz i przerażone oczy.

Usiłował udawać chojraka. Choć biegł, jakby go diabli gonili, i mocno się szamotał, wyglądał dość wątle.

Evan poczuł się głupio. Jakby to on zrobił coś złego.

Ten szczeniak buszował wokół jego domu, przygotowywał się do włamania -prawdopodobnie po raz drugi - a to Evan nagle poczuł się jak gnojek.

- Chodź ze mną do domu. Znajdziemy ci jakieś suche ubranie i załatwimy tę sprawę. Zadzwoń do rodziców i poprosisz, żeby po ciebie przyjechali.

- Evan postanowił, że nie zawiadomi glin, jeśli chłopak nie sprawi więcej kłopotu.

Gwałtownym ruchem dzieciak rzucił się do przodu, odepchnął go i szybko odskoczył do tyłu. Dopiero po sekundzie Evan zorientował się, że chłopak ma jego pistolet. I unosi go.

Do własnej skroni.

Evan dostrzegł w jego oczach zaciętą determinację; chłopak miał szczyry zamiar pociągnąć za spust.

Czas zwolnił.

*Tyk, tyk, tyk.*

Evan krzyknął - chyba. Nie był pewien. Wyrzucił nogę przed siebie, zahaczył stopą kostkę chłopca. Ten poleciał do tyłu i gruchnął bezwładnie o ziemię; dokładnie w tej samej chwili pistolet wypalił. Echo wystrzału odbiło się rykoszetem między wzgórzami.

Evan padł na kolana. Obejrzał chłopaka, szukając rany wlotowej, ale jej nie znalazł. Czy kula chybiła? Uderzył się w głowę? A może po prostu zemdlął?

Przycisnął palce do szyi dzieciaka. Choć jego twarz była blada jak u trupa, puls bił mocno i równo. Evan w myślach odtworzył całą scenę, próbując zrozumieć, co się właściwie stało.

Chłopak poruszył się. Otworzył oczy i Evan odetchnął z ulgą.

- Jezu Chryste, mały. Co ci odbiło?

Nastolatek nie wydawał się zdziwiony, że żyje. Żywy, martwy - niewiele go to obchodziło. To było oczywiste.

- Pan jest Evan Stroud? - zapytał w końcu.

- Tak.

- Mam dla pana wiadomość.

Jeśli taką, jaką Evan widział przed chwilą, to nie chciał o niczym wiedzieć.

- Jestem Graham.

- Graham?

- Będzie pan udawał, że nigdy o mnie nie słyszał? Ostrożnie dobieraj słowa. Nie miał pojęcia, kim jest ten dzieciak, ale nie chciał go znów sprowokować.

Nastolatek patrzył mu w oczy z bezpośredniością, na jąkanie było stać wielu dorosłych. Evan zauważył też, że noc zaczyna blednąć. Chłopak ponownie się odezwał.

- Twój syn - wyrzucił z siebie słowa, jakby smakowały zgnilizną. - Jestem twoim synem.

Evan usiadł na piętach.

Jakby dla podkreślenia tej rewelacji, gdzieś w oddali zawyły syreny. Evan słyszał, jak zbliżyły się i potem zaczęły oddalać, zmierzając ku centrum Tuoneli - w kierunku, z którego niedawno przyszedł.

## Rozdział 3

Syrena umilkła z ostatnim, urwanym skowytym.

Wilgotny wiatr dmuchał w kołnierz koroner Rachel Burton, stojącej na skraju skweru miejskiego w Tuoneli. Z rękami w kieszeniach patrzyła na nagie ciało ofiary, które leżało w płytkim rowie biegnącym równoległe do ulicy, niecałe dwa metry od pnia dużego klonu. O ile sobie przypominała, była to odmiana klonu, która na jesieni przybiera wspaniałą, jaskrawoczerwoną barwę. W tej chwili drzewo wypuszczało listki, choć był dopiero początek kwietnia. Ale dość tego. Dość odrywania na siłę myśli od koszmaru, który miała przed sobą.

Dziewczynę rzucono tu jak kupkę śmieci. Jej widok uświadomił Rachel, że choćby mieszkańcy Tuoneli nie wiadomo jak się starali, nie mogli ignorować swojej przeszłości, tak jak Londyn nie mógł ignorować Kuby Rozpruwacza.

Reflektory dwóch radiowozów i trzy latarki oświetlały ciało. Nikt się nie odzywał. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem było rytmiczne brzdęk, brzdęk, brzdęk metalowej skuwki o maszt flagowy na środku skweru. Chyba nikt nie wiedział, co ma robić. Rachel wyczuwała, że wszyscy na nią spoglądają. Widziała wiele ofiar, więc było naturalne, że czekali na jej wskazówki.

- Kto znalazł ciało? - zapytała.

- Byliśmy na patrolu - odparł młody funkcjonariusz. - Obeszliśmy skwer dwa razy, zanim je zauważyłem.

- Proszę pożyczyć mi latarkę.

Policjant spełnił jej prośbę. Podeszła kilka kroków bliżej, czując, jak zimna rosa przenika przez jej sportowe buty. Gardło ofiary było podcięte. Rachel oświetliła latarką ziemię wokół zwłok.

Ani śladu krwi.

Śmierć często była jedynym sposobem na wyrwanie się z Tuoneli. Rachel zauważyła to mniej więcej wtedy, kiedy poszła do podstawówki. Ale sama postawiła sobie za punkt honoru, by się stąd



wydostać. Gdy w dzieciństwie ludzie pytali ją, kim chce być, gdy dorośnie, zawsze odpowiadała, że lekarką nauczycielką albo pielęgniarką. „Ale nie tutaj. Chcę być gdzie indziej. Gdzieś daleko.” Dorosły zadający pytanie robił zakłopotaną minę i uznawał, że to jedna z tych dziwnych rzeczy, jakie wygadują dzieci. Ale Rachel mówiła poważnie. Trzeba walczyć z pokusą pozostania. Miała jeden cel: wynieść się z Tuoneli, gdzie pieprz rośnie.

Dotarła aż do Los Angeles. Dalej trzeba by już płynąć statkiem.

Po prostu jedź, dopóki nie skończy się ląd.

Była przekonana, że udało jej się uciec. Naprawdę tak myślała. Ale potem jej matka zachorowała, więc Rachel wzięła urlop, zostawiając posadę koronera, i przyjechała do domu, by pomóc ojcu. Kiedy mama umarła, Rachel zaproponowano łączone stanowisko okręgowego koronera i patologa sądowego. Było to niezwykle, ale zdarzało się, że jedna osoba piastowała oba stanowiska. Szczególnie w miejscu, gdzie rzadko ktoś umierał i w ogóle nie popełniano morderstw. I choć miała dopiero trzydzieści dwa lata i była jednym z najlepszych koronerów w okręgu Los Angeles, postanowiła zostać w rodzinnym mieście.

Prawdę mówiąc, rozpasana przemoc w L.A. zaczynała już ją męczyć. Ale chcieli ją z powrotem. I tam potrafiła się zdystansować. A to... ta potworność przed jej oczami... to było prawie jak odkrycie, że ma się seryjnego mordercę w rodzinie.

Co kilka tygodni dzwonił do niej dawny szef, by powiedzieć, że wszystko rozłązi się w szwach od czasu jej odejścia, i pytał, jak mógłby ją przekonać do powrotu. Wiedziała, że powinna jechać. Nawet jej ojciec zdawał się to rozumieć.

- Nie siedź tutaj dla mnie - mówił jej nieraz.

Ale nie tylko ojciec trzymał ją tutaj; samo miasto ją dopadło. Wmawiała sobie, że zostaje w Tuoneli, bo miło jest mieszkać w miasteczku, gdzie widuje się wyłącznie ofiary kraks samochodowych, wypadków na polowaniu i naturalnych zgonów.

A to dobre!

Oto miała przed sobą brutalne morderstwo, popełnione w sercu bodaj najbardziej sielskiej scenerii na świecie.

- Czy ktoś mógłby przynieść mój sprzęt z furgonetki? - poprosiła.

Włożywszy ochronny kombinezon i buty, sfotografowała ciało i ziemię wokół.

Jej ojciec, komendant policji Seymour Burton, stanął obok niej. Śmierdział papierosami, których rzekomo już nie palił.

- Nie zamordowano jej tutaj - stwierdził.

Jego cicha obecność dodała Rachel pewności. Bardzo niewiele osób umiałoby w takiej chwili zachować spokój, ale Seymour nie miał z tym problemu. Był jak James Dean, gdyby James Dean dożył siedemdziesiątki.

- Nie. - Rachel przyznała mu rację. - Ciało zostało tu porzucone.

- I stawiam, że przez amatora. To jego pierwsze morderstwo.

- Ale dlaczego zostawił ciało w środku miasta? - zapytała. - Zupełnie jakby chciał, żeby została znaleziona.

- Albo spanikował - odparł Seymour.

- Miejscowy? - Rachel dumiała głośno. - A może raczej ktoś przejezdny?

Stojący niedaleko funkcjonariusz przysłuchiwał się ich rozmowie.

- To musiał być przejezdny - oznajmił z przekonaniem. Seymour spojrzał na policjanta w swój typowy leniwy sposób.

- A to dlaczego? - zapytał, choć było oczywiste, że zna odpowiedź.

- Nikt stąd nie zrobiłby czegoś takiego.

Seymour przeniósł spojrzenie z policjanta na ciało. Przez chwilę nic nie mówił.

- Nigdy nie myślcie, że to nie mógł być przyjaciel czy sąsiad. Większość morderstw popełniają ludzie, którzy znają ofiarę. Naszym zadaniem jest dowiedzieć się, kto mógłby chcieć ją zabić. Zaczniemy od krewnych i znajomych, to będzie nasz punkt wyjścia. - W jego spokojnym i łagodnym głosie nie było nawet cienia protekcjonalizmu. Policjant przytaknął i spuścił głowę.

- Skończmy tutaj i zabierzmy ofiarę - poleciła Rachel. Przeszkadzało jej, że ta młoda kobieta leży naga w miejscu, gdzie wszyscy mogli ją widzieć. Obnażenie było zupełnie czymś innym w małym mieście, gdzie trudno o anonimowość. W L.A. nie czułaby potrzeby jak najszybszego przykrycia ciała.

- Czy ktoś ją rozpoznaje? - zapytał Seymour.

- Ja... mnie się zdaje, że chodzi... to znaczy, chodziła do szkoły z

moim synem - powiedział jeden z funkcjonariuszy. - Córka Masona i Enid Gerberów.

Rozległ się potwierdzający pomruk.

Rozmieścili wokół ciała ponumerowane znaczniki dowodów.

Trawa nie była zdeptana. Brak śladów opon.

Dwóch policjantów rozpostarło na ziemi obok ofiary plastikową płachtę. Na niej ułożyli worek na ciało. Rachel mocowała się już z niejednym zmarłym i wiedziała, że nie są zbyt chętni do współpracy. Gdy ofiara znalazła się już w worku, Rachel zasunęła zamek błyskawiczny i zabezpieczyła go plombą dowodową.

Dan, asystent Rachel, który pełnił w Tuoneli obowiązki śledczego kryminalnego, zaczął przeczesywać trawę odkurzaczem w poszukiwaniu najdrobniejszych śladów.

Rachel wyjęła ze swojego zestawu narzędzie wyglądające jak mała łopatką. Kucnęła obok miejsca, w którym leżało ciało, i posługując się łopatką, zaczęła skrobać i kopać. Kawałki trawy i ziemi umieszczała w woreczku na dowody.

- Czego szukasz? - zapytał Dan.

Rachel miała świadomość licznej widowni: policjanci stali półkolem, obserwując, czekali.

- Krwi.

- I...? - ponaglił ją Dan.

- Ziemia jest zbyt mokra, żeby coś stwierdzić.

- Ja się tym zajmę. - Dan pogrzebał w zestawie kryminalistycznym i wyjął plastikowy spray z luminolem, zwykle używanym w pomieszczeniach do ujawniania śladowych ilości krwi. Pewnie czekał długie miesiące, by wreszcie móc go użyć.

Spryskał kawałek ziemi, po czym wyjął małą lampę UV na baterie. Nic. Popsikał jeszcze trochę, znów zapalił lampę.

Wciąż nic.

Spojrzał na Rachel, bez słów przekazując jej niewesołe wnioski. Czarna grzywka przecinała jego czoło skośną kreską.

Dan był miejscowy. Poza dwoma latami praktyki w laboratorium kryminalistycznym w Madison, mieszkał w Tuoneli przez całe życie. Mimo że prawie dzieciak, rozumiał, co oznacza brak krwi. Każdy to rozumiał w mieście, którego nazwa oznaczała krainę zmarłych - w

miejscu, gdzie krążył kiedyś Nieśmiertelny.

Rachel usłyszała za plecami metaliczny trzask zapalniczki; gdy się odwróciła, zobaczyła, jak ojciec zaciąga się głęboko papierosem, z zatroskanymi, wpatrzonymi w przestrzeń oczami. Czy myślał o tym, o czym myślała ona?

Ani to, ani niedawna kradzież krwi ze szpitala, jeszcze niczego nie dowodzą, powiedziała do siebie w duchu. A poza tym nie była to odpowiednia chwila, by swoje niepokoje ubierać w słowa.

- Będę wiedziała więcej, kiedy zbadam ciało - odrzekła.

W zwykłych okolicznościach wpadłaby do mieszkania i trochę się ogarnęła. Napiłaby się kawy i może zjadła jakieś śniadanie, najpewniej w kawiarni Brzoskwinka, bo nie cierpiała gotować.

Ale nie miała najmniejszego zamiaru pokazywać się publicznie tuż po tym upiornym morderstwie. Ludzie zaczęliby się gapić. Zadawać pytania. Baliby się. A ona nie miała sposobu, by rozwiązać ich strach.

Najlepiej ukryć się w kostnicy.

# Rozdział 4

I o był senny koszmar każdego faceta.

Dzieciak stojący w twoim progu i nazywający cię tatą. Co gorsza, nie zrównoważony dzieciak, który właśnie próbował zastrzelić się z twojego pistoletu. Na twoich oczach.

Chłopak - Graham - siedział przy kuchennym stole i wcinał, jakby nie jadł od tygodnia. Evan uznał, że może go przynajmniej nakarmić.

Graham przebrał się w suche rzeczy. Umył ręce, ale na twarzy i kręconych włosach wciąż widniały ślady błota.

W przylegającym do kuchni salonie, za regałem służącym jako ścianka działowa, okna zasłonięte były grubymi, czarnymi storami. Pokój oświetlały zwykłe żarówki niskiej mocy. Evan był przyzwyczajony do półmroku; Graham zdawał się go nie zauważać.

Było naprawdę dziwne, że ktoś siedział przy jego stole, naruszał jego przestrzeń i wypełniał ją obcą obecnością, ale z pewnością jeszcze dziwniejsze było gościć tu nastolatka, który twierdził, że jest jego synem.

- Twoja matka... - zaczął ostrożnie Evan. Chciał wydobyć jakieś informacje, a jednocześnie bał się znów sprowokować chłopaka. Musiał jednak poznać bliższe szczegóły, jeśli ktoś miał twierdzić, że jest ojcem.

Graham uniósł oczy znad miski płatków. Grzbietem dłoni otarł mleko z ust.

- Lydia. Wszyscy mówią na nią Lydia. Lydia. Tak też myślał. Podsunął bliżej pudełko z płatkami, ale Graham pokręcił głową.

- I mówisz, że podrzuciła cię tu i odjechała? - zapytał Evan.

- Tak. Zawsze mi tym groziła. No wiesz. „Jak się nie poprawisz, będziesz mieszkał z ojcem”. Już kiedyś przejechaliśmy z połowę drogi.

I pomyśleć, że ten biedny chłopak nosił w sobie jakiś wyimaginowany obraz ojca, choć człowiek, którego za niego uważał,

nawet o nim nie pomyślał.

- Dlaczego tym razem było inaczej? - dążył Evan.
- Nie błagałem, żebyśmy wracali do domu.
- A gdzie jest dom?
- W Arizonie.
- Kawał drogi.
- Bitych trzydzieści godzin.

Wiele lat temu ta sama droga przyniosła Lydię Yates do Tuoneli, a potem ją zabrała. Lydia należała do tych dziewczyn, które sypiały z połową chłopaków z liceum. Ją i jej matkę przygnało do miasta któregoś dnia, kiedy Evan chodził do ostatniej klasy. Wszystkie chłopaki podkochiwały się w Lydii. Była piękna, a oni nie nauczyli się jeszcze, jak odróżniać ziarno od plew i dostrzegać wskazówki, że lepiej omijać ją z daleka. Matka Lydii zaczęła pracować jako barmanka w jednej z miejscowych spelunek. A Lydia prowadziła swoją małą działalność, kusząc kolegów z klasy darmowym alkoholem i seksem. Najprawdopodobniej miała poważne problemy psychiczne. Ale wtedy myśleli po prostu, że lubi to robić. Bardzo lubi.

To była pokusa, której żaden chłopak nie potrafił się oprzeć. Wiedzieli, że to złe, ale mówili sobie, że to tylko ten jeden raz...

Lydia zahipnotyzowała ich wszystkich, taka egzotyczna i podniecająca, a Tuonela rzadko widywała coś egzotycznego i podniecającego.

Kiedy okazało się, że jest w ciąży, jako ojca wskazała Evana.

W tamtych czasach jego rodzice nieźle stali finansowo, choć nie byli bogaci. Ojciec w policji, mama ciągnęła zastępstwa w szkole. Mniej więcej wtedy zdiagnozowano chorobę Evana. Dopiero potem rachunki za leczenie zaczęły pożerać ich oszczędności. Zaproponowali test na ojcostwo, ale Lydia odmówiła.

I nagle któregoś dnia dziewczyna i jej matka zniknęły. Po prostu spakowały się i wyjechały, a wiele osób, w tym Evan, doszło do wniosku, że ciąża była zmyślona.

Później Evan niewiele już o niej myślał, bo w tym czasie jego choroba rozpanoszyła się na dobre. Ich zbliżenie, utrata dziewictwa z kimś, kto nic dla niego nie znaczył, pozostawiły uczucie mdłości i

wstydu. Ucieszył się, że wyjechała.

Teraz, gdy o tym myślał, Lydia była dla niego znakiem milowym wyznaczającym koniec dzieciństwa i życia, jakie znał. Dziwne, że tak zupełnie zapomniał o jej istnieniu, aż do dziś.

Więc trzymała się swojej historyjki, że to Evan jest ojcem. Przynajmniej rozumiała konieczność wymyślenia jakiegoś wytłumaczenia na użytek chłopaka. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że spała z połową miasta i nie ma pojęcia, kto go spłodził.

Życie dziecka nie powinno być tak zabagnione.

Evan nie wiedział, jak podejść do tematu ojcostwa. Graham dopiero co próbował się zabić. Lepiej na razie niczego nie mówić. Zresztą, w ogóle nie umiał gadać z dziećmi, a szczególnie takimi ze skłonnościami samobójczymi.

Łyżka Grahama z brzękiem spadła na podłogę. Evan dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że chłopak śpi, z brodą na piersi.

- Chodź. - Evan złapał go za łokieć.

Pociągnął go przez salon, przez labirynt książek i dalej, korytarzem, do małej sypialni, której używał głównie jako składziku na rzeczy niemieszczące się gdzie indziej.

Wychował się w tym domu. Ten pokój był kiedyś jego sypialnią. Gdy matka zmarła, a ojciec przeszedł na wcześniejszą emeryturę i wyprowadził się na Florydę, Evan wykupił posiadłość. Dom wymagał sporo pracy i swego czasu Evan zamierzał przeprowadzić renowację, ale jakoś stracił zapał i pomysł remontu poszedł w zapomnienie, jak całe mnóstwo innych planów.

Dwuosobowe łóżko w kącie ugięło się pod ciężarem skórzanych, zabytkowych tomów i pudeł pełnych rękopisów, notatek i materiałów do dawnych i przyszłych książek. Pokój był duszny i zakurzony, wypełniony zapachem starej skóry i pleśniejącego, pożółkłego papieru.

Spojrzenie na wnętrze oczami Grahama uświadomiło Evanowi z nową wyrazistością, jak bardzo samotniczy tryb życia prowadzi. Nie miał jeszcze trzydziestu pięciu lat, a ten pokój wyglądał, jakby należał do jakiegoś starego ramola, który spędza dni na przekładaniu z miejsca na miejsce stert historycznych dokumentów,

zastanawiając się, gdzie podział się jego własny czas.

Gdy Evan odgruzował łóżko, chłopiec padł na materac, złapał poduszkę i przytulił do piersi. Po sekundzie już spał. Evan wygrzebał z szafy kołdrę, wyprostował nogi Grahama, przykrył go i wyszedł z pokoju.

Wróciwszy do kuchni, zaparzył sobie filiżankę herbaty i usiadł przy stole.

Czyżby Lydia znów zaczynała? Czy to była kolejna próba wyłudzenia pieniędzy? Czy przeczytała artykuł na jego temat, który ukazał się ostatnio? Wiedziała, że odniósł sukces?

Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił na policję, by sprawdzić, czy zgłoszono zaginięcie Grahama. Przecież równie dobrze chłopak mógł być uciekinierem.

- Będziemy musieli sprawdzić - wyjaśnił funkcjonariusz na drugim końcu linii.

Dało się słyszeć klikanie komputerowej klawiatury. - Nic mi tu nie wyskakuje.

Żaden Bursztynowy Alert<sup>[1]</sup> ani ogólnokrajowe powiadomienie. Na razie połączę pana z opieką społeczną. Tak czy inaczej, mamy do czynienia z nieletnim bez opieki.

Policjant przełączył Evana.

- Możemy go tylko zamknąć, dopóki nie dowiemy się, o co chodzi - wyjaśniła mu jakaś kobieta.

- Areszt? To chyba nie jest konieczne. Nie możecie znaleźć kogoś, kto go chwilowo przygarnie?

- Nikt nie zechce wziąć chłopaka w tym wieku, panie Stroud. Nie wiadomo, gdzie był i co robił. Czy pan mógłby go przechować, dopóki nie znajdziemy jego matki?

- Nie ma mowy.

- Więc wyślemy funkcjonariusza, który go od pana odbierze.

- Teraz?

- Ktoś powinien się zjawić w ciągu godziny.

- On śpi.

- Więc proszę dopilnować, by nie spał i był gotowy.

- Nie możecie poczekać, aż sam się obudzi? Jest wykończony.

Nastąpiła długa chwila ciszy. I w końcu:



- Oczywiście, panie Stroud. Coś za łatwo się zgodziła.

Evan niepokoił się, że Graham może spróbować innej metody samobójstwa, więc zaglądał do niego co chwila, przystając nerwowo w drzwiach sypialni.

Upewnił się, że oddycha.

Zupełnie nie jest do mnie podobny.

Prawda?

Nie, był podobny do Lydii. Do Lydii, nie do niego.

Zastanawiał się, jak musiało wyglądać życie chłopaka z taką matką jak Lydia. Co za popieprzona baba. Znów zagapił się na Grahama, szukając rodzinnego podobieństwa. Nie mógł go dostrzec. To nie był jego syn, powiedział sobie. To niemożliwe.

---

[1] System powiadamiania działający w 50 stanach, uruchamiany w przypadkach porwania dzieci (przyp. tłum.).

# Rozdział 5

Rachel Burton odcięła nożyczkami chirurgicznymi plombę, którą przyczepiła do worka z ciałem na miejskim skwerze.

Poprzednie prosektorium w Tuoneli znajdowało się w piwnicach szpitala. Kiedy prowadzony przez miejscową rodzinę dom pogrzebowy zakończył działalność, rada miejska kupiła nieruchomość w nadziei, że skusi patologa sądowego do pozostania w mieście na stałe. Gdy stanowisko zaproponowano Rachel, jedynym warunkiem, przy którym obstawała, był porządny system wentylacyjny. Ale „porządny” nie oznaczało „cichy”.

Nasunęła na twarz przezroczystą maskę.

Kolejnym punktem kontraktu był dach nad głową. Dom pogrzebowy mieścił się w rozłożystej, wiktoriańskiej budowli ze ścianami krytymi łuskowatym sidingiem w kolorze piernika, z wieżyczką i miedzianym szyldem, zaśniedziałym na zielono. Rachel zajęła drugie piętro. Lubiła mieszkać wysoko. Podobało jej się, że może patrzeć na całe miasto, szczególnie nocą kiedy paliły się światła. Cieszyło ją również to, że miała cały budynek dla siebie, nie licząc okazjonalnych pomocników. No i ciała, które wpadały z wizytą. Zaczęła zewnętrzne oględziny, dyktując opis do mikrofonu.

- Otarcia od sznura na kostkach. Rany cięte na nadgarstkach i tętnicy szyjnej.

Dziewczyna została już zidentyfikowana przez rozhisteryzowanych rodziców jako szesnastoletnia Chelsea Gerber.

Co za smutna historia. Tak nieprawdopodobnie smutna...

Po oględzinach i pierwszych spostrzeżeniach przyszła pora na dokładniejsze badanie.

Kiedy Rachel uczyła się w szkole medycznej, szybko zorientowała się, że reaguje na ciała zmarłych inaczej niż pozostali studenci. Niektórych kolegów z roku zwyczajnie odrzucało. Wielu stwierdzało, że śmierć pozostawia po swoich odwiedzinach tylko puste naczynie. Jak stary but, który ktoś kiedyś nosił.

Rachel odbierała to zupełnie inaczej...

Znalazła kilka prostych, ciemnych włosów z cebulkami, przylepionych do ciała. Gerber była blondynką. Rachel pobrała próbki tkanek i zrobiła zdjęcia, na bieżąco numerując wszystko i opatrując etykietkami.

Paznokcie i skórki u ich nasady pokrywała zaschnięta krew. Rachel wrzuciła obcięte skrawki do hermetycznego woreczka. Odłożyła cząłki na metalową tacę, stojącą obok jej łokcia, i ujęła dłoń dziewczyny.

Dłonie zawsze ją poruszały. Dłonie dzieci. Dłonie młodych ludzi. Starych. To nie miało znaczenia. Niosły osobisty przekaz.

Ta dłoń, jakby ponaglała, prosiła. Nawet po śmierci Chelsea Gerber zdawała się kurczowo trzymać życia.

Pół godziny po rozpoczęciu badania wewnętrznego Rachel znalazła potwierdzenie tego, co podejrzewała już na skwerze. Każda tętnica, każda żyła była płaska i biała jak tasiemiec. Chelsea została powieszona za kostki i wykrwawiona jak zarżnięta owca.

Rachel westchnęła ciężko i usiadła na taborecie, próbując zrozumieć swoje odkrycie.

Ten *modus operandi* był tak znajomy, że aż budził dreszcze. Pamiętała pewną starą sprawę, w której w grę wchodziło wykrwawienie i żądza krwi. Bardzo starą sprawę. Sto lat temu morderca znany jako Nieśmiertelny przemierzał ulice miasta duchów, zwanego Starą Tuonelą. Kiedy zapadał zmrok, dzieci zaganiano do domów. Szczelnie zamykano drzwi i okna. Niektórzy twierdzili, że Nieśmiertelny kąpał się we krwi, i ta krew płynęła ulicami, aż ziemia przesiąkła nią do cna.

Nawet kiedy straszliwe panowanie Nieśmiertelnego dobiegło końca, ludzie wciąż się bali. Jego śmierć przyszła za późno. Miazmat strachu puchł, aż ogarnął wszystkich. Wielu twierdziło, że ziemia jest przeklęta, więc zaczął się masowy exodus. Wszyscy, co do jednego, przenieśli się do nowego siedliska, osiem kilometrów od starego miasta. Lepsza lokalizacja, twierdzili. I ładniejsza - na skarpie, z widokiem na rzekę. Dlaczego w ogóle ktoś osiedlił się na starym miejscu, w takiej ciemnej dolinie? To nie miało sensu.

Udawajmy, że Stara Tuonela nie istnieje. Udawajmy, że zawsze

mieszkaliśmy tutaj, w nowym miejscu.

Choć upłynęło sto lat, wielu miejscowych wciąż wolało udawać, że Stara Tuonela nie leży tuż za przedmieściami miasta, gdzie łagodne skłony wzgórz kończyły się nagle, doliny stawały się mroczne i głębokie, a drogi zapętleły się ślepo. Ale dla Rachel Stara Tuonela była wciąż obecna, nie dało się jej zignorować. Czuło się ją, czuło się łączność między starym i nowym, niczym pępowinę, która nie została przecięta.

Wiele lat temu deweloper z Chicago kupił tereny Starej Tuoneli, planując przekształcić ją w kurort. Miejsce, gdzie zamożni ludzie mogliby uciekać z Chicago na weekend. Gdzie mogliby robić zakupy, jeść i spać w staroświeckich zajazdach. Kiedy jednak nie zdołał pozyskać inwestorów, wystawił tablicę „Na sprzedaż” i wyjechał, by zająć się nowym projektem. Znak „Na sprzedaż” wciąż tam stoi. Jedyne nadające się do zamieszkania dom był remontowany przez syna właściciela, którego ostatnio mocno doświadczyło życie i który potrzebował miejsca, by wylizać rany i trochę się pozbierać.

A współczesna Tuonela? Przyjeżdżali nowi, ale rzadko zostawali na stałe.

Z początku przyciągał ich urok brukowanych zaułków i ceglanych ulic, strzelistych wież kościoła i ciemnych zagajników. Ale miasto, na zewnątrz takie urocze, szybko okazywało się złowrogie, pełne tajemnic, co u obcych wywoływało niepokój, doprowadzało ich do obłędu. W mieście zalegała ciemność. Ta ciemność przemawiała do Rachel, przemawiała do ludzi, którzy czuli się tu jak u siebie.

Na przestrzeni lat organizowano kampanie, które miały natchnąć Tuonelę nową energią i życiem. Jesienne święto plonów. Parada Pierwszomajowa. Konkursy na najładniejszą wystawę sklepową, ożywiające ciemne, grudniowe dni. Wysiłki zawsze spełzały na niczym. A ostatnio zrodził się ruch na rzecz przemianowania Tuoneli – bo nazwa, która zaczęła żywot jako hołd dla fińskiej mitologii, zmieniła się w hołd dla szalonego mordercy. Ale zmiana nazwy nie mogła pomóc.

W powietrzu wisiała niewypowiedziana obawa, że nie należy świętować. Że zbyt nie zamieszanie może zbudzić coś, co powinno

pozostać uśpione.

Bzdurne przesady, westchnęła Rachel, wstając z taboretu i odwracając się, by wziąć aparat. Była osobą racjonalną. Racjonalni ludzie nie myślą w ten sposób. Ale racjonalizm czy przesady nie miały znaczenia w sprawie tego morderstwa.

Naśladownictwo jest najszczęśliwszą formą pochlebstwa. Co wzbudziło nową falę zainteresowania Nieśmiertelnym? Wydanie ostatniej książki Evana Strouda?

W mieście istniały dwa obozy: tych, którzy czuli się dumni, że miejscowy autor pisze o ich historii, i tych, którzy uważali, że lepiej by było, gdyby się nie odzywał. Że czerpie zyski z tragicznej przeszłości.

Za jej plecami rozległ się dźwięk, który zarejestrowała jakaś inna część jej mózgu, wyodrębniła go z hałasu wyciągu. Jak powietrze uciekające z płuc. Jak wstrzymany oddech, teraz nagle uwolniony.

Rachel obróciła się i ujrzała, jak głowa martwej dziewczyny powoli przekręca się w jej stronę, z szeroko otwartymi, wpatrzonymi w nią oczami. Dłoń, którą Rachel trzymała przed chwilą, wyciągnęła się ku niej z błagalnym gestem. Rachel zachłysnęła się ze strachu. W panice zrobiła krok do tyłu. Twarz zmarłej zmieniła się, stała się twarzą innej kobiety, tej, którą Rachel pamiętała z dzieciństwa.

Victoria.

Ręka Rachel drgnęła spazmatycznie i wywróciła tacę, zrzucając stalowe narzędzia na podłogę. I nagle wizja zniknęła, jakby się nigdy nie pojawiła. Oczy Chelsea Gerber były zamknięte, podbródek wycelowany w sufit, szyja oparta na podstawce, tak jak ułożyła ją Rachel.

Rachel przebiegła na oślep przez salę, wypadła przez ciężkie, uchylne drzwi. Na zewnątrz, w korytarzu, osunęła się na podłogę z plecami przy ścianie, z falującą piersią, z łomoczącym sercem. W jednej chwili przypomniała sobie, dlaczego została patologiem.

By stawić czoło swoim lękom.

Jedyny sposób, by je pokonać, to wyjść im na spotkanie. Jako dziecko widywała ludzi, którzy tak naprawdę nie istnieli. Rodzice nie przejmowali się zbyt jej towarzyszami zabaw, dopóki nie

zdali sobie sprawy, że nie chodziło o zwykłych, swojskich wymyślonych przyjaciół. Rachel spędzała czas z nieżywymi. Z ludźmi, którzy niedawno umarli w Tuoneli.

Gdy wyniosła się z miasta, nieboszczycy przestali ją odwiedzać. I w miarę upływu czasu nauczyła się racjonalizować swoje wizje i złudzenia, zrzucąc je na karb jakiegoś zapomnianego traumatycznego przeżycia z dzieciństwa. Musiała widzieć gazetowe nekrologi ze zdjęciami. Musiała przeczytać nazwiska albo słyszeć rozmowy rodziców. Wszystko dało się z łatwością wytłumaczyć, gdy człowiek się nad tym zastanowił.

Ale przecież dziewczyna w sali za jej plecami była martwa. Bardzo martwa. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. A to znaczyło, że znów wróciło.

## Rozdział 6

Graham obudził się skołowany, zdezorientowany. Było ciemno, a jego serce łomotało, jak zawsze, kiedy miał sen o spadaniu.

Cofnął się myślami w czasie i gdy pamięć wróciła, ogarnęła go fala czarnej rozpacz. Wyskoczył z łóżka i zaczął szukać po omacku, aż znalazł włącznik; gdy go nacisnął, rozbłysło słabe światło, ukazując niewielkie pomieszczenie.

Był w jakimś składziku czy może gabinecie zapchanym książkami, których nadmiar, niemieszczący się na półkach, piętrzył się w stertach na podłodze. Okna zakrywał czarny materiał, który wyglądał, jakby został przyklejony do szyb. W ustach miał niesmak i czuł, że śmierdzi. Od dawna nie brał prysznic, a ostatnio nieźle się pocił...

Otworzył drzwi i w głębi korytarza zobaczył łazienkę.

Z konieczności stał się oportunistą. Wiedział, że większość rzeczy jest ulotna i że trzeba korzystać, z czego się da, jeśli pojawia się tylko taka możliwość.

Wyciągnął pomięte, ale czyste ciuchy z plecaka, cicho przemknął korytarzem, wszedł do łazienki, zamknął drzwi i rozebrał się szybko.

Nie myśl, nakazał sobie, kiedy stał już pod prysznicem. To nie pora na myślenie. Musiał pozostać silny, twardy.

Wyszorował się i umył włosy. Ciepła woda była wspaniała, kojąca. Gdy wytarł się i włożył zmietolone džinsy i czarny T-shirt z długimi rękawami, otworzył drzwi łazienki, wypuszczając chmurę pary.

Evan Stroud czekał na niego w salonie, stojąc koło drzwi wejściowych z kubkiem kawy w dłoni.

Strasznie blady.

Jak wampir, za którego podawał się ostatniej nocy.

„Trzeba było przyjść w ciągu dnia. Kiedy spałem w trumnie. Nic nie wiesz o wampirach?”

Po prostu chciał go nastraszyć. Graham wiedział, że Stroud cierpi

na chorobę o nazwie porfiria; nadwrażliwość na słońce. Oglądał w telewizji film o tej chorobie. O dwóch dziewczynkach, które mogły się bawić na dworze tylko w nocy.

Graham nigdy nie myślał o tym, jak biała może się stać skóra człowieka, który nie przebywa w dzień na dworze. Który nie przechodzi nawet z domu do samochodu, kiedy jest jasno.

- Nie miałem zamiaru zasnąć - usprawiedliwił się Graham, wciąż lekko przymulony. Przyćmione światło nie pomagało się obudzić.

- Zadzwoń do opieki społecznej - powiedział Stroud. - Niedługo ktoś tu po ciebie przyjdzie.

- I co potem?

- Odeślę cię do mamy albo znajdą ci jakiś inny dom. Graham fatalistycznie pokiwał głową. Mógł się spodziewać.

Kiedy był mały, wyobrażał sobie spotkanie ze swoim tatą. W jego marzeniach tato ronił łzy radości z powodu wzruszającego spotkania.

- Nie wracam do niej - oświadczył Graham. - Niedługo skończę szesnaście lat. Uzyskam prawo do decydowania o sobie. Niektóre nastolatki tak robią. - Nie wiedział jak, ale czytał o tym. Trzeba znaleźć prawnika i podpisać jakieś dokumenty. - Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Nie dają prawa do decydowania o sobie nastolatkom, które stanowią zagrożenie dla samych siebie.

- Mówisz o tym pistolecie? - Machnął ręką, bagatelizując tamten drobny epizod.

Pomyśleć tylko. Gdyby nie wytrącił mi pistoletu, nie rozmawialibyśmy teraz.

Wkurzało go to: Evan Stroud stoi tutaj, udając, że nie jest jego ojcem, a jednocześnie prawi mu kazania i próbuje ustawiać.

Zadzwoił telefon. Stroud odebrał i zaczął rozmawiać ściszym głosem. Kiedy się rozłączył, powiedział do Grahama:

- Pozbieraj swoje rzeczy. Ktoś tu będzie za pół godziny.

Graham obrócił się na pięcie i poszedł do sypialni, gdzie na podłodze leżał jego plecak.

Stroud uprał i wysuszył jego zabłocone ubranie. Z jakiegoś powodu ten gest sprawił, że Grahama ścisnęło w gardle. Zapiekły



go oczy. Złapał poskładane ciuchy i wepchnął je do środka. Zapiął plecak i wsunął ręce pod wyściełane gąbką szelki.

To nie był zwykły, mały plecak, tylko przeznaczony do długich podróży, i Graham sporo do niego wpakował, kiedy wyjeżdżał z Arizony. Mógł unieść na plecach niemal całe swoje życie. Z żalem pozostawił jedynie kolekcję winylowych płyt.

Co ona z nimi zrobi? Wyrzuci? Odda biednym?

- Wielkie dzięki za pomoc - powiedział, gdy wrócił do salonu. Czy Stroud uchwycił sarkazm?

- Nie jestem twoim ojcem.

- Tak. Uprzedzała mnie, że tak powiesz. Ale nic nie szkodzi. Mam to gdzieś. Jesteśmy obcymi ludźmi. Nic dla mnie nie znaczysz, a krew jest nieważna. Pokrewieństwo jest gównem. Tak naprawdę daje tylko innym prawo do traktowania człowieka, jak im się podoba. I tyle. Nie chciałem tu przyjeżdżać. Nie chciałem cię poznawać. To ona mnie zmusiła.

- Zawsze robisz to, co ci każe?

- Nie.

Mówiąc to, Graham otworzył drzwi i wyszedł na dwór. Po ciemnościach panujących w domu blask słońca był oślepiający. Zamrugnął gwałtownie i zszedł z werandy.

Usłyszał kroki za plecami i obejrzawszy się przez ramię, zobaczył, że Stroud wychodzi za nim.

Co...?

Sądził, że Stroud zatrzyma się w drzwiach.

Ale szedł za nim. Jak każdy inny człowiek. Jak ktoś, kto nie jest uczulony na słońce.

Graham odwrócił się i ruszył biegiem. Krótki przystanek przy furtce, błyskawiczne poszukiwania skobla.

Unieś. Pociągnij. Biegiem.

Graham potrafił pędzić jak wiatr, ale plecak był ciężki. Chyba ze dwadzieścia kilo.

- Czeka!

Graham odwrócił się i zobaczył, że Stroud pada na kolana, zakrywając twarz obiema dłońmi. Patrzył przez chwilę, po czym upuścił plecak na ziemię. Stroud pochylał się dalej, aż jego głowa

dotknęła kolan.

Jak Superman pod działaniem kryptonitu.

Albo jak wampir.

Chłopak zawahał się, ale w końcu wbiegł z powrotem przez furtkę i wsunął ręce pod ramiona Strouda. Pociągnął go w stronę domu.

- No rusz się!

Stroud zdołał jakoś się dźwignąć na nogi. Podpierany przez Grahama wdrapał się na stopnie werandy, przebrnął przez próg. Padł na podłogę, a Graham zatrzasnął drzwi, odcinając światło. Z bijącym sercem patrzył przerażony na człowieka leżącego u jego stóp.

- Nic ci nie będzie?

Czy on umierał? Tu, na jego oczach?

Podszedł o krok bliżej. I jeszcze jeden.

Dłoń Strouda wystrzeliła, muskularna, żyłasta, błyskawicznie zacisnęła się wokół jego kostki, wbijając palce w ciało.

Jak szponiasta ręka trupa wyłazącego z grobu...

„Mógłbym cię teraz zabić. Mógłbym wyssać z ciebie krew do ostatniej kropli”.

Graham wyrwał się i popędził - za drzwi, chodnikiem, przez furtkę.

Chwycił plecak i już go nie było.

Ruszył w kierunku pobliskich drzew i lasu, dobrze już znajomego. Przeciskał się pod gałęziami, które szarpały go za koszulkę, chwytaly plecak. Po pięciu minutach zatrzymał się na chwilę, by posłuchać.

Walące serce i chrapliwy oddech zagłuszały wszystko inne. Piersź wznosiła się i opadała, oddech tworzył chmurkę pary w gęstym powietrzu. Nagle dosłyszał śpiew ptaków. Gdzieś w oddali ciurkała woda. Potem rozpoznał słabe odgłosy ruchu drogowego. Nie intensywnego ruchu, ale pojedynczych samochodów.

Graham zaparł się mocniej na nogach, podrzucił plecak, by poprawić szelki, i znów puścił się biegiem: przez szczyt wzgórza, a potem w dół stromego zbocza. Ślizgając się, zostawiając równoległe wyłobienia od obcasów na błotnistym stoku, dotarł w końcu na dół i wylądował metr od jednopasmowej szosy, wspinającej się kręto na

zbocza wzgórz porośniętych drzewami, które właśnie wypuszczały listki.

Zaryzykował spojrzenie przez ramię, spodziewając się ujrzeć Strouda, płynącego w jego stronę między drzewami, z kłami ociekającymi krwią.

Zza zakrętu wyłonił się mały, niebieski pick-up, zjeżdżający właśnie ze wzgórza.

Graham obrócił się w stronę zbliżającego się samochodu. Idąc tyłem wzdłuż pobocza, wystawił kciuk.

Samochód nie miał zamiaru zwalniać, więc Graham włożył trochę więcej serca w występ. Mobilizując cały swój czar, ugiął jedno kolano, z emfazą pomachał kciukiem i przywołał na twarz rozbrajający uśmiech.

Pick-up przemknął obok; za kółkiem siedziała dziewczyna.

Rozbłysły czerwone światła stopu, a po nich białe, wstecznego biegu. Mały Chevrolet S-10 cofnął się esowatą linią, mrużąc silnikiem.

- Wskakuj na pakę! - krzyknęła dziewczyna przez odsuwane tylne okienko.

Zaczynało się robić ciemno, a zresztą pod tym kątem Graham nie mógł jej się dobrze przyjrzeć. Widział tylko, że ma krótkie, jasne włosy i jest mniej więcej w jego wieku.

Co ona wyprawia, do diabła? Samotna dziewczyna bierze autostopowicza na drodze? Nie słyszała, że trzeba się bać obcych?

Zsunął plecak z ramion, władował go na pakę i sam wskoczył za nim. Miała przynajmniej na tyle rozsądku, by nie zapraszać go do kabiny.

Wdepnęła pedał gazu i strzelając zwirem spod opon, wyjechała na drogę. Rzuciła przez ramię jeszcze kilka słów.

- Dokąd jedziesz?

Graham podsunął się do okienka.

- A gdzie się chodzi w tym mieście, kiedy się nie siedzi w domu? - Był strasznie głodny.

- Do centrum handlowego. - Kiedy nic nie powiedział, dodała: - Albo do kawiarni Brzoskwinka.

- Brzmi nieźle.

Przyspieszyli; Graham musiał przekrzykiwać szum wiatru.

- Po prostu wysadź mnie najbliżej, jak ci pasuje. - Pomyślał, że może wysepi na ulicy parę groszy albo zanurkuje do jakiegoś śmietnika w poszukiwaniu żarcia, jeśli będzie musiał. - Czuję się jak w konfesjonale.

- Co? - Spojrzała na niego dziwnie.

- W konfesjonale! - krzyknął, wskazując odsuwane okienko. Pewnie była katoliczką. Pewnie właśnie uraził jej uczucia religijne.

Roześmiała się, wracając spojrzeniem na drogę.

- No to się spowiadaj!

Gdyby naprawdę wiedziała, kim on jest, czy poczułaby niechęć? Strach? Litość? Mógł się mylić co do niej, bo ludzie często zaskakują. A jeśli jej życie było równie ponure jak jego? Bo nie zawsze można to poznać na pierwszy rzut oka.

Udając, że jej nie usłyszał, pogrzebał w górnej części plecaka, wyciągnął bluzę, włożył ją na siebie i oparł się o burtę pick-upa z założonymi rękami.

Po raz pierwszy od wielu dni napięcie opuściło jego ciało. Był wolny. Przynajmniej na razie.

Wkrótce słońce zupełnie zniknęło i zapadł zmrok, jak teatralna kurtyna. Kosmyki włosów Grahama trzepotały na wietrze, kłując go w twarz, a on jechał pickupem jakiejś dziewczyny. Jakiejś dziewczyny, której nie znał, do knajpy o nazwie Brzoskwinka.

Zadarł głowę i spojrzał w górę, na gwiazdy, które rodziły się nad nim na czarnym niebie. Serce mu zadrzało i w tej chwili cieszył się, że tamta kula go ominęła.

Właśnie o to chodziło w tym wszystkim. O te momenty, które podkradają się do ciebie, nie wiadomo skąd, i szepczą tajemnicze, nienazwane obietnice, że chce się żyć dla czegoś, czego istnienia nawet nie podejrzewałeś.

Był tak pogrążony w tych poetyckich dumaniach, że wrócił na ziemię dopiero, kiedy samochód się zatrzymał. Rozejrzał się oszołomiony i zobaczył, że są w mieście; wóz stał przy parkometrze.

Otrząsnął się ze swoich rozmyślań, wstał i zeskoczył z pick-upa. Trzasnęły drzwi i dziewczyna przeszła na tył samochodu. Stała obok niego.

Graham przeciągnął plecak po pace i dźwignął go nad burta, po czym oparł na stopie.

- Dzięki za podwiezienie.

Była średniego wzrostu, ubrana w czarne botki i czarne legginsy, czarną spódnicę i czarny sweter z rzędem maleńkich białych guziczków i jakimś różowym kwiatkiem na ramieniu. Ten kwiatek i jej wargi były jedynymi kolorowymi elementami, jakie znalazł. Poczłł słodki zapach i z trudem oderwał od niej wzrok.

Jakiś metr za nią było drzewo, jego nagie gałęzie ozdabiały girlandy małych, białych lampek. Dalej było kino z zaokrąglonym neonem w stylu art deco, ale I i N były przepalone. Nagle ogarnęło go to samo uczucie co przed chwilą, kiedy patrzył na gwiazdy.

Tak smakuje i pachnie prawdziwe życie.

- Ja też idę do Brzoskwinki. Ekstra. Może nawet lekko kiwnął głową. Nie był pewien.

- Mają tam świetną mokrę. Dziesięć minut temu umierał z głodu. Teraz jedzenie zdawało mu się banalne i nieistotne.

Dziewczyna przeszła kilka kroków i zatrzymała się, spoglądając na niego przez ramię.

- Idziesz?

Podniósł plecak i ruszył za nią do dużej, piętrowej kamienicy, którą przerobiono na kawiarnię. Jeszcze zanim doszli do drzwi, poczuł zapach kawy.

Dziewczyna zamówiła dużą mokrę z syropem migdałowym i bitą śmietaną, po czym spojrzała na niego pytająco.

- Ja poproszę tylko szklanę wody.

Przyglądała mu się przez chwilę i w końcu odwróciła się do chłopaka za barem, i poprosiła o pakowaną kanapkę ze szklanej gabloty. Gdy czekała na zamówienie, Graham zabrał swoją wodę do pustego stolika w ciemnym kącie. Jednym z wielu ciemnych kątów w Brzoskwince.

Podłogi były drewniane i wyszorowane tak, że zmyto z nich nawet lakier i farbę, a sufit nad głową Grahama poskrzypywał pod nogami ludzi na piętrze.

Oparł plecak w rogu i usiadł na żółtym, drewnianym krześle, mocno rozklekotanym. Z głośników leciała muzyka. Jakaś stara

piosenka Wilco, której nie potrafił skojarzyć, ale która brzmiała bardzo znajomo. Muzyka sprawiła, że nagle zatęsknił za domem. Chciał wracać do domu, do Arizony, gdzie miał przyjaciół. Ale to był zły pomysł. Ona się tam znajdowała.

Mógłby pojechać w jakieś miejsce, gdzie nikt go nie zna. Raczej w ciepły klimat, bo może trzeba będzie spać na dworze. Powinien jechać na południe. Może do którejś Karoliny. A nawet do Georgii. Nad ocean. O tak. Nigdy nie widział oceanu.

Dziewczyna klapnęła obok niego, stawiając tacę na stoliku. Kanapka była przekrojona na dwie części. Dała mu połowę na talerzyku.

- Nie dam rady zjeść całej - wyjaśniła.

Nawet nie spojrzał, co to jest. Po prostu wziął kanapkę i ugryzł kęs. I jeszcze jeden. Wetknęła drewniane mieszadełko do kawy i zebrała trochę bitej śmietany.

- Mam na imię Isobel.

- Jestem Graham. - Rozejrzał się za serwetką, i w końcu otarł usta grzbietem dłoni. - Powinnaś być ostrożniejsza - powiedział. - Lepiej nie podwozić obcych.

- Nie podwożę. To znaczy do tej pory nie podwoziłam.

- Dlaczego ja?

- Wyglądałeś na kogoś, kto potrzebuje pomocy. Kto ma kłopoty. - Pauza. - A ten balet, który wykonałeś, przekonał mnie do reszty.

- No tak. - Dokończywszy swoje pół kanapki, rozsiadł się wygodniej i założył ręce na piersi. - Mów mi Pan Wesolek.

Obiema dłońmi uniosła gigantyczną filizankę do ust.

- To jak to z tobą jest? Przeprowadziłeś się tutaj?

- Jestem tylko przejazdem. - Słabe. Brzmiało jak tekst ze starego filmu.

Zadawała mu zwyczajne pytania - dokąd jedzie, skąd jest. A on odpowiadał kłamstwami i unikami, i miał poczucie winy. Prawdopodobnie nie musiał kłamać. Nikt go nie szukał. A już na pewno nie matka. Evan Stroud? Nie próbowałby go znaleźć. A opieka społeczna zawsze się cieszyła, kiedy ktoś przestał być ich problemem.

Otworzyły się drzwi i do kawiarni wszedł facet w brązowym

swetrze i ciemnych dzinsach.

- Kurczę. - Isobel spojrzała na zegarek. - To pan Alba, mój nauczyciel aktorstwa. - Jej ton zdradzał, że została przyłapana. - Normalnie jest raczej spoko, ale ostatnio trochę się wkurza, bo przedstawienie za dwa tygodnie, a nikt się nie nauczył tekstu.

Graham też miewał takich nauczycieli. Takich, co byli młodzi, fajni i chcieli, żeby uczniowie ich lubili. Alba rozejrzał się po sali.

- Isobel - zawołał, kiedy tylko ją zauważył. - Tak mi się właśnie zdawało, że to twój samochód stoi na ulicy. Jesteś spóźniona. Próba już się zaczęła. - Po wygłoszeniu tych słów odwrócił się do wyjścia i niemal wpadł na wysokiego, chudego gościa, mniej więcej dwudziestopięcioletniego, który właśnie wchodził do środka. Przywitali się krótkim „cześć”.

- Muszę lecieć. - Isobel zebrała rzeczy.

Zwykła dziewczyna. Normalna dziewczyna z normalnym życiem. Graham obrócił się szybko na krzesło, pogrzebał w bocznej kieszeni plecaka, wyjął kompakt i wręczył go Isobel.

- Proszę.

Nie ruszyła się.

- Weź to - nalegał. - Za podwiezienie. Za kanapkę. Uśmiechnęła się i wzięła CD.

- Uważaj na siebie - rzuciła, nawet nie spoglądając na płytę. Pewnie nie lubiła muzyki. Pewnie jej nawet nie przesłucha.

- Dzięki.

I poszła sobie.

Graham długo gapił się na drzwi. Wreszcie spojrzał w dół i zobaczył, że podsunęła mu pod nos swoją nietkniętą kanapkę i dużą mokkę z syropem migdałowym i bitą śmietaną.

Zjadł resztę kanapki i wypił kawę. Była tak słodka, że gdy skończył, wargi miał lepkie, a głowę ciężką i zamuloną. Wysoki, chudy facet usiadł z tyłu sali. Graham został w swoim ciemnym kącie i patrząc, jak ludzie wchodzi i wychodzi, usiłował nie myśleć o dziewczynie, Isobel. Nie zastanawiać się, czy spodoba jej się płyta, którą jej dał. Czy ona w ogóle jej posłucha. I czy jeszcze kiedykolwiek o nim pomyśli.

Do kawiarni weszła grupka twardzieli, ubranych głównie na

czarno. Styl coś jakby punk z domieszką gotyku. Mieli rozsznurowane glany, które robiły mnóstwo hałasu przy chodzeniu, były jakieś tatuaże i parotygodniowy brud wżarty w zakamarki skóry.

Graham czuł, jak śmierdzą. Zawieszony odór ciał, od którego aż łzawiły oczy. Przypominali mu udawanych bezdomnych, których znał w Arizonie. Dzieciaki z bogatych rodzin, które lubiły bawić się w biedę. Zwykle w takiej bandzie można było znaleźć jednego czy dwóch prawdziwych bezdomnych.

Jeden z nich zamówił kanapkę i kilka szklanek wody, gdy tymczasem inny obrobił słoik z napiwkami i schował do kieszeni kilka banknotów. Zapłacili kradzionymi pieniędzmi, zostawili kradziony napiwek, po czym cała grupa, łomocząc buciorami, ruszyła po drewnianych schodach na piętro.

Po kilku minutach Graham poszedł za nimi. Siedzieli rozwaleni na starych kanapach i fotelach, paląc papierosy i grając w warcaby.

- Jest tu gdzieś w okolicy punkt krwiodawstwa? - zapytał Graham. - Potrzebuję zarobić na gwałt trochę kasy. - Właściwie do tego trzeba mieć siedemnaście lat, ale w większości punktów mieli to gdzieś. Było tylko dostać krew.

Goście spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem. Co ich tak rozbawiło, do cholery?

- Jest, ale nie na stałe - odezwał się w końcu jeden z nich. - Raz w tygodniu

rozkładają się w świetlicy Domu Weterana. - Pociągnął za rzadką kozia bródkę i po chwili namysłu wycelował w Grahama palec. - Ale czekaj, znam miejsce, gdzie możesz zarobić na poczekaniu parę baksów. To łatwiejsze niż oddawanie krwi, i lepsza kasa. Wystarczy stać i pozwalać, żeby taki jeden perwers robił ci zdjęcia.

Wysoki, chudy facet wszedł na górę. Miał proste włosy z grzywką ściętą skośnie w połowie czoła. Jeden z chłopaków zawołał go po imieniu: Dan.

- Wiecie, że gliny znalazły ciało na skwerze? - zapytał Dan. - Słyszeliście o tym?

Wszyscy gorliwie pokiwali głowami, mówiąc „taa, fatalnie”, „chora sprawa” i „szkoda laski”.

- Chelsea Gerber - ciągnął Dan tonem, w którym brzmiało coś



więcej niż tylko chęć przekazania informacji.

- Ale kto by porzucił trupa na środku skweru? - zdziwił się któryś.

- Gliny myślą, że ktoś naprawdę durny - odparł Dan. - Ja też tak myślę.

- A może przebiegły - powiedział Kozia Bródka. Wycelował palec w Dana. - To ci nie przyszło do głowy?

- Znaleźli jakieś ślady? - zainteresował się inny chłopak z grupy, wysoki blondyn z płomieniami wytatuowanymi na przedramionach.

Dan spojrzał na Grahama.

- Wiecie, że nie mogę gadać o śledztwie. Ale są prawie pewni, że to ktoś, kto mieszka w Tuoneli.

- Kiedy to się stało? - Graham usłyszał własne bezwiedne pytanie.

- Dziś nad ranem. Przed świtem. Dziś nad ranem. Dziś nad ranem Stroud wyłonił się z ciemności.

- Dużo macie morderstw w Tuoneli? - dociekał Graham.

- Dawno temu mieliśmy. - Dan w końcu nawiązał kontakt wzrokowy. - Ale ostatnio... nie zamordowano tu nikogo od stu lat.

# Rozdział 7

Światła furgonetki grzęzły w gęstym lesie, gdy Rachel Burton jechała krętą drogą, prowadzącą ku południowej stronie miasta. To mozolne wspinanie się zawsze przypominało jej pewien nawracający sen, w którym jechała prostopadle w górę stromego stoku, by po osiągnięciu szczytu spaść na łeb na szyję po drugiej stronie. Choć sen był jak z kreskówki, zupełnie nierealistyczny, nieodmiennie ją przerażał. Zawsze uważała go za metaforę życiowych trudności, ale wiedziała, że Freud zinterpretowałby go inaczej.

Miasto Tuonele przecinały głębokie wąwozy, płytkie strumyki i strome wzgórza. Często niełatwo było dotrzeć z punktu A do B. Kiedy lodowce pełzły przez Amerykę Północną, zapuszczając się w głąb Wisconsin, by wygładzić poszarpane szczyty i ostre krawędzie, ledwie zahaczyły o tereny hrabstwa Juneau.

Rachel nie miała więcej „wizyt”, choć zeszłego wieczoru podskoczyła na widok własnego odbicia w szybie. Jednak za każdym razem, gdy się odwracała, oczekiwała nieproszonych gości. Nie przyszli. Teraz, prawie dobę później, zaczynała się zastanawiać, czy to nie był wytwór jej wyobraźni. Ale w głębi duszy wiedziała, że nie.

Było ledwie po siódmej, a już ciemno. Nie mogła się doczekać zmiany czasu. Nigdy nie przepadała za czasem zimowym.

Furgonetka z trudem brnęła ku niebu, snopy światła strzeliły w gwiazdy, nim samochód wdrapał się na szczyt, na równy teren. Tu drogi biegły poziomo i rozchodziły się wachlarzowato dnem głębokich kotlin, zabudowanych rzędami bungalowów z lat dwudziestych.

Rachel od dawna nie przyjeżdżała do tej części miasta i trochę dezorientowały ją zmiany, jakie zaszły w krajobrazie – nowe płoty, klomby, drzewa, które wyrosły, i te, których już nie było. Poza tym było tak samo, a jednak nie do końca. Trochę jak puzzle złożone na nowo w odrobinę zmienionej konfiguracji.

Skręciła w Benefit Street.

W odróżnieniu od innych, dobrze oświetlonych części South Hill, latarnie na Benefit Street miały łagodniejsze świetlówki, dające niebieskawe światło. Rachel zatrzymała się przed ciemnym domem, wyłączyła silnik i wysiadła. Ozdobna żelazna furtka wciąż skrzypiała, gdy się ją otwierało. Przez chwilę Rachel niemal spodziewała się usłyszeć szczekanie psa. Ale nie, Finn nie żył już od dawna.

Tutaj zaczęła swoje poszukiwania - poszukiwania grobu Nieśmiertelnego.

Ten sam chodnik, drewniane schodki.

Ciekawe, czy dzwonek został zreperowany?

W ciemności powiodła ręką po ścianie, poza listwę otaczającą drzwi, szukając guzika. W chwili, gdy go znalazła, podskoczyła ze strachu, słysząc słowa dobiegające z mroku w przeciwległym końcu werandy.

- *Enfant terrible*.

Rozpoznając głos nawet po tylu latach, obróciła się gwałtownie, z łomoczącym sercem. Ledwie dostrzegła w ciemności niewyraźną postać Evana Strouda. Usłyszała skrzypnięcie i domyśliła się, że Stroud siedzi na huśtawce, zawieszanej na łańcuchach zamocowanych do stropu. Ileż razy sama tu siedziała?

*Enfant terrible*.

Przezwisko, które jej nadał, pochodziło z czasów dzieciństwa, z jednej z bardziej wybuchowych faz tupania i dąsów.

Ich ojcowie razem pracowali w policji, a matki wspólnie przeżywały uroki opieki nad pociechami, gdy te nie siedziały w szkole. Zdarzało się, że częściej przebywali razem niż osobno. Evan był dwa lata starszy i większość czasu spędzał na dokuczaniu Rachel. Traktował ją jak denerwującą młodszą siostrę. A ona przez większość tych lat skrzętnie ukrywała to, że się w nim bujała. Młodzieńcze uczucie. Pierwsze miłości są głupie, a przecież tak druzgocąco potężne. Kiedyś była gotowa dla niego umrzeć.

Ale potem napatoczyła się Lydia Yates.

Rachel nie miała pojęcia, czy pojawienie się dziewczyny zmieniło bieg życia jej i Evana. Co by się stało, gdyby Lydia nie przyjechała

do Tuoneli? Czy drogi Rachel i Evana i tak by się rozeszły? Czy może ich znajomość rozkwitłaby, zaowocowała czymś więcej? W jej młodych oczach Evan zdradził ją z Lydią. Złamał jej serce.

Zimne wilgotne powietrze przenikało do szpiku. Rachel przebiegł dreszcz.

- Chcesz wejść do środka? Napić się czegoś ciepłego? Zjeść coś?  
- zapytał.

Czyżby żył w mroku od tak dawna, że widział po ciemku? Czy jego wzrok się przystosował?

Weszli do domu.

Rachel zamknęła za sobą drzwi, poszła za Evanem przez salon, do kuchni, i usiadła przy okrągłym stole, jakby robiła to codziennie przez ostatnich siedemnaście lat. Na środku stołu leżał egzemplarz „Nowin z Tuoneli” z kolorowym zdjęciem na pierwszej stronie, przedstawiającym ją samą obok furgonetki koronera. Głębia ostrości była niesamowita. Za nią, równie wyraźne jak wszystko na pierwszym planie, widniało ciało w grubym plastikowym worku, wsuwane na tył furgonetki.

Evan napełnił czajnik wodą i postawił na kuchence gazowej. Nosił dżinsy i pomietą, wyrzuconą na spodnie koszulę z wysoko podwiniętymi rękawami, białą, w cieniutkie, szare prążki.

Wyglądał, jakby sam obciął sobie włosy, być może przytrzymując pojedyncze kępkę i ciachając elektryczną maszynką końce sterczące pomiędzy palców.

Pewnie nie może pójść do fryzjera, dotarło do niej nagle. Taka prosta rzecz, a dla niego niewykonalna. Więc sam byle jak obcinał sobie włosy przed łazienkowym lustrem.

Kuchnię oświetlała słaba lampa. Rachel nie widziała Evana wyraźnie, ale wyczuwała niepewność w jego ruchach, w tym, jak opierał się o kuchenkę z przygarbionymi plecami. Czy ciemne plamy pod jego oczami to sińce, czy tylko cień spowodowany marnym oświetleniem?

- Przykro mi z powodu twojej mamy. Skinęła głową.

- Dostałam twoją kartkę.

- Przyszedłbym na pogrzeb... - Nie dokończył zdania.

Widziała jego nazwisko w księdze kondolencyjnej i domyśliła się,

że przyszedł do domu pogrzebowego wieczorem. Jej matka miała o nim niezbyt pochlebne zdanie po aferze z Lydią Yates. Może i ona czuła się zdradzona.

- Jak się miewa twój tata? - zapytała.

Ojciec Evana przeżył załamanie nerwowe i przeszedł na wcześniejszą emeryturę; jej ojciec został komendantem policji.

- Jest zachwycony Florydą - odparł Evan. - Codziennie gra w golfa. Ciągłe próbuje mnie namówić, żebym i ja się przeniósł, ale tłumaczę mu, że za dużo tam słońca.

- Domyślam się, że to byłoby problem.

- Ładnie ci w krótkich włosach - powiedział.

Dotknęła kosmyków, które ledwie zakrywały koniuszki uszu. Były krótsze niż jego, ale prawie w tym samym odcieniu.

- Są ciemniejsze, niż zapamiętałem - dodał.

- Celowe działanie. Postawił przed nią kubek i pojemnik z torebkami herbaty. Ręka mu się trzęsła.

Zorientował się, że ona to zauważyła, i zwinął dłoń w pięść. W końcu usiadł na krześle naprzeciw niej.

- Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest. - Oparłszy łokcie na stole, rozmasował czoło i nagle roze śmiał się szorstko. - Tylko trochę kiepsko się czuję. Z własnej winy. Z własnej głupoty. Przejdzie.

Było oczywiste, że krępuje go rozmowa o jego zdrowiu, Rachel zmieniła więc temat.

- Jestem zaskoczona, że twój tata wyjechał. - Należał do tych nielicznych, którzy opuścili Tuonele.

- Nie jest sentymentalny. I chyba musiał się stąd wyrwać.

- To nie sentymentalizm trzyma tutaj ludzi.

- Nie?

- A dlaczego ty tu jesteś? - zapytała.

- Tu jest mi łatwiej. A dlaczego ty wróciłaś?

Pomyślała o życiu, które wiodła poza Wisconsin. Pomyślała o powrocie do domu, o tym, jak serce zaczęło jej bić, gdy z daleka ujrzała Tuonele. Ten zapach, ta mgiełka osnuwająca krajobraz - człowiek przesiąkał nią na zawsze.

- Bo to mi się wydaje rzeczywiste - odparła cicho, zaskoczona, że

odkrywa przed nim tak wiele. - Lubię to poczucie, że jestem u siebie. Że wszystko jest znajome. - A przynajmniej lubiła je do wczorajszego wieczoru.

Musiał dostrzec wahanie w jej twarzy.

- Ale nie chcesz tu być... - zasugerował z pytającą intonacją. - Wolałabyś, żeby wszystko wyglądało inaczej.

Uciekła spojrzeniem i przesunęła palcem po deseniach na obrusie.

- Tak - szepnęła. Zawsze potrafili ze sobą rozmawiać. Jak mogła o tym zapomnieć? Nie zapomniała, lecz z premedytacją wyrzuciła z pamięci. Teraz wydawało jej się to takie głupie. Dziecinne.

Ale przecież wtedy była dzieckiem. Oboje byli dziećmi. Nigdy nie powiedziała mu o zmarłych, których widywała. Nie wiedział o nich nikt oprócz rodziców. Czajnik zagwizdał.

- Ja pójdę. - Wstała z krzesła. - Siedź. - Omal nie położyła mu dłoni na ramieniu, ale powstrzymała się tuż przed dotknięciem. Podeszła do kuchenki, zgasiła gaz i napełniła kubki.

- Mleko? Śmietanka?

Pokręcił głową, usiadła więc z powrotem. Evan wyjął torebkę z pojemnika i rozpakował ją.

- Przysyłają mi herbatę z Anglii. Nowa partia jeszcze nie przyjechała, a zapasy się kończą, więc nie mam wielkiego wyboru.

Zamawianie herbaty z innego kraju było jego sposobem na ściągnięcie do domu chociaż kawałka świata. Rachel to rozumiała.

- A ta? - Podniosła ozdobną srebrną puszkę, stojącą na środku stołu.

- To sypana herbata, którą znalazłem na dnie szafki. Została po tacie. Próbowałem jej parę razy, ale jest dość paskudna.

Rachel zdjęła wieczko. Zobaczyła jedną z tych dziwnych, egzotycznych herbat z kwiatami i ziołami, a może nawet z kawałkami suszonych grzybów. Powąchała ją i cofnęła głowę. Zapach nie był odrażający - po prostu zaskakujący. Ziemisty i stęchły. Rachel zamknęła puszkę i oddała ją Evanowi.

- Nie jest to coś, czego miałabym ochotę się napić, ale co ja tam wiem o herbacie.

Zapatrzył się w puszkę.

- Chciałem to wyrzucić, ale może będę musiał to pić, jeśli skończy

się wszystko inne.

- Nie wyrzucaj puszek - powiedziała Rachel. - Jest piękna. Evan odstawił pojemnik i rozparł się na krześle.

- Co tu robisz, Rachel? - Zmienił pozycję, a padające pod innym kątem światło podkreśliło jego zapadnięte policzki.

Był chory. Żył jak w jakiejś rosyjskiej tragedii.

Rachel poczuła ból w głębi serca i pomyślała o siedemnastu latach, które minęły, od kiedy widziała go ostatni raz. Tyle czasu...

Cieszyła się, że tu przyszła. I wiedziała, że przyjdzie jeszcze, nawet jeśli on nie będzie mógł im pomóc w sprawie morderstwa.

- Przestań - rzucił.

- Co?

- Przestań się nade mną litować. Irytacja zastąpiła współczucie.

- Taka już jestem. Kiedy widzę kogoś żalosego, to się nad nim lituję. - Twarz jej zapłonęła. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę to powiedziała. Tak łatwo się wraca do nieznośnych, paskudnych nawyków z dzieciństwa.

Roześmiał się.

- Lepiej już pójde. - Wstała, szurając krzesłem po podłodze.

- Och, daj spokój. Nie idź. - Złapał ją za rękę. Czowała każdy jego palec. - Dopiero przyszłaś. - Spojrzał na nią, unosząc głowę i odsłaniając bladą szyję. - Zostań i zabaw mnie. Wypij herbatę. Angielską herbatę. - Posłał jej swój najbardziej czarujący uśmiech.

Odsunął rękę.

Czy powinna wspomnieć o powodzie swojej wizyty? Ale gdyby go przemilczała, znaczyłoby to, że chce go chronić, że nie traktuje go normalnie.

- Widziałam, że czytałeś o morderstwie. - Usiadła z powrotem.

W jego domu panowała taka cisza, że było słycać tykanie zegara. Pamiętała, jak przychodziła tutaj w dzieciństwie: wpadała biegiem, rzucała książki na kanapę i pędziła do lodówki. Czasami mama Evana właśnie piekła ciastka. Jego tata przychodził z piwnicy, pachnący rozgrzanym metalem i środkiem do czyszczenia broni.

- Byłem dzisiaj trochę zajęty, ale czytałem o tym - rzekł Evan.

- Zawiadomiliśmy Wydział Kryminalny Stanu Wisconsin. Poprosili o kopię akt. Poza tym stanowa policja pewnie przyśle tu kogoś, kto

zacznie zadawać pytania i w ogóle przeszkadzać w dochodzeniu, które spokojnie moglibyśmy przeprowadzić sami.

Evan prychnął, dając do zrozumienia, że rozumie jej problem.

Stara śpiewka: ludzie, którzy nie mieszkali w Tuoneli, nie wykazywali zainteresowania. A jeśli już ktoś przyjeżdżał, przydawał się jak piąte koło u wozu.

Ojciec Rachel przesłuchiwał mieszkańców miasta, koncentrując się szczególnie na grupce nastolatków, którzy nazwali się Nieśmiertelnymi.

Kluby wampirów były popularne w L.A. Przeważnie należeli do nich raczej nieszkodliwi maniacy lubiący przebieranki, choć niektórzy naprawdę pili krew. Nieśmiertelni z Tuoneli byli jedynie bandą dzieciaków, ale Seymour nie skreślał ich z listy podejrzanych.

- Pomyślałam, że może miałbyś ochotę pomóc. Evan zmarszczył brwi, zdziwiony.

- Nie jestem detektywem. Nie mogę nawet wychodzić z domu w ciągu dnia. Co masz na myśli?

- W tej sprawie jest coś, co odróżnia ją od przeciętnego zabójstwa. Coś, czego nie napisali w gazetach. - Zrobiła pauzę dla efektu. - Brak krwi w ciele.

To go zainteresowało.

- Nieśmiertelny?

- Ten sam modus operandi. Pomyślałam, że będziesz mógł nam pomóc ze swoją wiedzą na temat lokalnego folkloru i Nieśmiertelnego.

- Myślisz, że on wrócił? - Evan się uśmiechnął. - Wstał z grobu?

- Oczywiście, że nie. - Zrobiła pełną politowania minę. Ale jednocześnie próbowała odepchnąć od siebie obawy, które ogarnęły ją wczoraj wieczorem w kostnicy. - Ktoś może go naśladować. Więc potrzebujemy wszelkich informacji, jakie uda się zdobyć.

Evan wyciągnął obie ręce, by mogła zobaczyć, jak bardzo się trzęsą.

- Jestem słaby jak niemowlę. Tak się dzieje, kiedy wystawię się na światło dzienne.

- Potrzebujemy tylko informacji. Prowadziłeś badania... Może



mając wystarczająco dużo danych, będziemy w stanie przewidzieć następny ruch mordercy, jeśli się pojawi.

- Zrobię, co będę mógł. - Podniósł długopis i zaczął bazgrać na brzegu gazety.

- Czy w swoich badaniach natrafiłeś na jakieś wskazówki, gdzie może się znajdować grób Nieśmiertelnego? - Pochyliła się do przodu i oparła łokcie o stół. - Niektórzy twierdzą, że ciało zostało spalone. Inni wierzą, że jest pochowane gdzieś w Starej Tuoneli.

- Dlaczego szukacie grobu?

- Zakładamy, że ktoś z taką obsesją na punkcie Nieśmiertelnego będzie równie obsesyjnie szukał miejsca pochówku. - Przy ofierze nie pozostawił wiele śladów.

Rachel miała nadzieję znaleźć je przy grobie Nieśmiertelnego. Dary. Ozdoby.

Kwiaty. I co tam jeszcze czciciele wampirów zostawiali?

Evan pstryknął długopisem.

- Niektórzy ludzie sądzą, że w Starej Tuoneli wykonano fałszywy grób, a prawdziwy jest w kącie jakiegoś pola.

To miało ręce i nogi. Przed laty fałszywe groby były powszechne w przypadku przestępców. Inaczej krewni ofiar wykopaliby ciało, rozdarli na strzępy i spalili, by dusza nie mogła zaznać spokoju.

Evan rzucił długopis na stół.

- Ale ja, na podstawie badań, sądzę, że jest w Starej Tuoneli. Kojarzysz Jacoba Johannsena, tego, który zmarł kilka lat temu? Twierdził, że jego ojciec kopał grób dla Nieśmiertelnego. A później posadzono na nim dąb.

- Dlaczego drzewo?

- Żeby Nieśmiertelny nie wstał z martwych.

- Nigdy o tym nie słyszałam.

- Jacob zaklinał się, że to było w Starej Tuoneli. Na cmentarzu koło kościoła. Ale wiesz, jak to jest z takimi historiami. Większość informacji, jakie zebrałem na temat Starej Tuoneli, to nie żadne historyczne fakty, tylko bajania i zmyślenia.

- Mimo wszystko trzeba to sprawdzić.

- Nie wybieraj się tam sama.

Sama? Po wczorajszym wieczorze nie zamierzała się tam

wybierać, kropka.

Ciemna piwnica o betonowych ścianach lekko zalatywała ściekami i całkiem solidnie pleśnią.

Zaraz będzie po wszystkim.

Znów błysnął flesz aparatu, całkiem go oślepiając.

Graham nie zdołał dobrze przyjrzeć się facetowi – był pewien, że gość specjalnie o to zadbał. Mężczyzna z cyfrowym aparatem otworzył drzwi nieoświetlonej piwnicy, wystrojony w jakiś rybacki kapelusz ściągnięty tak nisko na czoło, że dotykał oprawek ciemnych okularów z błękitnymi, lustrzanymi szklami.

Coś jakby skrzyżowanie Bandyty w Rybackim Kapeluszu z Unabomberem. Perwersi nigdy nie wyglądali fajnie. Perwersi nie mieli wyczucia stylu. Nie, żeby Graham znał wielu osobiście, ale oglądał wiadomości.

- Chodź.

Kiwnął ręką, by zszedł za nim po drewnianych schodach w głąb czarnej dziury.

Graham wiedział, że głupio robi, ale poszedł po sekundzie wahania.

Teraz stał nago przed statywem i aparatem, a facet pstrykał w najlepsze. To powinno być okropne. Upokarzające. Ale było tak dziwaczne i głupie, że Graham musiał tłumić śmiech wzbierający mu w gardle.

- Obróć się.

Spełnił polecenie. Klient nasz pan.

Pstryk.

Błysk.

Czy Isobel posłuchała płyty, którą jej dał? Jeśli tak, to czy podobała jej się piosenka Sonic Youth Diamentowe Morze? Była trochę bardziej mroczna niż muzyka, której zwykle słuchał. Skłaniał się raczej ku kawałkom lekkim i radosnym, odpuszczając sobie muzę, która go przygnębiała i dołowała. Młode serce źle znosi nadmiar chandry.

- Obróć się.

Znów się obrócił.

Czy podobał jej się ten fragment o dzieciakach ubranych w sny?

On to uwielbiał. Uwielbiał.

Mężczyzna odsunął się od aparatu.

- Nie mogę ci zapłacić całej stówki.

- Dlaczego?

- Blizny.

- A co ci przeszkadza parę blizn?

- Nie chcę ich oglądać. Psują mi nastrój. Nie bawię się w żadne gówno sado-maso.

- Obiecałeś, że będzie stówka.

- A ty zapewniłeś, że wszystko z tobą w porządku.

- Bo tak jest. Daj spokój, człowieku. Potrzebuję tej forsy.

- Dobra. Słuchaj. Jest jeden sposób, żeby mi to wynagrodzić.

- Czyli?

- Robiłeś to już kiedyś z facetem? Założę gumę. Będę się streszczał. To była kolejna z chwil pod tytułem „to się nie dzieje naprawdę”.

Ostatnio często się Grahamowi zdarzały.

Każdy miał jakąś granicę, której za nic by nie przekroczył. On właśnie dotarł do swojej. Ale najbardziej przerażało go to, że przez ćwierć sekundy naprawdę zastanawiał się, czy by tego nie zrobić.

Szybko wciągnął dzinsy. Olać majtki. Wcisnął bosc stopy w niezasnurowane buty. Złapał resztę swoich rzeczy.

- Wal się.

Uciekł bez pieniędzy.

## Rozdział 8

Rachel wsunęła egzemplarz *Strachu w mroku* pod pachę, pchnęła stalową antywłamaniową kratę i wyszła z miejskiej biblioteki. Jak większość budynków w Tuoneli, biblioteka zbudowana była na stromym zboczu. Po drugiej stronie ulicy wznosił się kościół Świętego Pawła. Wieża zdawała się przewracać pod naporem niskiego nieba.

Rachel czuła ziemię i młodą trawę – zapach, który kojarzył się jej wyłącznie z Tuonelą, choć w innych miastach też rosła trawa. Było wyjątkowo ciepło jak na początek kwietnia, tak ciepło, że zostawiła kurtkę w domu; promienie słońca przenikały plecy jej czarnej bluzki z krótkim rękawem.

W drodze do furgonetki zatrzymała się obok wysokiego, porośniętego mchem kamiennego muru, wyjęła komórkę i wybrała numer Evana Strouda.

- Właśnie wypożyczyłam z biblioteki twoją najnowszą książkę - oznajmiła, kiedy odebrał.

- Mogłaś mi wczoraj powiedzieć, że ją chcesz.

- Nie trzeba.

- Zwróć ją. Dam ci egzemplarz.

- Nie trzeba - powtórzyła z naciskiem.

- Ja tam nie lubię książek z biblioteki. Są skażone przez poprzednich czytelników. I śmierdzą. Nie papierem, ale ludźmi. Moje książki muszą być czyste.

- Pani Douglas na pewno byłaby zachwycona, słysząc, że tak mówisz o jej książkach. O ile dobrze pamiętam, oboje godzinami siedzieliśmy w bibliotece. I nie przypominam sobie, żebyś wtedy miał problem z brudnymi książkami.

- To świeższa sprawa.

Aha. Skoro lepiej widział, to pewnie i węch mu się wyostrzył. Zza rogu wybiegł nastolatek. Wysoki, z kręconymi, złocistymi włosami, ubrany w dżinsy i czarny T-shirt z długimi rękawami. Omal na nią

nie wpadł.

- Przepraszam - wymamrotał, unosząc rękę, jakby chciał ochronić Rachel przed upadkiem. Spojrzał jej w oczy, ale szybko odwrócił wzrok.

Wyglądał, jakby płakał.

Rachel patrzyła za chłopakiem, idącym w dół wzgórza szybkim krokiem. Ugiął się pod ciężarem wielkiego płóciennego plecaka, który dźwigał na ramionach.

- Rachel? - dobiegł głos Evana z telefonu.

- Muszę kończyć. Później pogadamy.

- Rozłączyła się i spiesznie ruszyła za chłopakiem.

- Hej!

W połowie drogi do następnej przecznicy zatrzymał się i odwrócił. Wciąż szła w jego stronę, ale teraz już wolniej, bo nie chciała, by odebrał tę jej pogoń jako zagrożenie.

- Wszystko w porządku?

Otworzył usta, zaniepokojony. Nagle wybił się z miejsca, obrócił błyskawicznie i ruszył biegiem. Pędził jak diabli. Na skrzyżowaniu Church i Jefferson samochody miały zielone światło, jechały z obu stron. Chłopak przyhamował i skręcił w prawo, znikając za rogiem.

Rachel pobiegła w dół ulicy, ale kiedy dotarła do skrzyżowania, nie dostrzegła ani śladu uciekiniera. Zadzwoiła jej komórka. Spodziewała się Strouda, ale dzwonił ojciec.

- Umówiłem się z Phillipem Albą u niego w domu koło Starej Tuoneli dziś późnym popołudniem. Chciałem się tam trochę rozejrzeć - powiedział. - Ale coś mi wyskoczyło, a nie mogłem się z nim skontaktować. Będziesz miała czas, żeby tam wpaść? Po prostu rzucić okiem. Zabierz ze sobą Dana.

Rachel poczuła nagłą słabość w nogach i rękach. Stara Tuonela była ostatnim miejscem, do którego miała ochotę jechać.

- Rachel? Jesteś tam? Zaczepnęła głęboko powietrza.

- Jestem.

- Chyba straciłem na chwilę zasięg. Słyszałaś, co mówiłem o Albie? Ma dziś wieczorem próbę w teatrze, więc wybiera się tam specjalnie na spotkanie ze mną.

- Tak, słyszałam. Mogę pojechać.

Oczywiście, że mogła. Wycieczka do ST była właśnie tym, czego potrzebowała.

Szansą udowodnienia, że podczas badania ciała Chelsea Gerber uległa jedynie złudzeniu wywołanemu przez słabe oświetlenie, niski poziom cukru albo opary... Pożegnała się z ojcem i przerwała połączenie. Wyświetliła na ekranie książkę telefoniczną, odszukała numer Dana i wcisnęła „połącz”. Dodzwoniła się na pocztę głosową i zostawiła wiadomość z prośbą, żeby się z nią skontaktował, jeśli ma ochotę przejechać się do ST.

Dwie godziny później, nie doczekawszy się żadnego odzewu, pojechała sama. Może tak było lepiej. Jeśli zaczniesz świrować, będzie mniej wyjaśniania.

Jej rodzice nie wiedzieli o tym, ale Rachel czasami jeździła na rowerze osiem kilometrów do Starej Tuoneli. Niezbyt rozsądnie, zwłaszcza w przypadku młodej dziewczyny.

Skręciła z wąskiej, nieoznakowanej asfaltowej drogi w jeszcze węższą, żwirową. Ktoś, kto nie wiedział, że Stara Tuonela kryła się tam między wzgórzami, nigdy by jej nie dostrzegł. Zapewne właśnie dlatego pierwsi osadnicy wybrali to miejsce.

Kiedy minęła zardzewiałą tablicę „Na sprzedaż”, skręciła w lewo i ruszyła pod górę stromą drogą z głębokimi koleinami, prowadzącą głębiej w gęsty las.

Zanim dojechało się na miejsce, już się to czuło – dziwną zmianę powietrza. Stawało się ciężkie, jakby naelektryzowane. Może i to, między innymi, przyciągało ją tutaj, kiedy była dzieckiem.

Przejechała nad płytkim, kamienistym strumieniem i wreszcie zatrzymała się na otwartej przestrzeni. W oddali, tuż przy granicy Starej Tuoneli, stał ciemny, piętrowy dom. Tym razem Rachel była przygotowana na strach, który ją ogarnął. Nie zaskoczył jej, nie osłabił, ale nieznośnie łaskotał w żołądku.

Odruch warunkowy, ot co. Powrót do dziecięcych lęków i fascynacji.

Tata mówił, że tu mieli się spotkać z Albą. Spojrzała na zegarek. Spóźniła się dziesięć minut. Czy on przybył już na spotkanie, znudził się czekaniem i odjechał? Ale nie spotkała żadnego samochodu. A to była jedyna droga dojazdowa.

Wysiadła z furgonetki.

Zaparkowała u stóp wzgórza, poniżej domu, który górował teraz nad nią jak wieża. Nikt nie wiedział tego na pewno, ale mówiono, że ten piętrowy dom o ścianach z ciemnego kamienia wydobytego z kamieniołomu, który od dawna nie istniał, został zbudowany przez Richarda Manchestera, Nieśmiertelnego. Stał na wykarczowanej polanie, na szczycie niewielkiego pagórka. Wokół rosło kilka zdziczałych krzewów, ale ani jednego drzewa.

Czasami Rachel zgadzała się z ludźmi, którzy uważali, że próchniejące domy Starej Tuoneli powinno się wyburzyć i spalić, zetrzeć z powierzchni ziemi wszelki ślad po mieście. Ale inni upierali się, że nie należy ingerować, że jeśli nie zostawi się go w spokoju, może się obudzić coś złego.

Dawny strach zakradł się do mózgu Rachel. A jeśli sama ziemia była przeklęta, naznaczona złem, które rządziło tutaj sto lat temu? Jeśli przodkowie mieli rację, że odeszli stąd, nie oglądając się za siebie?

Rodzice Phillipa Alby pochodzili z Chicago. Jako ludzie z zewnątrz nie wierzyli w przesady dotyczące Starej Tuoneli. Wykupili cały teren ST i zaczęli odnawiać dom. Kiedy nie udało im się zainteresować nikogo swoimi planami przekształcenia ST w turystyczną wioskę, spakowali się i wynieśli w inne strony. Rachel nie poznała osobiście Phillipa Alby, ale był ulubionym tematem plotek w mieście.

Tuż po ukończeniu studiów uczestniczył w fatalnym wypadku autobusu. Tylko on przeżył. Zginęli jego dziewczyna i najbliższy przyjaciel.

Tragiczna historia. Rodzice podsunęli mu, że łatwiej wróci do równowagi w Starej Tuoneli, kończąc remont domu. Przy okazji mógłby trzymać rękę na pulsie, gdyby zjawili się zainteresowani kupnem terenów.

Jego rodzice byli idiotami. Kto wysyłałby syna w tak koszmarnie miejsce, żeby dochodził do siebie po tragedii?

Do diabła. Znowu zaczynała. Znowu wierzyła w te bajki i przesady.

Idź i sama się przekonaj, że nic tam nie ma.

Stara Tuonela to upiorna przeszłość wywlekana przy ogniskach, z latarką pod brodą.

W oddali bezdrzewna łąka spotykała się z czarnym lasem, ogrodzonym dość nowym płotem. Rachel wdrapała się na zamkniętą bramę i pewnie zeskoczyła po jej drugiej stronie.

Obejrzała się na samochód. Jest. Nie przekroczyła żadnej niewidzialnej bariery, pomyślała kwaśno. Ruszyła w stronę Starej Tuoneli, idąc wzdłuż kolein pozostawionych przez konne wozy i bryczki.

Miała dwanaście czy trzynaście lat, kiedy przyjeżdżała tutaj na rowerze. Opierała rower o płot, a potem prześlizgiwała się między luźnymi zwojami kolczastego drutu, który w tamtych czasach ogradzał teren. Któregoś razu podrapała sobie plecy. Kiedy mama spytała, jak to się stało, skłamała. Rzadko okłamywała matkę, ale wtedy był to niekontrolowany impuls, tak samo jak wycieczki na rowerze. Dziewczęta u progu dojrzewania robiły dziwne rzeczy, miały zwariowane pomysły.

Stara Tuonela przemawiała do niej swoim bólem, opuszczeniem i tragedią, a ona jej odpowiadała.

Dróżka otwarła się na boki.

I nagle jej oczom ukazało się miasto, a raczej to, co z niego zostało. Domy wyglądały, jakby wrosły w ziemię. Zapadły się przez lata, krzywe, zrujnowane, zarośnięte zielskiem. Z wyjątkiem młyna na drugim końcu ulicy, większość budynków była niemal całkowicie pożarta przez mech i dzikie wino, drewniane belki spróchniały i spleśniały. Wszystko, co pozostało na zewnątrz, skrywało się pod zapadniętymi dachami.

Odszukała wzrokiem kościół ze starą wałącą się dzwonnica. Kamienny murek otaczający cmentarz nie miał nawet metra, więc pokonała go z łatwością.

Ukryte w zagajniku orzeszników i topól rosło drzewo, które mogło być dębem. Rachel umiała rozpoznać liście dębu, ale to drzewo nie wypuściło liści. Martwe? Umierające? Wyglądało na zaatakowane jakąś chorobą, pień ściemniał od soku i roił się od mrówek.

Jeśli na tym cmentarzu były jakieś groby, to nie pozostał po nich żaden ślad, żaden tradycyjny nagrobek. Rachel podejrzewała, że



płaskie kamienie nagrobne pokryły splątana trawa i zielsko. Drewniane krzyże zapewne rozsypały się już dawno.

Wszystko wyglądało na nietknięte. Nic nie zdradzało czyjejs niedawnej wizyty. Rachel dokładnie obejrzała ziemię wokół pnia podejrzanego drzewa. Tylko trawa i chwasty. Ziemia i kamienie.

Wyjęła komórkę. Dwie kreski... trzy kreski...

Wybrała numer Evana, chcąc prosić go o jakieś wskazówki. Telefon zadzwonił dwa razy i umilkł. Sprawdziła zasięg. Zero. Wybrała numer jeszcze raz, ale nie uzyskała połączenia, więc wrzuciła komórkę z powrotem do kieszeni.

Słyszała brzęczenie pszczół, ćwierkanie ptaków i daleki odgłos sączącej się wody.

W Starej Tuoneli dostawało się gęsiej skórki. To tutaj niewyobrażalnie zły człowiek szlachtował dzieci i pił ich krew.

Ale czasami, tak jak dzisiaj, miasto nie wydawało się takie straszne. Wręcz emanowało spokojem.

Zapadał zmrok.

Rachel włączyła zielone światełko tarczy zegarka. Była tu prawie godzinę. Z wnętrza walącego się kościoła dobiegł jakiś dźwięk. Niemal jak głos. Albo szept.

Kobiocy.

Ludzki.

Rachel zamarła. Poczowała, jak włosy stają jej dęba. Powietrze wokół niej nagle zrobiło się gęste, ciężkie, duszące.

Uciekaj!

Ale zamiast uciekać, ruszyła powoli w stronę kościoła. Chwasty ocierały się o nogawki jej džinsów, a podeszwy adidasów szurały cicho o kamienie chodnika. Szz-szz-szz...

Pchnęła ramieniem drzwi kościoła, uchylając je z trudem.

Czarne wnętrze zapępiały niewyraźne kształty, zapewne kościelnych ław. Prostokątna sala z tynkowanymi ścianami i żelaznym piecykiem na drewno.

Co to jest tam, na drugim końcu?

Kształt.

Kobieta.

Victoria.

Leżała w czymś metalowym. W cynkowanej wannie. Miała długie, piękne włosy. Pochodziła z innej epoki.

Kobieta wstała powoli.

Rachel słyszała plusk wody. Ale to nie była woda. Skądś wiedziała, że to nie woda. Victoria wyciągnęła ku Rachel rękę – tak samo jak w kostnicy, smutnym, błagalnym, bezradnym gestem.

Chciała, by Rachel weszła do kościoła.

Właśnie dlatego nie powinna wyjeżdżać z Kalifornii. Tam nie pokazywali jej się zmarli.

Victoria wciąż przyzywała.

Nie rób tego.

Nie wchodź tam.

Odwróć się i odejdz. Zachowuj się, jakbyś jej nie widziała.

Uciekła.

Teraz, gdy wreszcie ruszyła, gdy jej ciało zareagowało, biegła jak opętana. Jej stopy frunęły nad ziemią i jakimś cudem nie potykała się. Gałęzie siekły jej ręce i twarz, ale nie zwracała na to uwagi.

Nie była w zbyt dobrej formie i po chwili płuca zaczęły ją palić, oddech stał się głośny. Mimo to pędziła przed siebie, w ciemność.

Tuż przed nią wyrosła postać.

Rachel skręciła w prawo. Złapały ją czyjeś ręce.

– Hej!

Męski głos.

Dłonie przytrzymały ją za ramiona.

– Hej, hej, hej! Co się dzieje? Dlaczego pani ucieka? Przepraszam, że panią wystraszyłem. Ale pani wpadła prosto na mnie.

Potrzebowała chwili, by zrozumieć, że to prawdziwy człowiek.

– Pani jest Rachel? – zapytał. – Phillip. Przepraszam za spóźnienie. Zatrzymali mnie w szkole.

Obecność drugiego człowieka natychmiast ją uspokoiła. Otoczył ręką jej ramiona i poprowadził ze sobą. Ruszyli w stronę skraju lasu i bramy, która teraz była uchylona.

– Stara Tuonela została zbudowana na uskoku – powiedział Phillip, chyba próbując w ten nieporadny sposób zająć jej uwagę. – Wiedziała pani o tym? Możemy tu mieć większe trzęsienie ziemi niż wszystko, co widziało San Francisco.

- Staram się o tym nie myśleć.

Dotarli do jej furgonetki.

- Podrapała sobie pani twarz. - Przeciągnął kciukiem po jej policzku i pokazał krew. Jego samochód stał obok furgonetki, z zapalonym silnikiem, na postojowych światłach.

Alba wyglądał na nawiedzonego artystę. Pewnie wychowywała go niania gdzieś na przedmieściach Chicago. Nie, żeby Rachel uważała to za coś złego, ale podejrzewała, że tego rodzaju wychowanie mogło prowadzić do pewnego rodzaju alienacji.

Z łatwością potrafiła wyobrazić go sobie jako studenta college'u, piszącego mroczne wiersze i uczęszczającego na otwarte wieczorki poetyckie. Pewnie nosił czarny golf i okulary w rogowej oprawie. Bardzo poważny. Bardzo tajemniczy.

Włosy miał rozczochrane i przydługie, co jeszcze bardziej upodobało go do Dylana Thomasa. Ludzie w Tuoneli mieli bardzo wysokie mniemanie o Phillipie Albie. Uważali, że to, co robi z młodzieżą i teatrem, to wspaniała sprawa.

- Czy pani tam coś zobaczyła? - zapytał.

- Na przykład co? Przyjrzał jej się uważnie.

- Nie wiem. Dlaczego pani uciekała?

- Po prostu miałam stracha, i tyle.

- Czego pani szukała?

- Grobu. - Wolno, wolniutko brała się w garść.

- Jakiego grobu?

- Grobu Nieśmiertelnego. Słyszał pan może jakieś plotki? Że ten grób jest gdzieś w ST?

Alba przecząco pokręcił głową.

- Tylko tyle, że to możliwe. Ale mówiono mi też, że został pochowany zupełnie gdzie indziej.

- Ja też o tym słyszałam. I pewnie tak jest. Jeśli pan zauważy, że ktoś tu myszkuje, proszę zadzwonić do komendanta Burtona.

- Tak zrobię. Ale odnoszę wrażenie, że pani szukała czegoś konkretnego. Zgadza się?

W normalnych okolicznościach nie udzielałaby informacji tak skwapliwie. Ale wciąż była roztrzęsiona i czuła, że teraz między nimi wytworzyła się swego rodzaju więź. On ją uratował.

- Niektórzy twierdzą, że został pochowany pod korzeniami dębu na kościelnym cmentarzu.

- Pod korzeniami?

- Drzewo zostało zasadzone na jego grobie. Żeby utrzymać go w ziemi. Żeby nie zmartwychwstał.

- Aha. - Phillip skinął głową i uśmiechnął się. Tak jak uśmiechają się ludzie z zewnątrz, bo wygadywała głupstwa. Oni nie wierzyli w miejscowe legendy. Do licha, ona też w nie nie wierzyła.

- I znalazła pani? - zapytał. - Ten grób, znaczy. - Tak miło sobie żartowali.

- Nie. Chyba znalazłam drzewo, ale żadnego grobu.

- Ma pani ochotę wejść na chwilę? - Wycelował kciukiem w stronę domu.

Już miała się zgodzić, kiedy na drodze pojawiły się światła samochodu. Rachel rozpoznała auto Dana. Zatrzymał się, zgasił silnik i wyskoczył z kabiny.

- Hej. - Spojrzał na Rachel, na Albę i znów na Rachel. - Sorry. Dopiero odsłuchałem twoją wiadomość.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś? - zapytała. - Oszczędziłbyś sobie wycieczki.

Dan przeczesał włosy dłonią, zadzierając wysoko łokieć, z drugą ręką opartą na biodrze.

- Nie wiem.

- Ja właśnie wyjeżdżam. No cóż... Przykro mi, że fatygowałeś się niepotrzebnie.

W tej chwili dostrzegli kolejne światła; bliźniacze snopy znikwały i ukazywały się, gdy samochód podskakiwał na nierównym terenie.

- Jezu - mruknął Alba pod nosem. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do tak liczego towarzystwa.

Rachel patrzyła, jak auto pokonuje ostatnie wzniesienie i zatrzymuje się za jej furgonetką. Drzwiczki otworzyły się i z pojazdu wysiadł Evan Stroud. Miał na sobie ciemny, rozpięty płaszcz.

- Widziałem, że próbowałaś się do mnie dodzwonić. I tak jakoś czułem, że możesz być tutaj.

- Przez chwilę stał niepewnie koło samochodu; w końcu ruszył w stronę Rachel, powoli, jakby niechętnie oddalał się od swojego auta.

- Wszystko w porządku?  
- Spojrzał w stronę lasu, ku Starej Tuoneli, ale trwało to tylko moment.

- To krew? - Wskazał twarz Rachel.

Przyłożyła dłoń do policzka.

- Wpadłam na gałąź.

Teraz, kiedy zjawił się Evan, Alba nie wydawał jej się już tak interesujący. Zrobiło jej się głupio z tego powodu. Nawet kobieta w cynkowanej wannie zeszła na drugi plan. Ale tak to było z jej wizjami. Gdy znikwały, przestawały być realne, jak coś, co oglądała w telewizji tuż przed zaśnięciem. Nie wiedziała, co je wywoływało, ale wychodziły z jej wnętrza. Zwykle urojenia. Jak mogłaby - ona, koroner, patolog sądowy - wierzyć, że jest inaczej?

Zadzwoiła komórka Evana, ale ją zignorował. W następnej chwili odezwał się i jej telefon; zauważyła, że teraz ma już duży zasięg. Dzwonił ojciec.

- Jeśli zobaczysz Evana - odezwał się Seymour - to powiedz mu, że mamy chłopaka.

- Chłopaka?

- Tego, który podaje się za jego syna.

Nie spodziewała się usłyszeć czegoś takiego.

- Przekażę mu. - Rozłączyła się. - Naprawdę muszę już jechać - zwróciła się do Alby.

Jego syn. Syn Evana. O co tu chodziło?

Przypomniała sobie nastolatka, którego widziała rano przed biblioteką. Płakał i wyglądał inaczej. Zwykle dało się rozpoznać, kiedy ktoś nie pochodził z Tuoneli. To nie było nic, co można by wskazać palcem; zwyczajny pierwotny instynkt, jak u zwierząt z tego samego miotu, które wyczuwają się nawzajem i potrafią wywęszyć obcych.

- Pan jest Evan Stroud? - zapytał Alba.

Rachel zakładała, że się znają. Wydało jej się dziwne, że nigdy się nie spotkali, biorąc pod uwagę, że Evan napisał książkę o Starej Tuoneli. Alba wyciągnęła rękę i przedstawił się.

- Dzwonił mój tata - oznajmiła. - Kazał ci przekazać, że mają twojego syna na komisariacie.

Po jej słowach nastąpiła długa chwila ciszy.

- Chcesz powiedzieć, chłopaka, który twierdzi, że jest moim synem - powiedział w końcu Evan. - To wielka różnica. - Ale ruszył do samochodu, jakby ten chłopak znaczył dla niego więcej, niż chciał przyznać.

Wszyscy wsiedli do aut. Gęsiego pojechali w stronę Tuoneli, zostawiając za sobą krainę zmarłych.

## Rozdział 9

Cela aresztu była maleńka, z sedesem i umywalką na widoku, tak że każdy mógł sobie popatrzeć. Pewnie celowo tak to urządzili, żeby człowiek nie mógł się powiesić.

Ale o dziwo cela miała okno - może dlatego, że budynek był stary - zakratowane okienko umiejscowione tak wysoko, że Graham nie mógł wyjrzeć na zewnątrz, nawet gdy podskakiwał. Ściany z pustaków pokrywało mnóstwo napisów. Jak ludzie pisali? Żeby pisać, trzeba mieć czym. Grahamowi nie pozwolono niczego zatrzymać. Nic dziwnego, że ten gość, de Sade, pisał książki własną kupą. Nic innego nie miał.

Graham przebywał tu ledwie trzy godziny, ale niewiele mu brakowało, żeby ześwirować.

Nie zrobił niczego złego. Po prostu siedział na skwerze, który tak naprawdę bardziej przypominał park. Co w tym złego? Publiczny park.

Gliniarz, który do niego podjechał, powiedział, że to zabronione i poprosił o dokumenty. Włóczęgostwo i nieletni bez opieki. Takie znaleźli na niego paragrafy. Słabe.

Jeden z gliniarzy w komisariacie zjawił się przed kratą celi. Był młody i dziwnie nieśmiały.

- Potrzeba ci czegoś? - zapytał. - Wody? Coś do jedzenia? Graham pokręcił głową. Nie powinni być dla niego mili. Nie chciał, żeby byli mili. Może coś kombinowali?

- Jaki dzisiaj dzień?

- Czwartek.

- Nie, chodzi mi o datę. Jaka data?

- Ósmy kwietnia. Jutro ma urodziny. Młody gliniarz poszedł sobie, ale wrócił pół godziny później. Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi celi.

- Komendant Burton chce z tobą porozmawiać w swoim gabinecie. To dobry czy zły znak?

Komendant Burton był stary i chudy i wyglądał na dziadka. Szary garnitur z cienkiego materiału, który pasował kolorem do jego szarych włosów, zwisał z kościstych ramion. Cuchnął dymem papierosowym i smażeniną. W gabinecie wyłożonym boazerią, bez okien, wskazał Grahamowi krzesło naprzeciw swojego biurka. Uśmiechnął się, i Graham się odprężył. Trochę.

- No więc... - Dziadzio wyjął stalową zapalniczkę, przypalił papierosa, zatrzasnął zapalniczkę z głośnym pstryknięciem i w końcu rozparł się w fotelu. - Słyszałem, że wpakowałeś się w drobne kłopoty.

- Nie wiedziałem, że nie wolno siedzieć w parku.

- Jest kilka rzeczy, których nie wolno w parku. Ty nie siedziałeś, lecz spałeś. Nie pozwalamy na spanie i wałęsanie się po parku.

- Jak można się nie wałęsać po parku? - Powinien sprzedawać hot dogi czy jak? - Nie wolno się zdrzemnąć na ławce?

- Ujmę to w ten sposób. Wolno się zdrzemnąć, ale nie wolno rozkładać się na całą noc. Zresztą, to nieważne. - Zbył własne słowa machnięciem ręki. - Jesteś nieletni. Piętnastolatek nie może mieszkać sam, na ławce czy gdziekolwiek indziej.

- Mam szesnaście lat. - Prawie.

- Szesnastolatek też nie może mieszkać sam. A to czyni cię nieletnim bez opieki. Kolejna sprawa: w tym parku kogoś zamordowano, niedaleko od miejsca, gdzie spałeś, raptem dwa dni temu. A jako że sprawcy często wracają na miejsce zbrodni, wybrałeś sobie wyjątkowo fatalne miejsce na obóz.

Przerwał, by kilka razy zaciągnąć się głęboko papierosem, po czym odłożył go do dużej szklanej popielniczki.

- Gdybym miał wnuka w twoim wieku, nie chciałbym, żeby wałęsał się po parku. My się o ciebie troszczymy, Graham.

- Hm. Okej. - Pokój był mały, od dymu chłopaka piekły oczy. Komendant zgasił papierosa i zaniósł się kaszlem.

Dlaczego nie rzucisz palenia? - miał ochotę powiedzieć Graham. Mówisz mi, że jestem głupi, bo śpię w parku, a sam się zabijasz.

Kiedy facet wreszcie przestał kasłać, zachowywał się, jakby nic się nie stało.

- Chyba że to ty jesteś sprawcą. - Pochylił się do przodu. -



Zjawiłeś się w mieście tej samej nocy, kiedy dokonano morderstwa.

- Co? - Serce Grahama zabiło niespokojnie. - A co to ma do rzeczy?

- Może nic. - Burton wzruszył ramionami.

- Pan myśli, że ja kogoś zabiłem? - To jakieś szaleństwo. Myślał, że jego życie nie może się już bardziej popieprzyć, ale najwyraźniej się mylił.

- Osobiście nie sądzę, żebyś kogokolwiek zabił, ale to jeszcze nie znaczy, że nie jesteś podejrzany. Już sam twój przyjazd w tak fatalnym momencie wzbudza podejrzenia.

- Ale ja byłem u Evana Strouda. Zapytajcie go.

- Zapytaliśmy. Podał nam przybliżony czas twojego pojawienia się na werandzie. Wiele godzin po morderstwie. Gdzie byłeś, zanim poszedłeś do Strouda? Masz alibi?

- Siedziałem w samochodzie. Jechaliśmy do Tuoneli. Ja i moja mama.

- Na nieszczęście nie możemy jej znaleźć. Nie mamy dowodu na to, co mówisz.

Czy to znaczyło, że wróci do aresztu? Nie może tam wrócić. Może ten facet tylko go podpuszcza. Chce go wystraszyć, żeby się przyznał, jeśli ma się do czego przyznawać.

- No więc, mam dla ciebie propozycję - powiedział Burton. - Jako że nie możemy znaleźć twojej matki, załatwiliśmy ci tymczasowy dach nad głową, dopóki jej nie namierzemy.

Opieka społeczna. Ale nie areszt.

- Ale przez ten czas, który, mam nadzieję, nie przeciągnie się zanadto, musisz chodzić do szkoły. Nie możemy pozwolić, żebyś się objął po całych dniach.

Graham wzruszył ramionami.

- Świetnie. - Burton uśmiechnął się. Obaj wstali. Staruszek poklepał Grahama po plecach krzepiącym gestem.

- Nieważne, jak źle sprawy wyglądają, zawsze wszystko się jakoś układa. Ktoś zostawił w korytarzu jego plecak. Graham podniósł go i ruszył za komendantem do drzwi. Na zewnątrz, u stóp szerokich marmurowych schodów, stał samochód. Obok auta, ubrany w długi płaszcz i ciemne okulary, mimo nocy, czekał Evan Stroud.

Żołądek Grahama zrobił fikołka.

- No idź. - Staruszek popchnął go łagodnie.

Nie miał dokąd uciekać. Był na komisariacie, do ciężkiej cholery. Gdyby zwał, złapaliby go w sekundę. Wsadziliby go z powrotem do aresztu, gdzie wkrótce zacząłby wypisywać swoje imię śmierzdzącymi literami. Jak robot ruszył sztywno po schodach w stronę Strouda.

- Umowa jest taka - odezwał się Stroud, kiedy siedzieli już w samochodzie i jechali do domu. - Możesz u mnie mieszkać, dopóki tego wszystkiego nie rozwiążemy. A ja pobiorę próbki DNA i wyślę do laboratorium, żebyś się przekonał, że nie jestem twoim ojcem. Żebyś miał jasny obraz sprawy.

- Nie musisz tego robić. - Graham nie zamierzał się pchać tam, gdzie go nie chcą. Miał swoją dumę.

- To nie problem. Chcę ci pomóc, ale nie mogę cię pilnować. Nie mogę za tobą chodzić i sprawdzać, czy poszedłeś tam, dokąd miałeś pójść. Tuonela jest mała i wszyscy wiedzą, co robią inni. Jeśli zaczniesz wagarować, dowiem się.

- Okej. Okej.

Graham nie wiedział, czy to naprawdę jest okej. Był wykończony. Po raz ostatni spał tamtej doby, którą spędził u Strouda. A ta akcja z DNA, może to i dobrze. Może Stroud uwierzy mu raz na zawsze. Może facet spojrzy prawdzie w oczy i poczuje się do jakiejś odpowiedzialności.

# Rozdział 10

Graham siedział przy stole, przyglądając się Stroudowi. Kiedy ten się odwrócił, chłopak szybko spuścił wzrok na dwa sadzone jajka, ześlizgujące się z łypatki na stojący przed nim talerz. Po nich zjawily się tost i sok pomarańczowy.

Stroud usiadł.

- Musisz zjeść porządne śniadanie, zanim pójdziesz do szkoły.

Czy wampir puszczałby takie teksty o śniadaniu? Czy wampir w ogóle zrobiłby śniadanie?

Graham wziął widelec. Nie unosząc głowy, zerknął przez firankę włosów, wijących się na czole. Stroud wyglądał całkiem zwyczajnie, tyle że był strasznie blady.

Zjadł kęs. I następny. I nagle zawstydził się swoich własnych głupich myśli.

Przyjechał po niego starszy z komisariatu.

Nie dali mu się nawet porządnie wyspać. Stroud przywiózł go do siebie. Graham przekimal się chyba z pięć minut, a przynajmniej tak mu się wydawało, a już Stroud stał nad jego łóżkiem i budził go, mówiąc, że niedługo przyjedzie komendant i zabierze go do szkoły. Może to była ich strategia: złamać go brakiem snu.

Brnij do przodu, młody. Po prostu brnij przed siebie. Nie ma tu nad czym myśleć.

Samochód był stary i wielki i niemal płynął ulicami. Komendant siedział rozparty w fotelu i kierował jednym palcem. W popielniczce kipiały pety. Stary musiał palić, zanim Graham wsiadł do auta, bo wewnątrz wciąż zasnuwał dym.

Jazda do szkoły zajęła im może z pięć minut. Było na tyle blisko, że Graham spokojnie mógł iść pieszo, ale oni woleli mieć go na oku. Chcieli dopilnować, żeby po drodze nie wpadł do Arizony.

Krażownik zacumował na skraju jezdni. Szeroki chodnik obiegał maszt flagowy i prowadził do schodów i dwuskrzydłowych drzwi.

Grahamowi ścisnął się żołądek.

Miał już dość bycia nowym. Rzygał tym. Matka nigdy nie siedziała na jednym miejscu dłużej niż rok. Nawet nie wiedział, jak to jest nie być nowym, nie być wiecznie na marginesie, definiowanym przez własną obcość.

Budynek był ceglany. Rozłożysty, z płaskim dachem. Lekcje widocznie się już zaczęły, bo nigdzie nie pętała się żywa dusza.

Komendant rozkaszał się z pięścią przy ustach. Kiedy skończył, powiedział:

- Spodziewają się ciebie. - Mówił szybko, bez tchu, jakby chciał wyrzucić słowa, zanim dostanie następnego ataku. Matka też paliła, Graham wiedział więc wszystko o porannych przypadłościach palaczy. - Rozmawiałem dzisiaj z dyrektorem Bonner i wyjaśniłem jej sytuację. Obiecała, że wszystko będzie załatwione, kiedy się zjawisz. Chcesz, żebym z tobą poszedł? Mogę pójść.

- Nie. - Graham otworzył drzwi i przesunął się na siedzeniu. - Poradzę sobie.

- Umówiłem się z moją córką, że cię odbierze. Stąd, punktualnie piętnaście po trzeciej. Przyjedzie białą furgonetką. Będiesz tu, prawda, Graham?

Normalnie powiedziałby „tak”, jednocześnie w duchu mówiąc „nie”. Ale lubił staruszkę. Dlaczego on musi być taki miły?

- Tak. Będę.

- Świetnie. - Stary uśmiechnął się i pomachał mu. - Za drzwiami skręć w prawo.

Nie odjechał. Czekał, aż Graham pokona chodnik, minie maszt flagowy i wejdzie przez dwuskrzydłowe drzwi.

Szkoła śmierdziała książkami, ciałami i pastą do podłóg; żołądek Grahama znów zaczął się burzyć.

Staruszek miał rację: czekali na niego w sekretariacie. Sekretarka przywitała go skąpym, sztucznym uśmiechem, który mówił, że pracuje tu już zbyt wiele lat i teraz nienawidzi każdego gówniarza, jaki przyszedł na świat, ale próbuje to ukrywać, bo w głębi duszy wie, że nie wolno tak nienawidzić wszystkich bez wyjątku.

Dała mu plan lekcji, plan budynku, szyfr do szafki i kupony do stołówki.

- Kto za to zapłacił? - zapytał Graham.  
- Pan Stroud. Rychło, kurde, w czas.  
- Najpierw masz angielski z panem Richardsem. Sala sto dwa. Do końca korytarzem i w lewo.

Graham spojrział na drukowany plan lekcji. Co on tu w ogóle robi?

- Dzięki.

- Ale wiesz co, może lepiej pójdę z tobą. - Opuściła bezpieczną przestrzeń za biurkiem i ruszyli razem korytarzem.

Na ścianach poprzyklejane były pasy papieru pakowego, pokryte graffiti wykonanym kolorowymi markerami. Dopiero kiedy minęli szafkę z kupką kwiatów i pluszowych zwierzątek na podłodze, zrozumiał, że ta wystawa to hołd dla zamordowanej dziewczyny.

Zatrzymali się przed salą 102. Może i dobrze, że sekretarka z nim poszła. Bo w tym momencie pewnie by zwiął.

Sięgnęła obok niego do klamki i otworzyła mu drzwi.

- No idź.

Wszedł, ale zatrzymał się zaraz za progiem. Postąpiła za nim.

- Mam dla pana nowego ucznia, panie Richards. Milion oczu zwróciło się na niego i zaczęło gapić.

Nauczyciel siedział na rogu biurka z przodu klasy, z nogą dyndającą w powietrzu.

- Zajmij miejsce. Które chcesz.

Wszystko ginęło we mgle zażenowania i skrępowania. Graham nie cierpiał być nowym. Nienawidził.

Gorączkowo rozejrzał się za wolnym miejscem, popędził prosto ku niemu i opadł na krzesło błyskawicznie. Chłopak przed nim uśmiechnął się półgębkiem i odwrócił z powrotem. Po chwili ogólnego szurania wszyscy znów siedzieli przodem do nauczyciela.

Graham, przygarbiony, czekał, aż jego serce przestanie walić jak głupie.

Trochę to trwało.

Zupełnie do niego nie docierało, o czym mówi nauczyciel. Miał to w nosie, ale skupił się z grubsza, kiedy facet stanął obok niego. Równie nagle na jego ławce pojawiła się książka.

Dlaczego szkolne podręczniki zawsze wyglądały jak rzygi? Czy ktoś umiał to wyjaśnić? Czy to dlatego, że ktoś w nie narzygał? Czy

to wina tuszu? Papieru? A może po prostu kojarzyły mu się z rzyganiem? Nigdy nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, a ilekroć o tym wspominał, nikt jakoś nie miał odpowiedzi.

Coś miękkiego uderzyło go w tył głowy i na podłodze wylądował zmięty kawałek papieru. Zignorował go. Kolejne trafienie. Graham obrócił się na krześle, gotów pokazać komuś palec, i nagle dostrzegł Isobel siedzącą na końcu klasy. Pomachała do niego, wskazała go palcem, wskazała podłogę, po czym uniosła obie ręce dłońmi do góry, pytając na migi: „Co ty tu robisz, do diabła?”

Ale uśmiechała się. Wyglądała na zaskoczoną i ucieszoną jednocześnie.

Odpowiedział uśmiechem i wzruszył ramionami. „Nie mam pojęcia. Po prostu spadłem z nieba”.

Ktoś odchrząknął – dźwięk mający ściągnąć uwagę Grahama. Potrzebował sekundy, by się zorientować, że nauczyciel, pan Richards, grzecznie próbuje skłonić go, by odwrócił się we właściwym kierunku i zaczął słuchać.

Nie chciał się wyzywać na nowym.

Graham zwrócił się przodem do tablicy, ale przez resztę lekcji wyraźnie czuł obecność Isobel, siedzącej kilka ławek za nim.

Po dzwonku czekała na niego na korytarzu.

- Co ty tu robisz? - Była ubrana w kolejną czarną spódnicę, różowe legginsy i różowy sweter. We włosach miała dwie żółte plastikowe spinki, prawie w tym samym kolorze, co duża, brezentowa torba na jej ramieniu.

Stojąc obok niej, Graham przypomniał sobie, że jest ubrany w te same ciuchy, w których spał. Nie brał prysznic, nie był nawet pewien, kiedy ostatnio mył zęby.

Gdy sobie to uświadomił, poczuł się tak, jakby ktoś wyszarpnął mu dywan spod nóg. Gadanie z dziewczynami było wystarczająco trudne, nawet kiedy człowiek nie śmierdział.

Wbił wzrok w podłogę.

- Długo by wyjaśniać. - Jego słowa brzmiały szorstko i niecierpliwie, jakby Isobel go nudziła, jakby chciał się od niej uwolnić. Nie chciał, żeby to tak zabrzmiało.

- Aha. - Jej uśmiech zniknął; cofnęła się o krok. Po jej minie było

widać, że próbuje zrozumieć, co się właśnie stało. – Okej.

– Graham!

Odwrócił się i zobaczył twardzieli z Brzoskwinki, idących w jego stronę ciężkim krokiem. Travis, ten z kosią bródką, który powiedział mu o perwersie od zdjęć, wyciągnął rękę. Graham wyciągnął swoją, by się przywitać, i Travis plasnął w nią z rozmachem. Graham nie cierpiał takich popisów.

– Co ty tu robisz, stary? – zapytał Travis.

– Postanowiłem trochę się pobujać.

– Ekstra. Powinieneś wyjść z nami po szkole.

– Nie mogę.

– To później. Wieczorem.

– Ehm... – Graham obejrzał się przez ramię. Isobel nie było. Zauważył ją w oddali, jej jasne włosy wyróżniały się w tłumie uczniów idących korytarzem w przeciwną stronę. – Nie mam kasy. – Była to prawda, i to lepsza niż przyznanie się, że nie wolno mu wychodzić z domu.

– Nie potrzebujesz kasy – odparł Travis. – Krążymy po mieście i rozglądamy się, co by tu porobić, albo po prostu siedzimy w Brzoskwince.

Dziś były urodziny Grahama. W swoje urodziny człowiek powinien robić to, na co ma ochotę.

Rachel zaparkowała furgonetkę naprzeciw liceum i zgasiła silnik. To nie była ta sama szkoła, do której chodzili z Evanem. „Nowe” liceum zbudowano dziesięć lat temu.

Tłum młodzieży wylał się przez frontowe drzwi; wypatrywała chłopaka z kręconymi, jasnymi włosami. Wysokiego. Chudego jak szczapa, jak to określił ojciec. I, jak twierdził, niezłego mądrałę.

Po chwili dostrzegła nastolatka z dziką szopą kręconych włosów, idącego w stronę furgonetki. Przyglądał się pojazdowi z lekko zdezorientowaną miną. Nagle zdała sobie sprawę, że to rzeczywiście chłopak, którego widziała w mieście koło biblioteki.

Pomachała do niego przez przednią szybę.

Przeszedł przed maską i wsiadł od strony pasażera.

– Powiedział, że będzie biała furgonetka. Tylko zapomniał wspomnieć, że na boku będzie miała napis „Okręgowy Patolog

Sądowy".

Faktycznie. Mądrała. Rachel wyjechała na jezdnię.

- Mój tato lubi dawać ludziom do myślenia.

Mądrała był nerwowy; długie, cienkie palce bębniły w okładkę notesu. Ale starał się udawać spokojnego, wyluzowanego, znudzonego.

Zerknęła na niego szybko. Ojciec miał rację: nie przypominał Evana. W każdym razie nic nie rzucało się w oczy. Wydawał się niemal piękny z tymi lokami, czystą cerą i ładnymi kośćmi policzkowymi. Jak anioł. Ale przecież Lydia była tak piękna, że ludzie na ulicy przystawali i gapili się na nią.

- To pani jest patologiem? - zapytał Graham. - Czy tylko pani dla niego pracuje?

Nie tylko była kobietą, ale na dodatek ubierała się zgodnie z powagą stanowiska; wołała dzinsy i koszulki.

- Ja jestem patologiem.

- Czyli przeprowadza pani sekcje zwłok?

A jego głos? Czy było w nim cokolwiek z Evana? Graham miał głęboki, młody głos i trochę przeciągał samogłoski, co wskazywało na południowe pochodzenie. Ale nie miał ewidentnego południowego akcentu.

- Jestem patologiem sądowym i koronerem - wyjaśniła. Skinął głową.

- Fajnie.

Teraz dzieciaki lubowały się we krwi i flakach. Inaczej niż w jej licealnych czasach, kiedy dziewczyny mdlały nad pokrojonymi żabami. Ona zawsze podejrzewała, że te omdlenia to przedstawienie na użytek chłopców, którzy to uwielbiali.

Graham spojrzał przez ramię.

- I wozi tu pani ciała?

- To wcale nie takie efektowne, jak ci się wydaje.

Co zrobi Evan, jeśli okaże się, że Graham jest jego synem? Co wtedy? Skoro przez całe życie zaprzeczał jego istnieniu?

- Jak było w szkole?

Nie umknęło jej, że nagle los rzucił ją w imitację życia, jakie wiele lat temu wymarzyła dla siebie i Evana - jeśli nie liczyć karawanu i



wampirzych zwyczajów.

- Szkoła jak szkoła. - Wzruszył ramionami. - Chyba wszystkie są takie same.

- Potrzebujesz czegoś, zanim pojedziemy do Evana? Zastanowił się chwilę.

- Zjadłbym coś. Nie mówiła o jedzeniu; miała na myśli przybory szkolne.

- To może wstąpimy do kawiarni? - Chętnie napiłaby się kawy. Przyszło jej do głowy, że Graham gra na zwłokę, że może wcale nie spieszy mu się do spotkania z Evanem.

Zahamowała przed czerwonym światłem i skorzystała z okazji, żeby jeszcze raz przyjrzeć się pasażerowi. Może i był piękny, ale przy tym wyglądał mizernie, jakby potrzebował tygodnia dobrych posiłków i porządnego snu. Pod oczami, wyzierającymi spod jasnych loków, widniały ciemne sińce.

Porzucony.

Jakie to uczucie, być porzuconym? A jeśli Evan nie jest jego ojcem? To chyba było ważniejsze pytanie. Co się wtedy stanie z tym dzieckiem?

Nagle zauważyła plakat na drewnianym słupie elektrycznym. Z napisem „Zaginęła” i zdjęciem młodej kobiety. Skręciła w prawo i stanęła przy krawężniku, żeby się lepiej przyjrzeć.

Karen Franklin. Dwadzieścia sześć lat. Rachel przypomniała sobie piąte przez dziesiąte, że słyszała coś o zaginionej dziewczynie w wiadomościach. Ostatni raz pojawiła się w barze, w mieście oddalonym od Tuoneli jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów na północ. Nie widziano jej od trzech tygodni.

Czy można dostrzec jakieś podobieństwa między tym przypadkiem a morderstwem Chelsea Gerber? Raczej nie, poza tym, że obie ofiary były płci żeńskiej. Mimo to postanowiła, że obgada to z tatą. Komendant czekał na wyniki z laboratorium i wydawało się, że pokłada trochę zbyt wiele wiary w badaniach DNA. Nie przywykł do morderstw, a ona musiała mu jakoś wyjaśnić, że dowody DNA nie są tak niezawodne, jak to pokazywano w telewizji. Niektórzy, nawet starzy wyjadacze, żyli w błędnym przekonaniu, że DNA rozwiąże każdą sprawę.

Bo jeśli nawet w próbkach pobranych z ciała Gerber znajdzie się cudze DNA? Co wtedy? Wezmą próbki od wszystkich mieszkańców miasta? Przeprowadzano już takie akcje w mniejszych społecznościach. Nie można zmusić ludzi do udziału, ale presja społeczna jest ważnym czynnikiem w takich miejscach jak Tuonela.

Jej ojciec musi się temu przyjrzeć. Sprawdzić, czy jego podejrzani nie kręcili się po Summit Lake w Wisconsin tamtego dnia, kiedy zniknęła młoda kobieta.

Evan założył ciemne okulary. Jednym palcem odrobinę uchylił ciężkie kotary w salonie. Powinni już być. Lekcje skończyły się dwadzieścia minut temu.

Opuścił kotarę i spojrzął na bezprzewodowy telefon w dłoni. Ma zadzwonić do Rachel? Spytać, czy wszystko w porządku?

Poczekaj jeszcze chwilę. Może Graham musiał pogadać z nauczycielem albo dyrektorką. Może pod szkołą był korek.

Telefon w jego dłoni zadzwonił. Evan podskoczył i odebrał.

- Wpadliśmy coś przekąsić - oznajmiła Rachel. - Będziemy za piętnaście minut.

Evan przeszedł przez salon do kuchni, zbliżył się do stołu i podniósł zestawy z testami na ojcostwo, które wcześniej przywiózł mu ojciec Rachel.

- Mam dla niego zajęcie, kiedy wróci.

Słyszał hałas w tle. Muzykę. Rozmowy. Brzęk naczyń. Wyobraził sobie, że siedzą przy stoliku przy słonecznym oknie.

- Piętnaście minut - powtórzyła i rozłączyła się. Przyjechali przed czasem.

Evan był pod wrażeniem.

Graham wpadł do domu, pachnący kawą, czekoladą i cebulą. Kiedy się żyje w izolacji, nos robi się wrażliwy na takie rzeczy, zupełnie tak, jak dym papierosowy stał się wyczuwalny, kiedy wprowadzono zakaz palenia w miejscach publicznych. Komórki węchowe wychwytyją to, co nieznanym, ignorując całą resztę.

Graham zamknął drzwi i rzucił stertę książek na fotel. Dał się słyszeć warkot odjeżdżającej furgonetki. Evan przez chwilę czuł się zawiedziony. Miał nadzieję, że Rachel wejdzie do domu. Ale on i Graham mieli coś do załatwienia.

- Komendant Burton przywiózł mi zestawy do testów DNA - powiedział.

- Jak długo trzeba czekać na wyniki?

- Pięć do dziesięciu dni. Okej. Evan wiedział, że to będzie dziwna sytuacja. Przygotowywał się do niej psychicznie cały dzień. Ale teraz, gdy ta chwila nadeszła, czuł się jeszcze dziwniej, niż się spodziewał. I niezręcznie jak diabli.

Ale to był najlepszy sposób. Nie mógł przecież wypalić prosto z mostu, że owszem, uprawiał seks z jego matką. Raz. I użyli prezerwatywy. I że przynajmniej dwudziestu innych chłopaków w mieście też poszło z nią do łóżka. I poważnie wątpił, czy wszyscy użyli kondomów.

Lydia była nimfomanką.

Czegoś takiego też się nie mówi nastolatkowi.

Wiedział, że będzie ciężko, kiedy przyjdą wyniki. Graham najwyraźniej przez całe swoje życie uważał go za ojca. Teraz ta odrobina porządku, jaką to przekonanie wносиło do jego życia, miała zostać zniszczona. Ale przynajmniej pozna prawdę.

- Zaczynij od wypłukania ust - zarządził. - Żeby do próbki nie dostały się cząsteczki jedzenia. Potem musisz potrzebować szpatułkę między dziąsłem a policzkiem, dość mocno, ale nie tak, żeby bolało. W tę i z powrotem. Nastawię minutnik na dwadzieścia sekund.

Graham wypłukał dokładnie usta i wypłuł wodę do zlewu. Evan podał mu zestaw i wziął drugi dla siebie. Jednocześnie rozdarli pakiety i wyjęli szpatułki.

Wolną ręką Evan nastawił minutnik piekarnika.

Stojąc twarzami do siebie, obaj wetknęli szpatułki do ust i zaczęli energicznie pocierać w przód i w tył.

Dwadzieścia sekund to długo, kiedy robi się coś takiego. Evan miał ochotę się odwrócić, zapewnić sobie trochę prywatności, ale musiał patrzeć, by mieć pewność, że Graham prawidłowo pobrał próbkę.

W końcu rozległ się dzwonek.

Obydwaj wyjęli szpatułki z ust.

- Pomachaj tym w powietrzu.

- Evan zademonstrował.

- Niech trochę przeschnie.

Wetknęli szpatułki, każdy do swojego woreczka, i zapieczętowali je.

Powtórzyli próbę. Evan wpadł na pomysł, by zdublować test, na wypadek, gdyby Graham nie uwierzył w rezultaty. Dwa negatywne wyniki nie podlegają dyskusji. Zamierzał odesłać chłopaka do domu bez żadnych wątpliwości.

Gdy skończyli drugi test, przykleili etykiety. Wszystko razem zostało zapakowane w pudełka i przygotowane do wysyłki.

- Kurier z FedEx odbierze to rano - wyjaśnił Evan.

- Chciałbym wyjść dziś wieczorem - oznajmił nagle Graham. - Porobić coś.

- Masz na myśli kino, na przykład? - zapytał Evan, zaskoczony, ale i zaintrygowany pomysłem. - Moglibyśmy pójść. - Ileż ultravioletu mogły emitować lampy w holu? Jakoś by się przemknął. Boże, nie był w kinie od lat.

- Nie, chciałbym iść sam. No, niezupełnie. Mam się spotkać z moją grupą ze szkoły. W mieście, w Brzoskwince.

Evan pomyślał o incydencie z bronią. Nie mógł przestać o tym myśleć. Obraz Grahama z lufą przy skroni, z zaciśniętymi powiekami, pewnie pozostanie wyryty w jego mózgu na zawsze.

- Nie po to pilnowaliśmy cię cały dzień, żebyś się włóczył samopas wieczorem. Tymczasem jestem za ciebie odpowiedzialny. Skąd mam wiedzieć, czy znów nie uciekniesz?

- Wtedy uciekłem, bo zadzwoniłeś po opiekę społeczną. A dzisiaj... gdybym chciał, mogłem zwać ze szkoły. To jest co innego. I dlaczego miałbym teraz wiać? Nie sądzisz, że wolę zostać i zobaczyć twoją minę, kiedy dostaniesz to z powrotem? - Wskazał paczki na stole.

Też racja.

- Jeśli poczekaś do zmroku, to cię podwiozę.

# Rozdział 11

Travis wbił łopatę w kupę miękkiej ziemi i spojrzał w niebo.

- Robi się ciemno. Tutaj tak szybko zapada noc. Jak to się dzieje? Tak się jakoś zakrada do człowieka.

Craig Johnson stał i gapił się, jak jakiś cholerny jaśniepan.

- Mam w dupie, jak to się dzieje; chcę tylko skończyć i wypieprzać z tego miejsca.

Byli na cmentarzu w Starej Tuoneli i kopali pod spróchniałym dębem.

- Może gdybyś pomógł kopać, to by nie trwało tak długo.

- No co, jest tylko jedna łopata. Jak mamy we dwóch machać jedną łopatą? A poza tym to ja się bardziej narobiłem, kiedy go wykopywaliśmy. Wtedy ziemia była o wiele twardsza. Ręce mi krwawiły. Ty go tylko przywracasz na łono natury.

Travis chciał wspomnieć, że wykopywali go w biały dzień. Nie było mowy o żadnym pieprzonym zmroku.

- Podrzucimy go gdziekolwiek. - Nabrał ziemi na łopatę i gniewnie sypnął na bok. - Dlaczego musimy się z tym pieprzyć?

- On chce, żebyśmy go wsadzili tam, skąd go wyciągnęliśmy. Ruchy. Pospiesz się. Dokopałeś się już do trumny?

- Za ciemno, nie widzę. Przynieś latarkę.

- Nie mam. Travis cisnął łopatę na ziemię.

- Pieprzę to.

- On chce, żeby to dzisiaj zakopać.

- To sam se zakop. Nie jestem twoją dziwką. Ani jego. Dlaczego sam nie może tego zrobić?

- Myślisz, że on będzie sobie brudził rączki? Zapomnij. Po prostu się przyznaj, że robisz w pory, kiedy jesteś tu po ciemku.

- A ty to nie?

- Podobno jesteś Nieśmiertelnym. Jak możesz się bać? Tego miejsca? Powinieneś się tu czuć jak w domu. Zdaje mi się, że nie podchodzisz do tego na serio. Dla ciebie to tylko zabawa.

Travisowi bardziej się podobało, kiedy byli sami. Tylko ich paczka.

- Gdybym nie podchodził na serio, nie stałbym w pieprzonym środku pieprzonej Starej Tuoneli i nie kopał pieprzonych dziur na pieprzonym cmentarzu.

Brandon, który opierał się tyłkiem o otwarty bagażnik samochodu, pił wódkę z gwinta i miał oko na trupa, nagle jakby wytrzeźwiał.

- Co to jest? Widzicie to? Te światła?

- Światła? - Travis się wyprostował. - Spileś się. Lepiej, żeby się okazało, że zostawiłeś coś dla mnie. Ja to kupiłem.

- W powietrzu. Nad tamtym jarem. Widzicie? Są dwa. Zielone. Nie widzicie ich?

- No. - Johnson zrobił parę kroków w stronę samochodu. - Latają w kółko.

- Lecą w tę stronę? - Głos Brandona brzmiał jak u dziewczyny. Travis pomyślał, że będzie z tego boki zrywał. Później.

- Lecą w naszą stronę? Kurwa! Upiorne ogniki. To jest to. Wujek mi o nich mówił. Widział je tu kiedyś. Upiorne ogniki.

Rzucili się do ucieczki.

Travis cisnął łopatę do bagażnika, obok trupa. Brandon zatrzasnął klapę. Wpakowali się do samochodu. Johnson zapalił silnik i wrzucił wsteczny. Wystrzelili jak z procy, tyłem, podskakując na wybojach, aż w końcu przemknęli przez otwartą bramę.

- Stop! - wrzasnął Travis. - Musimy zamknąć.

Wóz zatrzymał się gwałtownie. Travis wyskoczył, zamknął bramę na klucz i zanurkował z powrotem do samochodu.

Czy światła się zbliżały? Załomotał w deskę rozdzielczą.

- Wio! Wio! Ruszyli jak szaleni, buksując oponami.

- Ciągle mamy truposza - rzucił Brandon bez tchu. - On chciał, żeby go dzisiaj pochować.

- Zrobimy to jutro.

- Travis obejrzał się przez ramię.

- Wrócimy tu i zakopimy go za dnia. Nikt się nie dowie.

Graham wziął prysznic i ubrał się w czyste ciuchy. Umył zęby. W swoim zaimprovizowanym pokoju położył się na łóżku, myśląc, że

przymknie tylko oczy na parę minut...

Kiedy się obudził, było ciemno.

Macając gorączkowo wokół siebie, zapalił światło i stwierdził z ulgą, że zegar pokazuje ledwie parę minut po siódmej.

Stroud siedział na kanapie w salonie, z laptopem na kolanach.

Graham wiedział, że facet jest pisarzem. Nawet obejrzał parę jego książek w bibliotece, ale nie przepadał za czytaniem. Obowiązkowa lektura Władcy much i Beowulfa w zasadzie wyczerpała jego dobre chęci. Ale może Stroud wcale nie zajmował się pisaniem. Może był uzależniony od czatów. Albo od eBay. Licytował pierogi z twarzą Jezusa. Albo bułkę w kształcie Matki Teresy.

Stroud podwiózł go do miasta.

- Masz jakieś pieniądze? - zapytał, parkując przy krawężniku pod Brzoskwinką.

Graham pokręcił przecząco głową.

Stroud wyciągnął dziesięciodolarowy banknot i mu wręczył.

- Dzięki. - Za co on mu dziękował? Facet wykręcił się sianem. Przez szesnaście lat nigdy nie zapłacił ani centa. - Ktoś mnie podwiezie z powrotem.

Stroud sięgnął do kieszeni wełnianego płaszcza i wyjął komórkę.

- Weź to i zadzwoń, jeśli będziesz potrzebował transportu do domu. I pamiętaj, godzina policyjna w dni robocze jest od dziesiątej trzydzieści. Ciebie obowiązuje podwójnie.

Graham wziął telefon i omal znów mu nie podziękował, ale ugryzł się w język.

- Będę patrzył na zegarek.

W Brzoskwince grała głośna, pulsująca muzyka. Portishead. Dawno już nie słyszał Portishead.

Szybko omiół salę spojrzeniem, szukając dziewczyny o jasnych włosach. Ale Isobel nie było. Zamówił gorącą herbatę.

- I jedno takie. - Wskazał jakiś rodzaj ciastka w szklanej gablocie. To mógł być jego tort urodzinowy.

- Jabłkową Betty? - zapytała dziewczyna za kontuarem. Betty? Przyjrzał się uważniej.

- A macie coś z lukrem? Dziewczyna schyliła się z tyłu gabloty,

wyciągając szyję, i znów wyjrzała zza baru.

- Kruche ciastko.

- To chyba wezmę tę Berty. Zapłacił i zabrał swoje zamówienie na górę. I tam znalazł twardzieli, siedzących przy tym samym stoliku, co poprzednio.

- Hej, jak ci poszło z tym zbokiem? - zapytał Travis, podchodząc, żeby zobaczyć, co Graham niesie na talerzyku. Paznokcie miał pomalowane na czarno, oczy podkreślone kredką. Jego czarne włosy opadały w strąkach wokół twarzy, która właściwie nie była tłusta, ale taka jakaś pyzata. Bardziej jak u dziecka niż nastolatka.

Travis już wcześniej wyglądał jak brudna świnia, ale teraz koszulę i spodnie dodatkowo oblepiała ziemia.

Odłamał kawałek ciastka i wepchnął sobie do ust. Dwaj pozostali nie zwracali na nich uwagi. Jeden spał, a drugi, wysoki, chudy gość z krótkimi, tlenionymi włosami, siedział tyłem do nich i gadał przez komórkę. Jego dzinsy zeszywniały od brudu.

- Nie za dobrze - odparł Graham. - Chciał mnie przelecieć. Fontanna okrucichów wystrzeliła z ust Travisa przy akompaniamencie kaszlu i krztuszenia.

- Wiedziałaś o tym? - rzucił oskarżycielsko Graham. - Wiedziałaś, że to transakcja wiązana?

- No co ty, stary. - Travis uniósł ręce. - Nie miałem pojęcia, że on się w to bawi. Przysięgam na Boga. No, może się domyślałem, ale nigdy nie słyszałem, żeby to było częścią jego małego hobby. Znałem kilku gości, którzy tam chodzili. Żaden nigdy nie powiedział słowa o pieprzeniu. - Przytknął pięść do ust, ramiona mu się zatrzęsły. Teraz się śmiał, dla odmiany. Śmierdział alkoholem.

- Dzięki. - Graham podszedł do krzesła i klapnął na nie ciężko. Travis poszedł za nim.

- Stary, przepraszam. Nie wiedziałem. Graham wziął widelec.

- Zrobiłeś to? - zapytał Travis. Oczywiście miał przekrwione, i Graham zorientował się nagle, że gość jest pijany. - Dałeś się wyruchać?

- W życiu. Wyszedłem bez forsy.

- Kanał. Prawdziwy kanał. Powinni coś z tym zrobić.

- Na przykład co? Pójść na policję? Travis znów się roześmiał, ze zgiętymi łokciami, wiotkimi nadgarstkami.



- Wyobrażasz sobie? Idziesz na policję i mówisz: „Kurde, jeden stary ramol nie dał mi forszy za gołe zdjęcia”.

Jakby i bez tego nie miał dość kłopotów.

- Powinniśmy iść do niego i go postraszyć - obwieścił Travis. - Może trochę mu oklepać facjatę.

- Ja nie robię takich rzeczy.

- Jest ci winien kasę. Kiedy schodzisz pod ziemię, stary, zaczynasz żyć według innych zasad. To, co jest w normalnym świecie, przestaje obowiązywać.

- Jednak nadal obowiązują moje własne zasady. Nie biję starych ramoli, nawet jeśli są zboczeńcami.

- Od tego trzeba zacząć - nalegał Travis. - Kto się lepiej nadaje, żeby mu spuścić łomot?

Po co on tu przyszedł?

Nie po to, żeby zobaczyć się z Travisem i jego kumplami. Sam siebie oszukiwał tym pretekstem. Tak naprawdę miał nadzieję, że wpadnie na Isobel. Liczył, że jakoś nadrobi tamtą katastrofę na korytarzu. Może nawet powie jej, że dziś są jego urodziny...

- Masz. - Wcisnął talerzyk z Betty-Bzdetty w dłonie Trávisa, postawił herbatę na stoliku chłopaków i wyszedł.

Jego buty zadudniły na drewnianych schodach; wypadł na dwór. Wokół nie było nikogo. Ulicą jechało powoli kilka samochodów. Z dłońmi wciśniętymi w kieszenie czarnej bluzy, ze spuszczoną głową, ruszył przed siebie.

Wszystkiego, kurna, najlepszego, stary.

Nie był dumny z tego użalania się nad sobą, ale czasami przyjemnie trochę się poużalać. Szedł długim krokiem, nie podnosząc głowy, aż w końcu znalazł się na skwerze, gdzie aresztowano go ostatniej nocy.

Ruszył biegiem i schował się pod wielkim, zimozielonym drzewem, którego gałęzie opadały do ziemi. Gdy znalazł się w ich cieniu, stanął, by złapać oddech. I gdy tak stał, coś z drugiej strony drzewa przykuło jego wzrok. Błysk światła.

Rozsunął gałęzie.

W oddali widać było grupę małych, migotliwych światełek. Zaciekawiony wysunął się z kryjówki i powoli ruszył w stronę

świateł, aż podszedł dość blisko, by stwierdzić, że to świece. Może z pięćdziesiąt, niektóre w szklanych lampionach, inne po prostu wetknięte w ziemię, migoczące płomykami.

Za świecami leżały pluszowe zwierzaki i bukiety kwiatów. Wisiorek. Kurtka szkolnej drużyny, pośrodku tego wszystkiego stało zdjęcie ładnej blondynki.

Serce Grahama wpadło jak kamień do żołądka.

To ta zamordowana dziewczyna. Nagle zdał sobie sprawę, że to pewnie jest miejsce, gdzie znaleziono jej ciało, i serce zaciążyło mu jeszcze bardziej. Słyszał, jak ludzie gadają o niej w szkole, o tym, że jej ciało było kompletnie wysane z krwi.

Ktoś powiedział nawet, że zrobił to Stroud.

Zagapił się na zdjęcie. Błyszczący papier, duży format. Takie, jakie uczniowie robią sobie przed rozdaniem świadectw maturalnych. Dziewczyna patrzyła na niego, idealna, z białymi zębami. Takie dziewczyny jak ona zostają królowymi balu maturalnego, chodzą z kapitanem drużyny futbolowej. Żałosna szopka, gdyby go ktoś spytał. Ale nie zasługiwała na śmierć.

Kilka świeczek zgasło od wiatru. Ktoś zostawił na ziemi kartonik zapalek. Graham przyklęknął na kolanie, podniósł zapaliki i zapalił świece.

Czy nie powinno się zmówić modlitwy?

Był parę razy w kościele ze znajomymi, ale niewiele wiedział o religii i modlitwach.

- Powodzenia.

Powodzenia? Tylko na tyle było go stać? Trochę późno na takie życzenia. Szczęśliwej podróży. Przykro mi, że nie żyjesz.

Dokąd idą ludzie po śmierci?

Wpatrywał się w zdjęcie dziewczyny tak długo, że nagle wydało mu się, iż jej twarz się zmienia. Niemal jakby jej oczy naprawdę na niego patrzyły, widziały go... A uśmiech... Uśmiech był tak osobisty i prawdziwy, jakby skierowany do niego. Przyłapał się, że odpowiada uśmiechem.

Zerwał się na równe nogi. Rzucił zapaliki na ziemię, odwrócił się i odszedł. Czyżby wariował? Czy ktoś, kto zaczyna wariować, wie o tym? Może i nie. Prawdopodobnie nie. Więc myślenie o tym

znaczyło, że się nie zwariowało.

Z tyłu zbliżył się do niego samochód; dźwięk silnika ledwie przenikał do jego świadomości. Ale w końcu, stopniowo, zdał sobie sprawę, że samochód celowo dotrzymuje mu kroku, pozostając trochę w tyle.

Ostrzegano go, żeby nie włóczył się po nocy. Morderca dziewczyny nie został złapany. Mięśnie jego nóg stężały, gdy sprężył się do szalonego biegu.

- Graham!

Obrócił się na pięcie i zobaczył Trávisa, wywieszzonego przez okno małego zielonego auta.

- Chodź. Gliny skopią ci tyłek, jeśli cię znajdą na dworze po godzinie policyjnej. Wsiadaj.

Podwieziemy cię.

Graham wskoczył do tyłu.

Ktoś siedział w ciemnym kącie naprzeciw. Nie odezwał się, Graham założył więc, że jest nawalony albo śpi.

- Mamy jeszcze parę minut - powiedział kierowca, ten wysoki z tlenionymi włosami.

Jak on się nazywał? Czy Travis nie mówił do niego Johnson? Zaczęli oddalać się od centrum. Kilka przecznic i znaków stopu dalej skręcili do parku założonego na skarpie z widokiem na rzekę.

- Podjedź pod tamten kamienny murek - zarządził Travis. Kierowca, Johnson albo nie Johnson, wdepnął gaz i z rozpędem skręcił za róg, a potem zatrzymał się z piskiem pod murem. Tamci dwaj wytoczyli się z auta. Graham został na miejscu.

Travis i kierowca otworzyli tylne drzwi, wyciągnęli gościa z tylnego siedzenia i zawlekli go przed reflektory.

Graham aż się zachłysnął.

To coś, z czym się siłowali, nie wyglądało jak człowiek, lecz jak jakieś zmumifikowane truchło, ubrane w staromodny surdut. Travis i jego koleś krztusili się ze śmiechu. Byli pijani albo naćpani, albo jedno i drugie.

Skąd oni to wytrzasnęli? Czy to jakaś dekoracja na Halloween? Tak, pewnie tak. Musiało być sztuczne.

- Patrz. - Wysoki chudzielec zaczął udawać, że bzyka trupa, jak

pies, który dopadł czyjejs nogi. - Walę mumię - rzekł. - Walę mumię.

Obaj zgięli się w pół, złamani napadem chichotu. Graham w samochodzie też się roześmiał.

Po minucie, śmiejąc się tak szaleńczo, że ledwie mogli chodzić czy gadać, Travis i chudzielec zawlekli truposza pod murek. Trzymając go, każdy za swój koniec, zaczęli nim bujać, coraz mocniej i mocniej, przygotowując się do rzutu.

- Czekaaj - wykrztusił wysoki, zasapany ze śmiechu. - Mam pomysł. Połóżmy go na murze. O. Właśnie tak. Teraz obróć go na bok. Ekstra.

- Pracowali, chichocząc, aż upozowali go odpowiednio, po czym odsunęli się, by podziwiać dzieło.

- O Boziu - zawyli unisono, przyciskając dłonie do ust. Za nimi pojawiły się światła samochodu.

- O kurka! - Popędzili do samochodu, wskoczyli do środka i odjechali. - Wynosimy się stąd! - powiedział Travis, ledwo opanowując śmiech.

Zadzwoiła komórka; Graham omal nie wyskoczył ze skóry.

- Jest wpół do jedenastej - oznajmił Stroud, kiedy Graham odebrał. - Jesteś jeszcze w kawiarni? Przyjadę po ciebie.

- Nie trzeba - rzucił pośpiesznie Graham. - Mam transport. Zaraz będę. - Rozłączył się i oparł o plecy kanapy, czując jak łomocze mu serce.

Pięć minut później podjechali pod dom Strouda.

Graham miał dość Trvisa i jego koleżków jak na jeden wieczór. Może nawet na dłużej niż jeden wieczór. Wsiadł, zatrzasnął drzwiczki, i samochód odjechał.

W domu Graham zastał Strouda wyciągniętego na kanapie, z rękami pod głową. Oglądał telewizję w przyciemnianych okularach. Koło drzwi stały zabłocone skórzane traperki: dowód, że wychodził.

Stroud wcisnął pauzę i rzucił pilota.

- Miło spędziłeś wieczór?

To natychmiast wywołało z pamięci Grahama obraz truposza, którym Travis i jego kumpel rzucali jak jakąś zabawką. Cofnął się myślami jeszcze dalej, na miejski skwer, do świeczek i zdjęcia

zamordowanej dziewczyny, do Brzoskwinki, w której nie spotkał Isobel.

- Taak. Nie. Było okej. - Usiadł w wielkim fotelu obok kanapy i jego spojrzenie automatycznie powędrowało na ekran telewizora. Żałował, że w ogóle wyszedł. - Co oglądasz?

- Film dokumentalny. Ale możemy pooglądać coś innego. Zajrzyj do tamtej szafki. Ale nie mam *Władcy Pierścieni* ani *Harry'ego Pottera*. Żadnych *Batmanów* ani nic w tym rodzaju.

To co miał, u diabła? Graham nie był specjalnie zainteresowany oglądaniem filmu, ale teraz zaciekawilo go, co też Stroud lubi. No i trochę go wkurzyło, że facet z góry założył, że on nie będzie chciał oglądać dokumentu. Okej, musiał przyznać, że większość nudziła jak flaki z olejem, ale niektóre okazywały się całkiem niezłe.

Podszedł do szafki i otworzył dwuskrzydłowe drzwiczki. Półki wypełnione płytami DVD. Trochę starych filmów, jak *Harold i Maude*. *Nocny kowboj*. *Ojciec chrzestny*. Ale w większości były to dokumenty i podróżnicze kawałki w stylu *National Geographic*. Irlandia. Szkocja. Niemcy. Francja. Miasta w USA, jak Nowy Orlean i Nowy Jork.

Nagle do niego dotarło. Stroud nie mógł pojechać do żadnego z tych miejsc. I nigdy nie będzie mógł.

Graham dotychczas nie zastanawiał się głębiej nad ograniczeniami, jakie stawiała przed Stroudem jego choroba. Wyobrażał sobie tylko, że facet szwenda się po nocy. Unika słońca. Smaruje się grubo kremami z filtrem i nosi koszule z długim rękawem. Ale ten dom to było wszystko. Cały jego świat. Tu początek, tu koniec, i niewiele pomiędzy. Podróżował w wyobraźni. Siedział na kanapie w swoim salonie, a świat przychodził do niego.

Grahamowi zrobiło się trochę niedobrze. Nie bardzo wiedział, dlaczego. Może dlatego, że od tak dawna hołubił w sobie nienawiść do ojca. Wyobrażał sobie, że prowadzi wspaniałe życie, zwolniony z odpowiedzialności za dziecko. Ale jego życie było równie skopane jak życie Grahama. Może nawet bardziej.

Większość ludzi mogła się przynajmniej oszukiwać, że coś wspaniałego czeka na nich za następnym zakrętem. Stroud nie miał złudzeń. To było wszystko. Ten dom. Ta kanapa. Telewizor. Łącze

internetowe. Graham stał w samym środku jego świata.

Zamknął szafkę.

- Co oglądasz?

- Serial Up.

- Co?

- Dokument nakręcony dla brytyjskiej telewizji. Realizatorzy śledzą losy grupy ludzi, zaglądając do nich co siedem lat.

- Chyba coś o tym słyszałem.

- To jest „7 plus siedem”, drugi odcinek, ale mogę zacząć od początku, jeśli chcesz to zobaczyć.

- Nie, nie trzeba. Pooglądam od tego miejsca. - Graham wziął sobie poduszkę z fotela i wyciągnął się na środku dywanu.

- I tak chciałbym jeszcze raz obejrzeć pierwszy. - Stroud wyjął DVD, wrzucił inną płytę do odtwarzacza i z powrotem usiadł na kanapie. - To trochę smutne. - Po tym ostrzeżeniu wycelował pilota w odtwarzacz i puścił film.

Graham zwinął sobie poduszkę pod brodą.

- Jak prawdziwe życie.

Godzinę temu nigdy by nie pomyślał, że ten wieczór tak się zakończy - oni dwaj, oglądający razem telewizję. I że to wcale nie będzie dziwne, ale normalne i zwyczajne. Jednak nie w tym nudnym znaczeniu normalności i zwyczajności. W tym dobrym znaczeniu.

# Rozdział 12

Obudził ją dzwonek telefonu. Rachel spojrzała na bezprzewodową słuchawkę. Dzwonił tato, z komórki. Przywitała go zasnianym „halo”.

- W parku znaleziono ciało - powiedział. Wciskając rękę w materac, uniosła się na łóżku.

- Kobieta? Ta sama przyczyna śmierci?

- Cóż... nie jestem pewien ani jednego, ani drugiego, ale sądząc po ubraniu, założyłbym raczej, że to mężczyzna.

Tylko raz widziała ciało tak okaleczone, że trzeba było poczekać do autopsji, by określić płeć.

- Aż tak źle?

- Przyjedź i sama zobacz. Powiedziałem funkcjonariuszom z patrolu, żeby niczego nie dotykali, dopóki się nie zjawisz. Jesteśmy w Parku Miejskim. Przy Urwisku Zakochanych.

Wciąż panowały ciemności, kiedy Rachel zaparkowała na skraju biegnącej stromo w dół alejki, zakończonej ciasną pętlą i kamiennym murem. Ale do świtu nie było daleko, a to znaczyło, że niedługo będą mieli dość światła i bez generatorów.

Zobaczyła wiekowego, zielonego cadillaca swojego ojca - pożerające benzynę monstrum, z którym nie rozstałby się jednak za żadne skarby. Dwa białe radiowozy ustawiono pod kątem tak, by ich długie światła jak najlepiej oświetlały ciało na murze. Rachel zgasiła silnik furgonetki i wzięła swój zestaw do zabezpieczania dowodów.

Gdy wysiadła, jej uszu dobiegł pomruk cichej rozmowy grupki przygarbionych policjantów. Powietrze było wilgotne, cegły pod jej stopami mokre od porannej rosy. Gdy się zbliżyła, poczuła zapach kawy. Ktoś przywiózł termos i właśnie napełniał kubek. Dostrzegła ojca w popielatej fedorze. Stał sam, plecami do wszystkich, rozmawiając przez telefon. Ściągnęła jego wzrok; pomachał do niej z uśmiechem i wrócił do rozmowy.

Zauważył ją jeden z policjantów.

- Dzień dobry, pani doktor. - Wszyscy cofnęli się, szurając

nogami, i rozstąpili na boki, by mogła przyjrzeć się ofierze. Obserwowali ją, czekali na jej reakcję.

Co u...?

Ktoś wetknął jej latarkę do ręki. Nie odrywając oczu od dziwacznej wystawki, ruszyła naprzód.

Ciało zostało starannie upozowane. Leżało na boku, z łokciem opartym o mur i głową wspartą na dłoni. Nogi były skrzyżowane w pozie, która zapewne miała być swobodna. A może nawet sexy. Na głowę nasadzono czapkę z daszkiem, z reklamą jednej z miejscowych stacji benzynowych. Kilka potarganych kępek włosów. Ciemny surdut.

Teraz zrozumiała, dlaczego ojciec powiedział jej, że nie da się określić płci ani przyczyny śmierci. Ofiara była częściowo z mumifikowanym truchłem.

Ubranie było bardzo stare. Poszarpane, przegniłe i rozpadające się.

- To jest prawdziwe? - zapytał funkcjonariusz z termosem. - Teraz potrafia robić takie rzeczy, które wyglądają jak rzeczywiste. Kiedy to zobaczyłem, pomyślałem, że może ktoś zamówił przez Internet. Nie wydaje mi się, żeby w okolicznych sklepach można było kupić coś takiego.

- No coś ty - zdziwił się inny policjant. - Nie mów, że nie widziałeś mumii, które sprzedają na stacji benzynowej Granta.

Wszyscy roześmiali się na tę uwagę.

Nastrój zrobił się lekki, wręcz kpiarski. Z pewnością nie przypominał ponurej powagi, jaka towarzyszyła odnalezieniu ciała Chelsea Gerber. Prawdopodobnie ktoś zrobił po prostu żałosny żart. Żart, a jednocześnie oszustwo.

Rachel pochyliła się tak, że jej twarz znalazła się trzydzieści centymetrów od trupa.

- Jestem prawie pewna, że to nie jest dowcip. A raczej, że to coś było kiedyś żywym człowiekiem.

- To chore. Wyprostowała się.

- Traktujmy to jak każde inne przestępstwo.

Miejsce „zbrodni” było już lekko naruszone, jako że teren nie został skutecznie ogrodzony i nie zadbano o to, by policjanci nie



zadeptali ewentualnych dowodów. Konsternacja Rachel widocznie odmalowała się na jej twarzy, bo nagle jeden z młodych policjantów trącił łokciem kolegę i pociągnął go do tyłu. Wszyscy inni też się cofnęli.

Aż do przedostatniej nocy nigdy nie musieli stosować w praktyce wiadomości ze szkoleń. A teraz, przy całym zamieszaniu, zapomnieli wszystkiego.

- Wysłałem dodatkowy patrol na służbę - odezwał się ojciec Rachel, stając za jej plecami.

- Ktoś widział coś podejrzanego?

- Było dość spokojnie. Nikomu nic się nie rzuciło w oczy. - Z trudem opanował kaszel, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął papierosa bez filtra i zapalił go. Rachel udało się przygryźć język. Normalnie nie palił przy niej, ale pewnie uznał, że kaszel zaniepokoiłby ją jeszcze bardziej.

Rachel zrobiła mnóstwo cyfrowych zdjęć, a potem prawie tyle samo analogowym aparatem.

Zjawił się Dan; zahamował obok niej. Ślizgając się na butach.

- Przybiegłem tak szybko, jak się dało - oznajmił zdyszany. Miał na sobie dzinsy, tenisówki i brązową kurtkę.

Dała mu dwie minuty, by zapoznał się z ich nowym przyjacielem; po chwili Dan poszedł do furgonetki i wrócił z białą płachtą i plastikowym workiem na ciało. Rozłożył płachtę na ziemi, zaginając jeden brzeg u stóp kamiennego murku. Oboje włożyli lateksowe rękawiczki.

- Ja wezmę od głowy - powiedziała Rachel. Podsunęła dłonie pod ramiona mumii. Dan złapał za kostki. Unieśli.

- Uuups.

Uniosła wzrok i zobaczyła Dana, trzymającego w dłoni but. Dopiero po sekundzie zrozumiała, że w bucie tkwi zasuszone stopa; z cholewki sterczał nierówny kikut kości.

Ułożyli ciało na płachcie. Dan bezradnie spróbował przyczepić stopę, ale but i kość znów odpadły. Spróbował jeszcze raz, ale skutek był ten sam, więc dał sobie spokój.

Ktoś za nimi parsknął głośno. To wystarczyło, żeby wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Sorry - mruknął.

Owinęli ciało płachtą, by nie było ryzyka, że zgubią coś między miejscem przestępstwa a prosektorium. W końcu ciało zostało umieszczone w plastikowym worku, zasunięte i opatrzone plaketką z opisem.

Rachel chciała się stąd wynieść, zanim lokalna gazeta zwietrzy znalezisko.

„*Nowiny z Tuoneli*” zajmowały się głównie kościelnymi kiermaszami, szkolnymi wydarzeniami sportowymi i nielicznymi statkami przepływającymi przez miasto rzeką Wisconsin, które zawsze stanowiły atrakcję. Ale redaktor naczelna, Bonnie Stark, od dwudziestu lat miała nadzieję na wielki, przełomowy temat. Śmierć Chelsea dała jej takiego właśnie newsa, a to odkrycie z pewnością stanowiłoby wodę na jej młyn.

Rachel i Dan położyli mumię na wózku, wsunęli wózek na tył furgonetki, składając stalowe nogi, i zatrzasnęli podwójne drzwi.

- Zostań tutaj i dokończ zbierania dowodów - zwróciła się Rachel do Dana.

- A jak go wyciągniesz?

- Poradzę sobie sama albo znajdę kogoś do pomocy.

Gdy zajechała przed kostnicę, w której mieściło się również biuro koronera, wyciągnęła wózek z paki auta, zatrzasnąwszy rozkładane nogi. Gdyby ciało nie było tak odwodnione, nie dałaby rady sama, ale teraz ważyło niewiele więcej niż małe dziecko.

Wepchnęła wózek przez drzwi na parterze, przejechała ciemnym korytarzem do windy. W piwnicy poszła prosto do prosektorium, gdzie ubrała się w strój ochronny i zaczęła badanie.

Rozsunąwszy plastikowy worek, ustawiła wózek obok stołu sekcyjnego, zablokowała kółka, po czym ciągnąc za brzegi płachty, przesunęła ciało na blat z nierdzewnej stali.

Ostrożnie rozwinęła płachtę, wyjęła cyfrowy aparat i zaczęła pstrykać zdjęcia całości i zbliżenia, koncentrując się na szczegółach zabytkowego stroju, prawdopodobnie z początku dwudziestego wieku.

Na ciele pod surdudem były kamizelka i biała, bawełniana koszula, wetknięta w spodnie z czarnej wełny, ponadto szelki i

biała, jedwabna apaszka z niewielkim znaczkiem czy monogramem.

Rachel wzięła pałeczkę z wacikiem i przetarła powierzchnię buta, który upuścił Dan. Lakierowana skóra. Teraz nieczęsto się ją widywało.

Kieszenie były puste.

Przecięła spodnie i rozpięła wełnianą kamizelkę.

Biała bawełniana podkoszulka na ramiączkach i gatki do kolan.

Rozcięła gatki; materiał rozpadał się pod ostrzami nożyczek.

Ciało należało do mężczyzny.

Ubranie można wysłać do specjalisty, żeby potwierdził oryginalność, ale Rachel miała niemal absolutną pewność, że patrzy na autentyk.

Rozcięła bawełnianą podkoszulkę i ostrożnie odciągnęła na boki dwie części materiału.

Klatka piersiowa została kiedyś otwarta, albo z powodu urazu, albo podczas sekcji.

Rachel przyciągnęła bliżej lampę na łamanym ramieniu i wzięła szkło powiększające. Pochyliwszy się nad zasuszonym trupem, obejrzała to, co kiedyś było skórą.

Brzegi rany poszarpane jak podarty papier. Niektóre uszkodzenia dość świeże, wewnętrzna warstwa skóry jaśniejsza niż naskórek. Ale i ślady starych ran - porozrywane mięśnie, żebra połamane od jakiegoś dawnego urazu.

A miejsce za mostkiem, w którym powinno się znajdować serce?  
Puste.

# Rozdział 13

Rachel zadzwoniła do drzwi, odczekała kilka sekund i zapukała. Usłyszała, jak coś upada, a potem kroki. Drzwi otworzyły się raptownie i z ciemności dobiegł głos Evana:

- Wchodź.

Weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą. Zupełnie jakby wchodziła do kina.

Nie widziała kompletnie nic i musiała poczekać, aż jej oczy przywykną.

Pstryknął włącznik lampy, potem kolejny. Evan wyprostował się, rozcierając dłonią głowę. Był w białej koszulce i pasiastych spodniach od pizamy, zsuniętych nisko na biodra. Na nogach miał czarne skarpetki.

- Obudziłam cię.

Pewnie sypiał w ciągu dnia. Jej ojciec zabrał Grahama do szkoły, pomyślała więc, że będzie to dobry moment, by porozmawiać z Evanem.

- Nic nie szkodzi. - Głos miał zaspany i wydawał się zdezorientowany, gdy stał tak, patrząc na skotłowaną kanapę, na której widocznie leżał, zanim zadzwoniła.

Schylił się, podniósł książkę z podłogi i odłożył na stolik. - Potrzebuję kofeiny.

Mówiąc to, ruszył do kuchni. Nie obejrzał się, tylko wskazał jej fotel. Siadaj. Zignorowała zaproszenie i poszła za nim do kuchni. Położyła swoją skórzaną aktówkę na krześle.

Evan nalał wody do czajnika, a ona podeszła do półki, na którą, jak widziała ostatnim razem, odstawiał kubki. Wzięła dwa i postawiła na stole, po czym poszukała herbaty w szafce koło lodówki. Znalazła ozdobną srebrną puszkę, otworzyła ją i potrząsnęła zawartością.

- Widzę, że jeszcze tego nie wyrzuciłeś. Evan wyjął jej puszkę z dłoni i założył wieczko.

- Racje na czarną godzinę. - Odstawił puszkę do szafki i wygrzebał dwie torebki herbaty z czerwonego pudełeczka. - Moja dostawa z Anglii jeszcze nie przyszła.

- Wiesz co, założę się, że w spożywczym w Tuoneli też mają herbatę. Uśmiechnął się, niespeszony jej żartem.

- Nie jestem herbacianym snobem. - Zatrzymał się na chwilę, by przemyśleć swoje słowa. - No, może i jestem.

- Są gorsze rzeczy.

Czajnik zagwizdał. Evan zakręcił gaz, nalał wrzątku do kubków i usiadł naprzeciw Rachel.

- Przyszłam ci powiedzieć, że znaleziono kolejne ciało, tym razem w Parku Miejskim.

Uniósł gwałtownie głowę.

- Jezu.

Czekając, aż herbata się zaparzy, Rachel rozsunęła zamek aktówki i wyjęła cyfrowe zdjęcie, które wydrukowała przed wyjściem z biura.

- To ciało.

Podala mu fotkę dużego formatu. Jedną z tych, które zrobiła przed rozpoczęciem autopsji, kiedy ciało było jeszcze ubrane. Evan przyjrzał się fotografii.

- Przynajmniej wiemy, że nie dostał w łeb wczoraj, kiedy wyszedł na wieczorny spacer.

- Brakuje serca - powiedziała. - W innych okolicznościach nie uważałabym braku serca za coś dziwnego. Organy nie zawsze są chowane z ciałem, szczególnie w przypadkach zabójstwa czy podejrzanej śmierci.

- Ale...? - Ponaglił ją, by mówiła dalej.

- Ciało jest stare. Jak stare, nie wiem. I chociaż większość uszkodzeń klatki piersiowej nastąpiła bardzo wiele lat temu, niektóre wydają się dość świeże.

Evan, zamyślony, wstał od stołu. Ruszył w głąb domu, ale nagle jakby przypomniał sobie o manierach.

- Zaraz wracam. - Usłyszała, jak tłucze się w pokoju za ścianą. Gdy wrócił, otworzył tekturową teczkę, wyjął trzy pożółkłe wycinki z gazety i rozłożył je na stole przed Rachel.

Artykuły opisywały różne przypadki ludzi, którzy wykopywali ciała - wampirów, jak twierdzili - by przygotować sobie i pić ochronny wywar z ich serc.

- Coś w rodzaju szczepionki, jak sądzę. - Rachel oddała mu wycinki.

- To nie ma znaczenia, czy wierzy się w wersję Drakuli w wydaniu Brama Stokera - zauważył Evan. - Vlad Palownik istniał naprawdę. Księżna Elżbieta Batory istniała naprawdę. Pili krew. Kąpali się w niej. Niektórzy ludzie wierzą w wampiry. A jednym ze sposobów uchronienia się przed wampirem jest picie rosołku z jego serca.

- Ale gdzie jest ten wampir? Kto nim jest? Przed kim oni się chronią? Przed tobą? Przed Nieśmiertelnymi? Przed mordercą Chelsea Gerber?

- Spokojnie, ja tylko rzucam luźne pomysły. Chociaż pewnie wolałbym być uznawany za wampira niż za zwyczajnego wariata. - Schował wycinki z powrotem do teczki. - Masz tu kolejną sugestię. Serce wampira jest czasem wyjmowane i zjadane, by zyskać moc.

- Chcesz powiedzieć, przez innego wampira?

- Albo kogoś, kto uważa się za wampira. Czytałem o tym w jednej książce wydanej w Rumunii w XIX wieku. Niektórzy wierzą też, że to im zapewni nieśmiertelność, a przynajmniej nadludzką siłę. - Podniósł zdjęcie przyniesione przez Rachel. - Masz tego więcej? Jakies zbliżenia?

- Zawsze robię mnóstwo zdjęć, ale lepiej za dużo niż za mało. - Jeszcze raz pogrzebała w aktówce, wyjęła teczkę i podała Evanowi.

Rozłożył teczkę na stole i zaczął pospiesznie przeglądać zdjęcia.

- Czego szukasz?

- Tego. - Podniósł fotkę mniejszego formatu i obrócił ją. Zbliżenie białej jedwabnej apaszki. - Widzisz ten znak?

Mówił o emblemacie, wyhaftowanym czarną i czerwoną przędzą na brzegu materiału.

- Też pomyślałam, że to może być ważne. Wygląda niemal jak jakiś herb rodowy.

- Dokładnie. - Evan był wyraźnie podekscytowany.

- Wiesz, co to jest albo do kogo należało?

- Nie, ale dałbym głowę, że już to kiedyś widziałem. Odsunął

krzesło i wstał.

- Chodź. - Zebrał zdjęcia do teczki, zamknął ją i wetknął pod pachę. Rachel sprawdziła, czy ma przy sobie komórkę i pager, i poszła za nim korytarzem do dużych drzwi pomalowanych na ciemnobrązowy kolor. Farba była gruba i spękana; drzwi miały szklaną gałkę.

Nagle, na widok starego zdjęcia na ścianie, stanęła jak wryta. Kobieta, leżąca w cynkowanej wannie, z jedną ręką, przewieszoną przez krawędź, palcami dotykała podłogi. Miała długie, ciemne włosy, częściowo spięte na czubku głowy, częściowo opadające i wijące się na ramionach. Oprócz wanny i kobiety w pomieszczeniu na zdjęciu były tylko dwa wysokie wąskie okna.

Victoria.

Rachel uniosła dłoń do gardła.

- Skąd to masz?

- Z wyprzedaży majątku.

- Tu, u nas?

- U Lyndale'ow. Sędzia Lyndale był prawdziwym kolekcjonerem. Nie bardzo wiem, jakie jest pochodzenie tego zdjęcia ani kim jest ta kobieta. Nikt nie zna jego prawdziwej historii, ale stawiałbym, że zrobiono je gdzieś w hrabstwie Juneau w pierwszej połowie XIX wieku. Większość kolekcji sędziego pochodziła z najbliższej okolicy. Widziałaś to już wcześniej?

- Nie wydaje mi się - odparła wymijająco, usiłując wziąć się w garść. Była przyzwyczajona do takich półprawd.

- Może to jakaś twoja krewna. Krewna?

Pchnął drzwi ramieniem.

- To tylko kobieta w kąpieli. Pewnie w jej czasach zdjęcie było uważane za mocno pikantne.

- Przesunął się na bok i Rachel przemknęła obok niego, szczęśliwa, że zostawia zdjęcie za sobą.

Pokój bez okien wyglądał jak wielka biblioteka pozbawiona bibliotekarza. Stanowił część oryginalnego domu, z tą samą ciężką stolarką i wbudowanymi regałami. Ściany pomalowano na ciemną zieleń, która kontrastowała z pomarańczowymi kinkietami. Ze środka sufitu zwisał ozdobny żyrandol z rżniętego szkła.

- Nawet nie wiedziałam, że jest tu taki pokój - powiedziała Rachel. - Pamiętam drzwi, ale zawsze myślałam, że to schowek. - Dziwne, jak trudno jest zmusić mózg do zaakceptowania rzeczywistości, kiedy człowiek wbił sobie coś do głowy w dzieciństwie i tak długo żył w fałszywym przekonaniu.

- Mój ojciec tu przesiadywał - odparł Evan. - Interesował się Starą Tuonelą, zanim ja się nią zająłem. Zamykał się tu na całe godziny i przeglądał artykuły i zdjęcia. Wtedy to tak nie wyglądało. Nazbierałem strasznie dużo... wszystkiego. - Rozejrzał się po pokoju i pokręcił głową, jakby go to przerosło.

To musiało być wtedy, kiedy ludzie zaczęli gadać, że jego ojciec dostał lekkiego kręćka, przytłoczony chorobą Evana. Rachel cieszyła się, że teraz już wszystko z nim w porządku.

- Myślałeś kiedyś, czy nie ściągnąć tu kogoś, żeby ci to wszystko uporządkował?

- Cały czas o tym myślę, ale nie lubię, żeby ktoś łąził mi po domu, a poza tym boję się, że potem niczego nie znajdę.

Rozumiała oba te argumenty. Sama ceniła sobie prywatność i nie chciała, żeby ktoś bez przerwy się koło niej kręcił. Evan zanurkował w bałagan.

- Szukam pudełka z artykułami ze starych gazet, zdjęciami i szklanymi negatywami fotografii drukowanych w „Wieściach z Hrabstwa” w XIX wieku. Kupiłem je, kiedy zamknięto gazetę i wystawiono wszystko na aukcję. Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się to skatalogować, porobić skany i zdjęcia.

Rachel rozejrzała się z konsternacją po stertach książek, magazynów i dzienników. Większość podłogi była zavalona, pomiędzy zakurzonymi, krzywymi wieżami różności wiły się tylko kręte ścieżki.

- Masz jakieś pojęcie, jak wygląda to pudełko?

Evan rzucił teczkę na czubek jednej ze stert i rozejrzał się po pokoju.

- Zdaje się, że szare. Albo brązowe.

Mniej więcej tej wielkości.

- Narysował kształt w powietrzu.

Trzydzieści na czterdzieści?



- Takiej głębokości. Dwadzieścia centymetrów?

- Okej. - Ruszyła naprzód, dając długi krok, by pokonać kilka stert gazet. - Któregoś razu w L.A. wysłano mnie do domu, w którym zmarła starsza kobieta. - Zatrzymała się i rozważyła możliwości wyboru drogi, niemal jak alpinista. - Była zbieraczką i nagromadziła przez całe życie tyle śmieci, że musieliśmy łązić po nich na czworakach, mając chyba z metr miejsca do sufitu.

- Ja nie jestem zbieraczem. Jestem kolekcjonerem. A to nie są śmieci, tylko historia.

- Tak sobie tylko mówię.

- Że powinienem uważać?

- Mniej więcej.

- Czekał, to może być to. - Obiema rękami wyciągnął pudełko. Nie nadawałby się do gry w Jengę. Sterta zawałiła się, ale zupełnie się tym nie przejął. Zdmuchnął kurz, przetarł wierzch przedramieniem i odłożył wieczko na bok.

- Proszę bardzo.

- Z uśmiechem uniósł głowę. - Podeszedłem prosto do niego. Gdyby ktoś tu przyszedł i to poukładał, nigdy bym go nie znalazł.

Niestety, prawdopodobnie miał rację.

Znalazł to, czego szukał: zdjęcie mężczyzny z przełomu wieków, czarno-białe, z pozwijanymi brzegami. Wręczył je Rachel.

- Popatrz na chustkę.

Na małym zdjęciu z całą pewnością widniał ten sam haft, co na apaszcze zasuszonego ciała.

- W prospekcie wyprzedaży napisano, że to zdjęcie Nieśmiertelnego - powiedział Evan.

- Skąd możesz mieć pewność, że to on?

- Nie mam. Nie całkowitą. - Znow zaczął czegoś szukać; tym razem ruszył prosto do regałów, sięgających od podłogi do sufitu, i wyciągnął grubą książkę. Oparł oprawione w skórę tomiszczce o jedną ze stert na podłodze i odnalazł właściwą stronę. - Manchester.

Rachel przedarła się do niego.

- To herb rodziny Manchesterów - stwierdził, kiedy podeszła dość blisko, by zobaczyć czarno-czerwony obrazek.

Był identyczny jak emblemat na apaszcze mumii.

Znaleźli Nieśmiertelnego. Tyle tylko że ktoś inny znalazł go przed nimi.

# Rozdział 14

Graham wyszedł z gabinetu szkolnego pedagoga. Kompletnie zmarnowana godzina. Kobieta długo wypytywała go, czy jest coś, o czym chciałby porozmawiać. Kiedy uparcie powtarzał, że nie, przeszła do bardziej konkretnych pytań, na przykład, co myśli o śmierci i umieraniu. A w końcu:

- Miewasz jeszcze myśli samobójcze?

A kto ich nie miewał? Kto ich nie miewał, do cholery? Oczywiście powiedział, że nie.

- Jesteś zagrożeniem dla samego siebie? - drażniła dalej.

Na to pytanie też odpowiedział przecząco, zresztą chyba zgodnie z prawdą. Bo w tej chwili tkwił w stanie zawieszenia, czekał, co będzie dalej. Nie myślisz o samobójstwie, kiedy czekasz, by twoje życie wreszcie się zaczęło. Kiedy liczysz, że naprawdę się rozpocznie.

„Ale nie miej nadziei”, ostrzegł się w duchu. Nadzieja może wpakować człowieka w kłopoty. Trzeba być przygotowanym na najgorsze, bo wtedy, kiedy najgorsze przychodzi, nie jest takie złe. A jeśli nie przychodzi, to jeszcze lepiej. To jak Boże Narodzenie.

To jest tymczasowe. Niedługo przeminie, więc nie zaczynaj myśleć, że to twoje nowe życie.

Podszedł do swojej szafki, wrzucił książki i ruszył właśnie do stołówki, kiedy zauważył Isobel przez wielkie okna, a właściwie przez szklaną ścianę otaczającą wewnętrzny dziedziniec. Trochę jak spacerniak w więzieniu, tyle że tu były drzewa i różne ogrodowe ozdoby. Isobel siedziała na ławce, z pochyloną głową, skupiona na czymś, co trzymała w dłoniach. Kilkoro innych uczniów łąziło nieopodal, gadając i śmiejąc się.

Graham wyszedł przez ciężkie drzwi i zatrzymał się kilka kroków od dziewczyny, z rękami w kieszeniach dżinsów.

*Cyk, cyk, cyk.*

- Haftujesz? - Znał kiedyś kogoś, kto umiał haftować.

Spojrzała w górę, mrużąc oczy od słońca. Kiedy zobaczyła, że to on, natychmiast spuściła wzrok.

- Dziergam. - Zahaczyła pętelkę jasnozielonej włóczki o różowy, aluminiowy drut, po czym spuściła ją z drugiego.

*Cyk, cyk, cyk.*

Dźwięk był hipnotyzujący.

- Pedagożka jest do niczego, co? - rzuciła.

Graham usiadł na poźółklej trawie, która właśnie zaczynała zielenieć. Czuł zapach ziemi, a słońce przyjemnie grzało go w plecy.

- Byłaś u niej?

- Dwa razy. I tyle mi wystarczyło. - Wzruszyła ramionami. - Psychologia dla ubogich. Każdy wpada w taką albo inną przegródkę.

Chciał jej wyjaśnić, że mu przykro, że głupio zachował się tamtego dnia, ale jak zacząć taki temat?

- Dlaczego do niej chodziłaś?

- Moja mama i ojczym są muzykami. Bez przerwy podróżują, więc ciągle mnie podrzucali do znajomych i krewnych. Teraz są w Pradze.

W każdym razie, kiedy jesienią zaczęłam chodzić do tej szkoły, uznali, że powinnam pójść do psychologa, żeby mi było łatwiej się przyzwyczać.

- To z kim teraz mieszkasz?

- Z kuzynką. Była w college'u, ale dostała mononukleozy i zerwała z chłopakiem, z którym spotykała się od czterech lat, więc teraz mieszka w naszym domu. Rodzice pomyśleli, że razem będzie nam raźniej. Jasne. Ona w ogóle nie wychodzi. Całe dni leży w łóżku i ogląda telewizję, śpi albo gada przez telefon.

No proszę, a on myślał, że Isobel ma życie jak z obrazka.

- Twoi rodzice grają w jakimś zespole?

- W orkiestrze. Jest dosyć sławna, wiesz. Objazdowa Orkiestra Symfoniczna.

Graham nigdy o takiej nie słyszał, ale nie miał też bladego pojęcia o muzyce poważnej. Chciał zapytać, czy Isobel przesłuchała płytę, którą jej dał, ale bał się, że postawi ją w głupiej sytuacji. I wolał nie usłyszeć, że nie przesłuchała. Lub że jej się nie podobała.

Na nowo zabrała się do robótki.

- Co dziergasz?

- Szalik. Skinął głową.

- Fajnie.

- Czasami robię czapki, ale przede wszystkim szaliki. Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę. Podobał mu się odgłos, taniec drutów i kolor włóczki.

- Czy mogłabyś... - Ugryzł się w język.

- Co? - Przerwała i spojrzała na niego.

- Nieważne.

- No powiedz. Wił się w myślach, żałując, że w ogóle zaczął. Ale w końcu wypalił:

- Czy mogłabyś mnie tego nauczyć?

- Żartujesz sobie, co?

- Nie.

- Żebyś mógł sobie podziergać z Travisem i jego bandą? - zapytała sarkastycznym tonem.

- Skończyłem z tymi palantami. Po prostu uważam, że dzierganie jest całkiem fajne. Chciałbym spróbować.

Isobel opuściła ręce na kolana, ściskając druty. Dzisiaj miała na sobie białą-czarną spódnicę, czarny sweter i czarne botki do kolan.

- Skombinuj włóczkę i druty - powiedziała - to cię nauczę. Ale nie kupuj cienkich drutów. Na początek lepiej mieć coś, co szybko idzie, bo inaczej zaraz będziesz miał dość.

Z uśmiechem położył się na trawie, podparty na łokciach, i zamknął oczy. To była jedna z tych chwil. Tych dobrych chwil...

Zabrzmiał dzwonek i Graham zorientował się, że przegapił lunch.

Na następnej lekcji miał biologię. Minęła dość szybko, choć burczało mu w brzuchu i chciało mu się pić. Potem była historia Ameryki, kolejny przedmiot, na który chodził z Isobel.

Usiadł kilka ławek za nią, trochę z prawej. Po dziesięciu minutach nauczyciel ustawił projektor, zgasił światła i zaczęli oglądać film. Coś o wojnie secesyjnej.

Film był nudny jak diabli. Graham zawsze podejrzewał, że nauczyciele puszczają uczniom takie rzeczy, żeby móc iść do swojej kanciapki i zajmować się pierdołami. Może grać w gry wideo albo

płacić rachunki.

Nudę przerwał głos z głośnika, zwołujący wszystkich na natychmiastowy apel. Uczniowie zostali zapędzeni do sali gimnastycznej, gdzie dyrektor Bonner stała przy mikrofonie. Była drobną kobietą, która lubiła czerwone ciuchy i dużą, złotą biżuterię. Nigdy się nie uśmiechała, bo dyrektorka szkoły to poważna funkcja.

Graham i Isobel wdrapali się na samą górę trybuny. Z tego punktu widokowego Graham dostrzegł komendanta Burtona i Phillipa Albę stojących koło dwuskrzydłowych drzwi.

- Wiem, że wszyscy musieliście sobie poradzić ze śmiercią koleżanki, Chelsea Gerber - powiedziała dyrektorka. - Więć z wielkim żalem przynoszę wam kolejne niepokojące wieści. - Zaczerpnęła powietrza. - W Tuoneli popełniono kolejne poważne przestępstwo. Dziś nad ranem w parku znaleziono ciało.

Ludzie spojrzeli po sobie z przestraszonymi minami. Niektóre dziewczyny zaczęły płakać.

Bonner uniosła rękę, prosząc o ciszę.

- Na szczęście nie straciliśmy nikogo z mieszkańców miasta. Ale więcej szczegółów poda wam komendant Burton.

Burton przeszedł przez salę i wziął mikrofon.

- Jeśli chodzi o ciało znalezione w parku, mamy do czynienia najprawdopodobniej z przypadkiem zbezczeszczenia grobu.

To wywołało kolejny pomruk konsternacji. Isobel spojrzała na Grahama okrągłymi oczami. Graham spojrzał na własne buty, po czym rozejrzał się po sali; Nieśmiertelni siedzieli na dolnych ławkach trybun, cisi i grzeczni. Niedaleko od nich, plecami do ściany, stała grupka nauczycieli z grobowymi minami.

- Uważamy, że ten ostatni incydent to sprawka kogoś o wypaczonym poczuciu humoru - ciągnął Burton. - To zapewne dowcip, dość okrutny, biorąc pod uwagę niedawną tragedię i ohydną zbrodnię. Uważamy też, że dokonała tego młodzież.

Może ktoś z tej szkoły. A młodzi ludzie lubią się przechwalać. Chcemy, byście mieli otwarte oczy i uszy. Jeśli usłyszycie o czymś podejrzanym, zgłóście to dyrektor Bonner, nauczycielowi, rodzicom, policji.

Omiótł wzrokiem tłum, od samej góry do dołu.

- Jesteśmy do waszej dyspozycji. Pragniemy waszego bezpieczeństwa. Nie chcemy, by jeszcze komuś stała się krzywda. W tym celu uruchomiliśmy specjalne linie telefoniczne i opracowaliśmy wskazówki dotyczące bezpieczeństwa, których powinniście się trzymać, kiedy jesteście poza szkołą. Zostaną rozdane przy drzwiach, gdy będziecie wychodzić z sali gimnastycznej.

Niektórzy uczniowie obejrżeli się przez ramię na Grahama.

- Dlaczego oni na mnie patrzą? - zapytał Isobel. Pochyliła się ku niemu.

- Z powodu twojego taty. Uważali, że to Stroud jest sprawcą? O kurde. Ale gdyby Graham nie wiedział, że jest inaczej, pewnie myślałby tak samo.

# Rozdział 15

Evan otworzył laptopa i kliknął na ikonę poczty. Jego oczy szybko przebiegły ekran, wyławiając ważne wiadomości.

Jedna z nich była z Laboratorium Analiz DNA.

Żołądek zaciążył mu jak kamień.

Szybko się uwinęli.

Teraz, gdy laboratoria wyrastały w całym kraju jak grzyby po deszczu, nie trzeba było długo czekać na wyniki, szczególnie jeśli badanie DNA wiązało się z przestępstwem. Mimo to był zaskoczony, że e-mail pojawił się raptem siedemdziesiąt dwie godziny po wysłaniu próbek.

Serce mu łomotało, mimo że wiedział, jaki będzie wynik. Teraz Graham będzie miał dowód. Jak to na niego wpłynie? Jak przyjmie to ostateczne potwierdzenie, że Evan nie jest jego ojcem?

Chłopak wróci ze szkoły za godzinę. Czy ma mu powiedzieć od razu, czy poczekać, aż wiadomość przyjdzie zwykłą pocztą? Może tak byłoby lepiej, ale Evanowi nie podobał się pomysł trzymania wyników w tajemnicy choćby przez kilka dni. Już zbyt wiele spraw trzymano przed chłopakiem w tajemnicy.

Evan wziął głęboki wdech - i otworzył e-mail.

„Wynik testu: zgodność”.

Przeczytał jeszcze raz.

„Zgodność”.

To musiała być pomyłka.

Złapał słuchawkę telefonu i wystukał numer laboratorium. Uzyskanie połączenia z żywą osobą zajęło pięć minut, ale jemu wydawało się, że minęły godziny. Przedstawił sprawę i podał numer testu.

- Zaszła jakaś pomyłka - wyjaśnił. - Musieliście pomylić próbki.

- Sprawdzamy wszystko dwa razy - kobieta odparła cierpliwie. Pewnie odbierała mnóstwo takich telefonów. Od wściekłych ojców, którzy próbowali się wymigać od odpowiedzialności. - Nasze testy



są wiarygodne w dziewięćdziesięciu dziewięciu i ośmiu dziesiątych procent.

- Więc jakimś cudem zmieściłem się w tych pozostałych dwóch dziesiątych.

Nagle przypomniał sobie drugi zestaw próbek. W całym tym wzburzeniu zupełnie o tym zapomniał. Uff. Wtedy uważał, że to tylko nadmiar ostrożności.

- Powinniście byli dostać drugi zestaw próbek - powiedział kobiecie na drugim końcu linii. - Numer identyfikacyjny zapewne następny.

- Hm. Będę musiała to sprawdzić i oddzwonię do pana. Jego laptop piknął, sygnalizując kolejną wiadomość.

Z Laboratorium Analiz DNA Stanu Wisconsin. Otworzył ją. Z ekranu wyskoczyło na niego jedno słowo. „Zgodność”. Zagapił się na monitor. Jak to możliwe? Jak, do ciężkiej cholery...?

- Halo? Halo. Ze wzrokiem wbitym w ścianę uniósł słuchawkę do ucha.

- Dziękuję. Właśnie dostałem informację. - Rozłączył się.

Otumaniony, zamknął laptopa i wstał. Miał miękkie nogi. Po dwóch sekundach klapnął z powrotem na kanapę.

Jak to się stało? Logicznie rzecz biorąc, wiedział, że dziewczyna może zająć w ciążę, nawet kiedy facet się zabezpieczy. Ale skoro to był tylko jeden raz...

Lydia nie mogła wiedzieć na pewno, kto jest ojcem. To, że wybrała właściwego mężczyznę, musiało być zbiegiem okoliczności. Po prostu strzeliła. Był dawcą spermy. Przypadkowym dawcą spermy, bo wątpił, by planowała zajście w ciążę.

Oczami duszy ujrzał Grahama, przykładającego pistolet do głowy, zamykającego oczy i pociągającego za spust. Ten obraz prześladował go, a teraz nabrał całkiem nowego znaczenia.

W jakim stopniu odpowiadał za rozpacz, która wkradła się do młodego serca Grahama? Ale przecież on sam, Evan, też wtedy był dzieckiem. Krótco przed tym, gdy Lydia i jej matka wyjechały z miasta, zachorował. Wyrzucił Lydię z jej ciążą - jak sądziła większość ludzi, fałszywą - z głowy, i nie poświęcił jej ani jednej myśli, dopóki Graham nie stanął na jego progu. Nie potrafił tego

ogarnąć. Zwyczajnie nie był w stanie.

Ani zrozumieć.

Musiał się ruszać. Chodzić. Biegać. Wynieść się z domu. Dusił się.

Otworzył drzwi wejściowe; jaskrawe światło słońca wlało się do domu. Zatrzasnął drzwi i przycisnął powieki palcami.

Był w potrzasku.

Z biegiem lat znalazł sposoby radzenia sobie ze swoją chorobą. Zawsze potrafił spokojną autoperswazją zażegnać panikę, która czasem go ogarniała.

Przez chwilę spacerował w tę i z powrotem, a w końcu poszedł do biblioteki i zaczął przeszukiwać duży, wbudowany w ścianę regał, aż wreszcie znalazł to, czego szukał: bourbona.

Wyciągnął korek i powąchał płyn, po czym wypił łyk z kryształowej karafki. Ciepło spłynęło mu po gardle i zagnieździło się w żołądku. Począł, aż rozejdzie się po żyłach. Uniósł karafkę jeszcze raz, zawahał się i w końcu odstawił ją, wtykając korek w szyjkę. Zły pomysł. Graham zaraz będzie w domu. Musiał pomyśleć o tym, co mu powie. To mogło zdecydować o jego przyszłości. O jego życiu. Musiał dobrać właściwe słowa.

Przez mętnik w jego głowie przebiło się trzaśnięcie drzwi. Schował bourbona do regału i wyszedł z biblioteki. Zastał Grahama stojącego na środku salonu.

Chłopak wpatrywał się w ekran laptopa. W końcu uniósł głowę.

- Tu jest napisane „zgodność”. - Przełknął ślinę.

- To znaczy, że jesteś moim ojcem, tak?

To potwierdzenie?

To by było na tyle, jeśli chodzi o łagodne przygotowanie go na tę wiadomość.

- Tak.

- Ty naprawdę nie wiedziałeś, prawda?

Dzieliła ich połowa długości pokoju, ale Graham wyczuwał konsternację Evana.

- Myślałem, że próbujesz się wymigać od odpowiedzialności, ale ty naprawdę nie wiedziałeś.

Evan widział, że chłopak nie może pojąć, jak to było możliwe. Sam nie mógł tego zrozumieć. Jeszcze przed chwilą nie miał syna, a

teraz nagle będzie musiał z nim rozmawiać o seksie. To wielki skok.

- Nie wiesz, skąd się biorą dzieci? - Graham rzucił książki na kanapę. - Mogę ci to wyjaśnić, jeśli potrzebujesz dodatkowych informacji.

Cholera, szczeniak miał z tego ubaw! Świetnie się bawił, patrząc, jak Evan się wije.

- Mamy zacząć od męskiej i żeńskiej anatomii?

- Nie chcę się wdawać w szczegóły - odparł Evan. Nie mówi się nastolatki, że jego matka była dziwką i przespała się z połową chłopaków z miasta.

- W porządku - powiedział Graham. - Wiem, jaka była, kiedy dorastałem. Mogę się domyślić, jaka była, zanim się urodziłem.

Spostrzegawczy dzieciak. To ułatwiało sprawę.

Evan wpatrywał się w syna, przypominając sobie, jak przyglądał się jego jasnym, kręconym włosom i szczupłej twarzy. „Nie może być moim synem”, myślał tamtego pierwszego dnia. A teraz:, jest moim synem”.

Nagle, pod wpływem uczucia, jakiego nigdy przedtem nie doświadczał, przeszedł przez pokój, otoczył Grahama ramionami i go uściskał.

Graham odepchnął go i cofnął się o trzy kroki.

- Co ty wyprawiasz? Dlaczego mnie obejmujesz? Cholerny hipokryta.

- W jaki sposób to, że cię przytulam, czyni ze mnie hipokrytę?

- Wczoraj byś tego nie zrobił. Kiedy myślałeś, że nie jestem twoim dzieckiem.

- To nie znaczy, że jestem hipokrytą. Nie ściskam ludzi na prawo i lewo. Gdybyś przyprowadził kolegę, nie zacząłbym go obejmować.

Graham roześmiał się sarkastycznie.

- Nie, pewnie, że nie. Ale powiedz, gdybyś wiedział, że będziesz miał dziecko, czy cokolwiek zrobiłbyś inaczej? Tylko szczerze.

Evan nie wiedział.

- Nie byłem wiele starszy niż ty teraz. Pomyśl o tym. To zastanowiło Grahama. Wyglądał na lekko zaskoczonego.

- To nie będzie łatwe, ale jakoś przez to przebrniemy. Jakoś to poukładamy.

- Więc... co teraz?

- Myślę, że powinieneś w dalszym ciągu chodzić do szkolnego pedagoga. Może dwa razy w tygodniu, jeśli to możliwe. Przynajmniej przez jakiś czas. Zadzwoń i sprawdź, co uda się załatwić. Może raz w tygodniu obaj moglibyśmy się z nią spotykać.

- Nie, mnie chodzi o *to, co teraz*. Zostaję?

- Cokolwiek się stanie, zawsze tutaj będzie twój dom.

- Cokolwiek się stanie? A co się stanie?

- Musimy znaleźć twoją matkę. Prawnie wciąż jest twoją opiekunką.

- Ale ja mam szesnaście lat.

- To nie ma znaczenia. - Evan urwał nagle. - Szesnaście? Myślałem, że piętnaście.

- Skończyłem szesnaście.

- Kiedy?

- Dziewiątego. Dzień po tym, gdy wyciągnąłeś mnie z aresztu. Jeszcze jeden powód, żeby czuć się winnym...

Gdy Graham już spał, Evan podszedł do kuchennej szafki i wyjął czerwone pudełko. Puste. Ale kto by się przejmował angielską herbatą w takiej chwili? Miał syna. Syna, o którego istnieniu do niedawna nie miał pojęcia.

Szarpany mdłościami, skołowany i rozkojarzony, Evan zaparzył sobie filiżankę herbaty ze starej puszki.

Jak mógł przez tyle lat mieć syna i nawet o tym nie wiedzieć? Jak mógł to naprawić? Jaką przyszłość miał przed sobą Graham? A Lydia? Gdzie jest Lydia, do cholery?

Napił się herbaty.

Kiedy skończył, oblał się potem, serce zabiło dziwnie w jego piersi. Czyżby szok był zbyt silny? Czyżby dostał zawału?

Pokój zaczął wirować. Evan sięgnął ku krawędzi stołu, nie trafił i zwałił się na podłogę.

Przytomność wracała powoli i Evan ocknął się, wpatrzony w sufit, hiperświadomy własnego ciała. Czuł, jak krew krąży mu w żyłach.

Przetoczył się na kolana i z trudem dźwignął z podłogi. Gdy już uzyskał pionową pozycję, włożył płaszcz i wyszedł z domu, nurkując w ciemność ulic, wciągając głęboko w płuca nocne powietrze.

Sto lat. Siedemnaście lat. Śmierć. Narodziny.

Powtórne narodziny...

Trafił na dom studenckiego bractwa, pulsujący muzyką, światłem i podniesionymi głosami. Pijana dziewczyna wytoczyła się z drzwi.

- Kristin! - krzyknęła za nią inna, z wnętrza.

Kristin zbyła ją machnięciem wiotkiej ręki, potknęła się i przeszła chwiejnie ze trzy metry, po czym poleciała na ziemię, twarzą do przodu. Zauważyła Evana stojącego w cieniu i zaczęła się uśmiechać, ale nagle zmieniła zdanie.

- Hej, ty jesteś ten facet. - Wskazała go palcem. - Ten wampir. Alkohol i narkotyki wzięły górę i straciła przytomność.

Uszy Evana wychwyciły dźwięki. Głosy i szuranie stóp.

W jego stronę szła chodnikiem grupka nastolatków - chłopaków ubranych w czarne stroje, ciągnących po betonie rozsznurowane buciorzy. Gdy podeszli bliżej, rozpoznali go w ciemności. A on rozpoznał ich. Nieśmiertelni.

# Rozdział 16

Ból ocucił Kristin March. Wrzasnęła.

- Ucisz ją! Ucisz ją!

Zaczerpnęła powietrza do kolejnego krzyku. Wepchnięto jej coś do ust. Materiał. Obrzydliwy, cuchnący materiał.

- Okropnie wrzeszczy - powiedział inny głos.

- Nikt jej tu nie usłyszy.

Ostry ból w nadgarstku, który ją obudził, nadpływające uczucie ciepła. Kap, kap, kap.

- Tylko złap wszystko.

Głowę miała spuchniętą, ręce ciężkie jak z ołowiu. Spróbowała unieść dłoń do twarzy, ale nie dała rady. Palce były obrzmiałe, grube jak parówki.

Ruch. Wszystko się ruszało. Mdłości. Czuła mdłości. Ale ta szmata... w jej ustach. Co się stanie, jeśli zwymiotuje?

Kołysanie. Wirowanie.

Otworzyła oczy.

Mrugające światełka. Świece. Ciemne sylwetki ludzi.

Zamrugala. Jeszcze raz. Wszystko jej się mieszało. Było nie tak. Do góry nogami.

Ktoś jej dotknął. To sprawiło, że otoczenie zaczęło się kołysać. To ona była do góry nogami. Jej głowa i ręce ciążyły jak ołów.

Ostatnie, co pamiętała, to impreza. Obsługiwała barek z piwem. Była królową barków z piwem. Spila się. Wyszła na dwór, żeby łyknąć świeżego powietrza. Pamiętała, że widziała tego gościa. Tego pokręconego wampira, Evana Strouda...

A teraz to.

Spać.

Robiła się senna. Nie mogła utrzymać otwartych oczu.

- Nie możemy dać się jej wykrwawić - powiedział jeden z głosów.

- Chcemy, żeby żyła, przynajmniej na razie.

Żeby żyła. Przynajmniej na razie. Coś nad nią skrzypiało. Znów te

bezcieleśne głosy:

- Ile tam masz? Kto to był? Ktoś, kogo znała?
- Prawie pełną miskę. Będzie z półtorej szklanki.
- Na razie wystarczy.

Palce na jej ręce. Ktoś owinął jej nadgarstek. Potem odeszli. To pewnie sen... to musi być sen... trefna trawka. Nieraz słyszała, że po trefnym zielsku można mieć posrane halucynacje... Trema trawka, zaprawiona jakimś gównem. Trucizną czy czymś. Albo pigułka gwałtu. Może ktoś wrzucił jej do piwa...

„Otwórz oczy, Kristin”.

Czy to był jej głos? Brzmiał inaczej, obco.

„Otwórz oczy”.

Zmusiła się, by je otworzyć. Była taka nawalona, zmęczona, wszystko stanęło do góry nogami i pograżyło się w ciemności. Ale widziała ich. Stali razem i pili z miski.

Prochy i alkohol ogłupiają człowieka. Mama zawsze jej to powtarzała. Kristin wreszcie zrozumiała. Dopiero w tej sekundzie poskładała wszystko do kupy. Pojęła, że banda białych porąbańców pije jej krew. Rozmazuje ją sobie po gębach i gołych klatkach. Nieśmiertelni. To byli oni.

Pojawił się jeszcze ktoś, ale stał za nią, poza jej polem widzenia. Po głosie poznała, że jest dorosły i najważniejszy. Był o coś zły. Uniósł jej rękę, nadgarstek, i zaczął ssać...

Obudź się, dziewczyno.

Kristin powoli oprzytomniała.

Skrzyp, skrzyp, skrzyp.

Otworzyła oczy.

Ciemno.

Nadstawiła uszu, ale słyszała tylko poskrzypywanie w górze.

Nikogo nie było.

Czując gwałtowny przypływ adrenaliny, wkurzona i przerażona, zaczęła szamotać się i wyginać.

Coś trzasnęło i puściło. Po ułamku sekundy gruchnęła o podłogę, rozbijając sobie głowę. Lądowanie było twarde, pozbawiło ją tchu.

Szybko doszła do siebie i nie traciła ani chwili. Odgłos pękającej belki mógł ściągnąć tych wariatów, jeśli byli blisko. Wyciągnęła

gałgan z ust – skarpetka – i rozwiązała linę krępującą jej kostki. Nie czekała. Po prostu pobiegła.

A potrafiła biec jak sam diabeł.

Seymour Burton wjechał na szpitalny parking, zgasił silnik i wszedł do budynku głównym wejściem. Przekazano mu informację o dziewczynie, niejakiej Kristin March, która, bosa i półnaga, tuż przed świtem szła starą autostradą za rogatekami Tuoneli. Znalazł ją farmer, który wstał wcześniej i jechał zajrzeć do swoich cielných jałówek. Seymour sprawdził dziewczynę i odkrył, że już dwa razy zatrzymywano ją jako pijącą nieletnią. Nie było to wielkie przestępstwo, jak dla Seymoura, ale picie często prowadziło do innych rzeczy, z którymi takie niedojrzałe dzieciaki nie umiały sobie poradzić.

Najpierw spotkał się z lekarką ofiary. Lepiej poznać wszystkie istotne szczegóły.

- Ma wstrząśnienie mózgu – powiedziała doktor Ruth Ellison, kiedy Seymour znalazł ją w pokoju lekarskim. Siedzieli sami; doktor Ellison korzystała z okazji, by zjeść bułkę i napić się kawy. Za plecami Seymoura włączyła się lodówka z napojami. - Niewiele pamięta z czasu pomiędzy imprezą, na której podawała piwo, a chwilą, kiedy farmer zatrzymał się na drodze i zapytał, czy jej gdzieś nie podwieźć. Gdy przyjechała na izbę, miała pół promila alkoholu we krwi. Twierdzi, że piła przed dziesiątą wczoraj wieczorem, więc musiała sporo przekroczyć limit. Już sam wstrząs mózgu wystarczyłby do utraty pamięci. A wstrząs mózgu i alkohol? To nadto.

- Myśli pani, że coś jej podano?

- Chodzi panu o pigułkę gwałtu? Bardzo możliwe. Robimy dalsze badania.

- Powiedziano mi, że miała stopy w fatalnym stanie.

- Sądząc po ich wyglądzie, powiedziałabym, że przeszła wiele kilometrów. Więc mogła znajdować się gdziekolwiek.

- A jej nadgarstki?

- Dziesięć szwów. Ale powinien pan wiedzieć, że kilka razy próbowała się zabić. Była z przerwami pod opieką psychiatry. Aktualnie jest na antydepresantach. - Doktor Ellison westchnęła i



spojrzała w swoją kawę. – Dzisiejsze dzieciaki nie mają łatwo.

– Jakież ślady gwałtu?

– Nie ma zasinień, ale zrobimy jeszcze zestaw badań pod tym kątem. Seymour skinął głową.

– Więc jaka jest pani opinia jako lekarza?

– Próba samobójcza.

– Jak pani tłumaczy jej pojawienie się na pustkowiu?

– Spokojnie mogła się tam dowlec po imprezie. Znaleziono ją pięć kilometrów od Tuoneli.

– Wykazano już związek antydepresantów z samobójstwami u nastolatków. Kiedy dodać do tego alkohol...

Przy braku oznak gwałtu to się nawet trzymało kupy. A jednak inna dziewczyna w tym samym wieku co Kristin została zamordowana i pozbawiona krwi...

Seymour podziękował lekarce i poszedł zobaczyć się z dziewczyną. Jej rodzice, bladzi i zdenerwowani, sterczeli obok łóżka i spoglądali po sobie ze zmarszczonymi brwiami.

Kristin przyjmowała gości, oparta o poduszki. Seymour odniósł wrażenie, że całe to zainteresowanie sprawia jej frajdę.

Teraz, kiedy ją wreszcie zobaczył, przypomniał sobie, że widział jej zdjęcie w gazecie. Była ładną dziewczyną o wyrazistych rysach.

– Jesteś gwiazdą biegni – zauważył. – Na ile biegasz? Kristin uśmiechnęła się i rozluźniła.

– Sprint, na pięćdziesiąt i sto metrów.

– Sztafety też? Zaprzeczyła.

– Jakoś nie mogę załapać przekazywania pałeczki.

– Ja biegałem na długie dystanse – powiedział Seymour. – I skakałem wzwyż.

Zrobiła zaskoczoną minę.

– Możesz wierzyć lub nie, ale mieliśmy już skok wzwyż, kiedy chodziłem do szkoły.

Wszyscy się roześmiali, teraz już swobodni.

Seymour delikatnie przygotowywał grunt, by spytać o koszmar, który Kristin przeżyła.

– Pamiętasz cokolwiek?

– Tylko tyle że byłam na imprezie... pamiętam, jak wyszłam na

dwór. Zrobiło mi się niedobrze. – Zerknęła na rodziców z poczuciem winy. – Zdaje się, że był tam jakiś facet. Tak, na pewno był. Ale nie pamiętam, kto.

– Facet? Ktoś w twoim wieku?

– Dorosły. – Wysiłała mózg, by przypomnieć sobie wydarzenia. – Chyba... zdaje mi się, że później też był... gdzieś... – Poddała się. – Przykro mi.

– Nie przejmuj się. Pozwolisz, że obejrzę twoje rany? Pokazała mu nadgarstek. Był zabandażowany.

– Dziesięć szwów. – Obok białego bandaża widniało kilka sińców. Małych. Okrągłych. Mniej więcej wielkości opuszków palców.

– Miałaś to wcześniej? – zapytał Seymour. Zaprzeczyła.

– A twoje stopy?

Ostrożnie wysunęła stopy spod przykrycia. Były owinięte bandażami. Ale to nie one przykuły uwagę Seymoura. Patrzył na otarcia od sznura na kostkach. Widział już takie ślady. Na ciele Chelsea Gerber.

# Rozdział 17

Graham wpatrywał się w swoje druty ze skupieniem telepaty. Isobel nauczyła go robić łańcuszek i pokazała ścieg, i teraz naprawdę robił na drutach. Na razie wydzięrgał może dwucentymetrowy kawałek z czerwonej włóczki, który wkrótce miał być szalikiem. Mały skrawek miał parę dziur, ale Isobel zapewniała, że to normalka u początkującego.

- Myślisz, że tablice Ouija[2] to ściema? - zapytała Isobel, nie odrywając oczu od robótki.

Graham nie potrafił dzięrgać i gadać jednocześnie. Druty w jego dłoniach znieruchomiały.

- Wydaje mi się, że to kwestia podświadomości.

- Kiedyś użyłam takiej tablicy i zapytałam ją o całe mnóstwo rzeczy, o których osoba siedząca ze mną nie wiedziała.

- Ale ty wiedziałaś.

- Ja nic nie robiłam!

- Nie wiedziałaś, że robisz. Właśnie tak działa podświadomość. Siedzieli na zamkniętym dziedzińcu szkolnym, który stał się ich stałym miejscem południowych spotkań - Isobel na betonowej ławce, Graham po turecku na ziemi, pochylony nad robótką. Choć było prawie dwadzieścia stopni, miał na głowie czapkę w niebieskie i szare pasy, którą Isobel zrobiła własnoręcznie i mu podarowała.

Postanowił nie zadawać się więcej z Nieśmiertelnymi. Postąpili źle, ale przecież nikogo nie zabili, więc nie chciał na nich donosić. Po prostu nie miał zamiaru więcej się z nimi bujać.

Życie było dobre. Minęły ledwie cztery dni, od kiedy Stroud dostał wyniki testu DNA, a Graham już przestał tak często oglądać się przez ramię. Nie myślał bez przerwy, że jakiś dowcipniś wyszarpnie mu dywan spod nóg.

Chodził do szkoły sam, jak wszyscy inni. Wracał pieszo do domu, czasem po ostatnim dzwonku zostawał jeszcze dziesięć czy piętnaście minut, żeby pogadać z Isobel.

Nie licząc dwóch wizyt u pedagoga i jednej w opiece społecznej, ten tydzień był idealny. Pedagożka musiała oczywiście wywlec stare sprawy, o których Graham nie chciał mówić, na przykład, jak wyglądało jego życie przed przyjazdem tutaj i czy dogadywał się z matką. Opiekunka socjalna bardziej interesowała się pobytem u ojca. Była ciekawa, czy choroba Evana i jego niemożność wychodzenia z domu nie zaczną z czasem drażnić Grahama. Pytała o jego nietypowy styl życia. Chciała wiedzieć, czy Evan śpi za dnia i funkcjonuje w nocy.

- Tylko wtedy może wychodzić na dwór - odparł Graham, wzruszając ramionami.

- Czy to nie stanie się dla ciebie problemem? Jak może się tobą opiekować, kiedy zawsze śpi, gdy ty jesteś na chodzie?

- Sam potrafię o siebie zadbać. - Czy ona nie kapowała? Nie rozumiała, że teraz jego życie stało się bardziej normalne niż kiedykolwiek przedtem? Nawet jeśli jego biologiczny ojciec uchodził za odmienca?

- Isobel.

Oboje unieśli głowy i zobaczyli Phillipa Albę, stojącego nad nimi z rękami w kieszeniach brązowych sztruksów. Miał na sobie czarny sweter, jego ciemne włosy kręciły się na szyi.

- Nie zapomnij o wieczornej próbie - rzucił.

Dwa dni wcześniej Isobel namówiła Grahama, żeby poszedł z nią na próbę teatralną. Tak tylko, dla towarzystwa, powiedziała. Ale okazało się, że potrzebowali pomocy przy budowie dekoracji, więc jakoś tak niechętny zgodził się pomóc. I teraz był częścią ekipy technicznej.

- Nie zapomnę. - Isobel przestała dziergać i zapatrzyła się na Albę z jawnym uwielbieniem. To oczywiste, że się w nim podkochiwała, a Graham zastanawiał się, czy to niemiłe uczucie w brzuchu to zazdrość.

- Tylko się upewniam - powiedział Alba, błyskając uśmiechem. Wyciągnął rękę z kieszeni i wycelował palec w Grahama, mówiąc: - Miło, że do nas dołączyłeś. - I poszedł sobie.

- Niektórzy uważają, że tablice Ouija to narzędzie diabła - zauważyła Isobel, wracając do robótki. Szalik, który robiła, był

jasnofioletowy.

Rozkojarzony Graham patrzył za Albą, który szedł przez dziedziniec.

- Nie wiem, czy wierzę w diabła.

- Nie uważasz, że ludzie bywają źli?

Och, wiedział, że ludzie bywają źli. Bez dwóch zdań.

- Nie, po prostu nie wierzę, że po świecie biega jakiś czerwony gostek z ogonem i rogami.

Jej druty przestały stukać. Spojrzała na Grahama i roześmiała się.

- Więc twoim zdaniem, jaka powinna być nowa nazwa Tuoneli? - zapytała.

- Wiadomo, że to powinno być coś niegroźnego.

- Mnie się podoba Shadow Falls.<sup>[3]</sup>

- Na pewno jej tak nie nazwą. Zbyt mroczne. Zbyt straszne. Cała ta sprawa jest głupia. Nie da się zmienić czegoś przez zmianę nazwy.

Rozległ się dzwonek, pozbierali więc swoje rzeczy.

- Koniec plotek przy drutach - oznajmiła Isobel ze śmiechem. Zawsze to mówiła i zawsze się śmiała. Nie rozumiał, co ją tak bawi, dopóki nie wyjaśniła mu, że na drutach robią zwykle stare babcie.

- Do zobaczenia na historii. - Graham zerwał się na nogi.

Reszta dnia minęła szybko. Kiedy skończyły się lekcje, Graham poszedł do domu, zamierzając wieczorem wybrać się do teatru na próbę.

Słońce stało nisko na niebie, a powietrze ochłodziło się mocno; było naprawdę zimno i Graham cieszył się z czapki. Rozmarzył się trochę i szedł z lekkim uśmiechem, myśląc o Isobel.

Gdzieś z tyłu zza rogu wyjechał samochód i ruszył w jego kierunku. Kiedy niemal go minął, zwolnił i zaczął dotrzymywać mu kroku. Graham spojrzał w tę stronę, spodziewając się ujrzeć Rachel Burton albo Trávisa i jego kumpli. Rozpoznał auto natychmiast. Za kierownicą siedziała matka. Znieruchomiał na chwilę i nagle jego mózg zaczął działać.

Wiej!

Mięśnie jego nóg stężały. Zawrócił w miejscu i rzucił się do ucieczki. Przebiegł przez czyjś ogródek. Przemykał między domami,

ślizgał się na pochyłościach, pędząc w dół.

Dogania cię!

Wiedział, że go dopędzi. Choćby gnał z całych sił. Biegając, wcisnął rękę do kieszeni dżinsów i dotknął klucza do domu. Powietrze rozsadzało mu płuca, kiedy dał susa nad żelaznym płotkiem otaczającym ogródek ojca. Błyskawicznie pokonał chodnik, wbiegł na werandę, biorąc po trzy stopnie naraz.

Ręka mu się trzęsła, gdy stojąc pod drzwiami, usiłował trafić do dziurki. W końcu udało się, przekręcił klucz i wpadł do salonu, zatrzasnąjąc z hukiem drzwi i przekręcając zamek za sobą.

Po minucie drzwi zatrzęsły się od wściekłego, gniewnego łomotania.

- Otwieraj! - rozległ się głos matki. - Wiem, że tam jesteś! Evan, który spał, wypadł z sypialni.

- Co jest, do...?

- Matka!

Przerażenie. Ona go zmusi do wyjazdu. Zmusi go, żeby z nią wrócił. Evan podszedł do drzwi.

- Nie! Nie otwieraj! Nie możesz!

Evan otworzył drzwi i cofnął się, by uniknąć słońca. Graham pobiegł do sypialni.

Gdy Evan próbował zrozumieć, co się, u diabła, dzieje, Lydia wmaszerowała do salonu, mrugając w półmroku.

- Zamknij drzwi - powiedział Evan. Cofnęła się i zatrzasnęła je z hukiem.

- Gdzie jest Graham?

- Zdaje się, że musimy pogadać.

- Przyjechałam zabrać syna. Nie mam ochoty z tobą gadać. Postarzała się co najmniej o dwadzieścia pięć lat, od kiedy widział ją ostatni raz. Śmierdziała zakisłym dymem papierosowym. Włosy miała do ramion, kręcone, ciemnoblonde ze sporą domieszką siwizny.

Evan wciąż musiał sobie powtarzać, że to ta sama dziewczyna, którą znał w liceum. Zupełnie nie przypominała smukłej, pięknej, seksownej Lydii.

- Porozmawiajmy o tym.

- Porozmawiać o tym? - Roześmiała się gorzko. - A chciałeś o tym rozmawiać szesnaście lat temu? Nie masz prawa dyskutować ze mną o Grahamie. Czy przez szesnaście lat w jakikolwiek sposób pomagałeś go utrzymywać? Czy w ogóle uznałeś jego istnienie? Nie. On jest moim synem, i tylko moim.

Coś huknęło w pokoju obok.

Lydia odwróciła się, słysząc ten dźwięk, pomaszerowała do sypialni Grahama i otworzyła drzwi.

- Zbieraj rzeczy. Wyjeżdżamy. Już!

- Nie! Graham leżał na łóżku, ściskając poduszkę, z kolanem podciągniętym do piersi i okrągłymi, szklistymi oczami.

Jedno było oczywiste: bał się własnej matki jak ognia. Nagła świadomość, że Lydia ma rację, omal nie powaliła Evana na kolana. Nie miał żadnej prawnej władzy nad synem.

- Wyjeżdżamy.

Graham nie mógł się dłużej opierać bezpośredniemu rozkazowi. Zwłóknął się z łóżka i zaczął na ślepo zbierać swoje rzeczy, upychając je do plecaka.

- Dość - rzuciła Lydia. - Wynosimy się stąd. W tej chwili. Ruszyła przodem;

we dwójkę przeszli korytarzem. Graham nie patrzył na Evana.

Otworzyła drzwi.

Evan zadziałał błyskawicznie. W kilku susach dogonił ją i zatrzasnął drzwi, zanim zdążyła wyjść.

Nie od razu pojęła, co się dzieje. Po chwili spróbowała przybrać obojętny wyraz twarzy, bez większego sukcesu.

- Co ty robisz? - Nie potrafiła ukryć strachu. Uniosła dłoń do szyi.

- Graham nigdzie nie pojedzie - powiedział Evan cichym, groźnym głosem.

---

[2] Tablica z literami i cyframi, używana przy seansach spirytystycznych (przyp. tłum.).

[3] Shadow Falls (Cienisty Wodospad) może znaczyć również „zapada zmrok” (przyp. tłum.).



# Rozdział 18

Komendant policji Seymour Burton wyjął nakaz przeszukania z kieszeni marynarki i zapukał do frontowych drzwi parterowego domku w wiejskim stylu, obłożonego żółtym aluminiowym sidingiem. Gdy nikt nie otworzył na powtórne pukanie, Seymour odsunął się i pozwolił swoim chłopakom rozbić zamek tandetnych drewnianych drzwi.

- Niech ktoś pójdzie od tyłu i przypilnuje, żeby nie próbował zwać tamtędy.

Choć w piekle na pewno było zarezerwowane specjalne miejsce dla pedofilów i miłośników dziecięcej pornografii, Seymour chciał mieć pewność, że Ed Wilson II odwiedzi najpierw więzienie. Obserwowali go od miesiący i w końcu zebrali dość dowodów, by zdobyć nakaz przeszukania.

Seymour wyciągnął swojego smitha wessona, pchnął drzwi i wślizgnął się do środka. Wnętrze śmierdziało kocim gównem, tłuszczem i niemytym ciałem. Starym facetem, który nie kąpał się od lat i nigdy nie prał ciuchów. Cóż, pewnie miał ważniejsze rzeczy do roboty.

Plastikowe rolety szczelnie zasłaniały okna i choć był jeszcze dzień, w domu panowały ciemności. Seymour zawołał w mrok, oznajmiając, po co przyszli.

Nikt nie odpowiedział. Tylko cisza.

Seymour kiwnął głową do młodego policjanta, niejakiego Abernathy'ego, żeby poszedł przodem. Ustalenie, że na górze nie ma nikogo, nie trwało długo. Szybkie oględziny piwnicy dały ten sam efekt.

Abernathy otworzył drzwi do ogródka.

- Nikogo tu nie ma - stwierdził drugi policjant, przyłączając się do nich w piwnicy.

Seymour sklął się w duchu, że zdecydował się na nalot w ciągu dnia. Ale obserwowali Wilsona i ta pora wydawała się najlepsza, by

zastać go w domu.

W jednym kącie piwnicy wisiał zestaw do wiązania, z łańcuchami i czarnymi, skórzanymi kajdanami podwieszonymi u sufitu. Niedaleko stało biurko z komputerem.

- Spakujcie komputer - polecił Seymour.

Włożył lateksowe rękawiczki i otworzył szufladę, zapchaną zdjęciami: niektóre były pocztówkowego formatu, ale głównie osiemnaście na dwadzieścia cztery. Wszystkie kolorowe. Całe ich setki. Seymour zaczął je przeglądać. Przedstawiały nagich chłopców.

Przekładał fotografie, szukając znajomych twarzy. Znalazł jedną. Niech to szlag.

Zadzwoiła jego komórka.

Telefonował Evan Stroud. W jego głosie brzmiała lekka panika.

- Jest tu matka Grahama - powiedział.

- W moim domu. Chce zabrać Grahama z powrotem do Arizony. Czy jest jakiś sposób, żebym mógł go zatrzymać w Tuoneli? Z kim mam się skontaktować? Kto mógłby mi pomóc?

Seymour wpatrywał się w zdjęcie w swojej dłoni: akt Grahama Yatesa.

- Nie wypuszczaj go z domu. Będę tam za niecałą godzinę. Chyba jest sposób, żeby go zatrzymać przynajmniej przez parę dni.

Seymour pozostał w żółtym domku dość długo, by upewnić się, że dowody są zabezpieczane prawidłowo. W końcu pojechał do Evana. Zapalił papierosa, ledwie wsiadł do samochodu. Gdy zaparkował przed domem Evana, zdusił peta w popielniczce i wziął z siedzenia tekturową teczkę.

Nie bardzo wiedział, dlaczego właściwie został policjantem. Nie zależało mu na autorytecie. I nie był uzależniony od adrenaliny. A już z pewnością nie lubił przekazywać ludziom złych wieści czy wprawiać ich w zakłopotanie.

Wziął głęboki oddech i wszedł po drewnianych schodkach prowadzących do drzwi. Evan widocznie usłyszał, że Seymour przyjechał. Nim zdążył zapukać, drzwi się otworzyły.

Słońce zaszło już za horyzont, ale niebo było jeszcze jasne. Seymour wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

Powietrze było jak naelektryzowane, przesycone napięciem, gniewem i strachem. Jego własne życie domowe z żoną i córką układało się spokojnie. Nie dochodziło w nim do wielu dramatów.

Seymour zawsze lubił Evana. Teraz, gdy ujrzał w jego oczach nieznaną dotąd desperację, zrobiło mu się go żal.

Zwrócił się do kobiety w salonie.

- Pani zapewne jest Lydia Yates. - Wyciągnął rękę, a kobieta uścisnęła ją niechętnie.

Pamiętał ją. Ciągle pakowała się w kłopoty. Należała do tych dziewczyn, które wiecznie się grzały, jak powiedziałyby jego matka. Seymour jako szeregowy funkcjonariusz jeździł na patrole; nie raz i nie dwa przyłapał Lydię, jak uprawiała seks. W tamtych czasach wydawało się, że oczarowała większość chłopaków w jej wieku. Gdy teraz na nią patrzył, wątpił, by przez ostatnie lata zdołała oczarować kogokolwiek.

- Nie rozumiem, o co tu chodzi. - Lydia opuściła rękę i przeszła do rzeczy. - Przyjechałam tu po syna, a ten gnój nie pozwala mi go zabrać.

- Chciałbym porozmawiać z Grahamem na osobności - oznajmił Seymour dwójce dorosłych.

Evan wskazał mu kierunek.

- Jest w sypialni po lewej.

Seymour wszedł do korytarza. Drzwi były uchylone. Pchnął je i starannie zamknął za sobą.

Graham siedział na brzegu łóżka, z nogami na podłodze, z pięściami między kolanami. Skinął Seymourowi głową i z powrotem wbił wzrok w podłogę. Teraz miał suche oczy, ale przedtem na pewno płakał.

Seymour przyciągnął sobie krzesło od biurka i obrócił je, by się przodem do chłopaka.

- Podobno mama przyjechała, żeby cię zabrać. Graham kiwnął głową.

- A ty chcesz jechać? Zaprzeczył ruchem głowy.

- Tak też myślałem.

Graham uniósł wzrok. Jeszcze przed minutą jego oczy były szkliste i bez życia. Teraz błyszczała w nich iskra nadziei, która

wcale nie ułatwiała Seymourowi zadania.

- Mogę zostać? - Głos miał ochryply.

- Jest sposób, żeby to trochę opóźnić. Na tyle długo, aby tutejszy sędzia mógł się przyjrzeć twojej sprawie. I spowodować, żebyś mógł tu mieszkać przynajmniej okresowo.

- On jest moim ojcem. Wróciły testy DNA, i on naprawdę jest moim ojcem. To przecież powinno pomóc, prawda?

- Mam nadzieję.

Ale dzieci zwykle przyznawano matkom. Tak już po prostu było. Poza tym Evan do tej chwili miał niewiele wspólnego z Grahamem. Kiedy jeszcze dodać do tego jego chorobę... sytuacja nie wyglądała dobrze. Seymour otworzył teczkę.

- Właśnie urządziliśmy nalot na pewien dom przy Piątej Alei i znalazłem tam to.

- Wyjął duże, kolorowe zdjęcie.

Krew odpłynęła Grahamowi z twarzy; chłopak zrobił się biały jak kreda. Na jego czoło wystąpił pot, gałki oczne zaczęły odpływać do góry. Seymour zerwał się z krzesła.

- Głowa w dół.

Dzieciak niczego nie słyszał. Seymour przygiął mu głowę do kolan, trzymał, aż jego ciało przestało się trząść, a oddech niemal wrócił do normy. W końcu Graham wyprostował się powoli i otarł twarz brzegiem koszulki z długim rękawem.

- Zechcesz mi powiedzieć, jak do tego doszło? - zapytał cicho Seymour, wracając na swoje krzesło.

- Byłem bez kasy. Głodny. Trafiłem na chłopaków, którzy powiedzieli, że jeden gość zapłaci mi stówkę za parę zdjęć.

- Kim byli chłopacy, którzy ci o tym powiedzieli? - Seymour wyjął z kieszonki koszuli mały notesik i zaczął przekładać kartki, aż natrafił na czystą.

- Nie znam ich. Po prostu jakieś dzieciaki.

- Jak wyglądali?

- Nie wiem. Chłopaki jak chłopaki. Mniej więcej w moim wieku. Było ciemno. Widziałem ich tylko przez chwilę. Nie pamiętam.

Seymour nie wierzył mu, ale na razie odpuścił.

Bardzo długo - prawdę mówiąc, przez całe lata - zastanawiał się,

dlaczego dzisiejsza młodzież jest taka skrzywiona. Jako policjant widział wielu młodych ludzi, którzy nie mieli żadnego moralnego kręgosłupa.

Młodych socjopatów. Ale procent tych wykolejeńców wzrósł nieprawdopodobnie w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

To go martwiło, bardzo martwiło. I obawiał się, że nie da się tego naprawić, bo przecież nie można cofnąć czasu. Dziś wypadało być płytkim, cynicznym, bez serca. Ale Graham był inny. Jakimś cudem zdołał ochronić lepszą część siebie.

- Więc poszedłeś do domu tego mężczyzny, a on ci zrobił zdjęcia - odezwał się Seymour.

- Czy stało się coś jeszcze?

- Co pan ma na myśli?

Młode dziewczyny bardzo niechętnie przyznawały się, że zostały zgwałcone, ale z chłopcami było jeszcze gorzej. Rzadko udzielali informacji bez długich namów.

- Czy molestowano cię seksualnie? - zapytał Seymour.

- Nie!

- Graham? - naciskał delikatnie Seymour cichym, rzeczowym tonem. Chłopak spojrzał mu w twarz.

- Nie. Przysięgam. Owszem, chciał. Powiedział mi, że nie zapłaci, jeśli nie zgodzę się na seks. Więc wyszedłem. Bez pieniędzy.

Seymour mu uwierzył.

- Co teraz? - zapytał.

- Musimy pojechać na komisariat i napisać raport. Potem będziemy musieli przyjąć twoje zeznanie.

Była to część procesu, który Seymour miał nadzieję przeciągać możliwie długo, by Graham mógł pozostać w mieście.

- Czasami trochę to trwa, zanim się wszystko urządzi. Muszę znaleźć stenotypistkę, i takie tam.

Mary Pelton mieszkała w Tuoneli i zawsze chętnie brała dodatkowe zlecenia, ale Seymour pomyślał, że zwyczajnie zapomni do niej zadzwonić przez dzień czy dwa.

- Musi mnie pan wsadzić do aresztu? Bo jeśli tak, to spoko. Nie mam nic przeciwko.

Chłopak wolał dać się zamknąć, niż jechać do domu z własną

matką. Seymour zamknął notesik i wsunął go z powrotem do kieszeni.

- Nie pójdiesz do aresztu, ale musimy zdobyć pozwolenie sędziego na twoje tymczasowe pozostanie tutaj do chwili złożenia zeznań. Graham kiwnął głową.

- A teraz powiemy tej dwójce za drzwiami, co się dzieje, i dlaczego nie możesz wyjechać z miasta.

Graham znów zbladł. Przełknął ślinę.

- Muszą oglądać to zdjęcie? Nie chcę, żeby je widzieli. Seymour wstał i schował zdjęcie do teczki.

- Myślę, że uda nam się tego uniknąć.

Nowina nie została przyjęta dobrze. Lydia wrzeszczała, że tego rodzaju zboczona działalność jest właśnie powodem, dla którego natychmiast powinna wywieźć syna z miasta. Evan zrobił się jeszcze bledszy niż zwykle. I choć ledwie znał Grahama, gdy tamta „sesja” zdjęciowa miała miejsce, Seymour widział, że czuje się w pewnym stopniu odpowiedzialny.

- Młodzi ludzie podejmują decyzje - powiedział. - Nie zawsze dobre. Ta była zła, ale nie tak fatalna, jak mogłaby być. A teraz, z pomocą Grahama, zamkniemy tego człowieka na bardzo długo.

- A co mamy robić w tym czasie? - zapytała gniewnie Lydia. - Nie stać mnie na motel.

- Mogą panią przenocować w mieście, w schronisku YWCA<sup>[4]</sup> - odparł Seymour. - Proszę im powiedzieć, że ja panią przysłałem. Graham będzie musiał zostać tutaj. W YWCA przyjmują tylko kobiety.

Zrozumiała, że nie wygra.

Seymourowi nie podobało się, że będzie się plątała po mieście i przysparzała kłopotów, ale niewiele mógł na to poradzić.

---

<sup>[4]</sup> YWCA (Young Women's Christian Association) - Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet

(przyp. tłum.).

# Rozdział 19

Komendant Seymour Burton przez dwa dni grał na czas, ale nie mógł robić tego w nieskończoność. Choć policji udało się namierzyć kilku innych chłopców sfotografowanych przez Wilsona, musieli odebrać zeznanie od Grahama.

Sam Wilson trafił do aresztu po anonimowej informacji, która doprowadziła funkcjonariuszy do szopy nad rzeką, gdzie się ukrywał.

Gdy Graham złożył zeznania, pozostało już tylko ponowne rozpatrzenie jego sprawy. Nie mógł w niej orzekać sędzia z Wisconsin, jako że Graham i jego matka byli mieszkańcami innego stanu, ale Seymour posłużył się pretekstem, że ktoś miejscowy musi zdecydować, czy matka jest wystarczająco odpowiedzialna, by zabrać syna do Arizony.

Tymczasem Lydia mieszkała w hotelu YWCA, a Graham znów chodził do szkoły i ze szkoły pod eskortą, gdyż było bardzo prawdopodobne, że matka po prostu zgarnie go z ulicy i odjedzie.

Seymour obawiał się jednak, że i tak to nastąpi. Nie mieli powodu odbierać jej praw rodzicielskich. Co najwyżej po powrocie do Arizony Graham mógł poszukać adwokata i próbować pozbawić ją prawa do opieki.

A i Lydia nie siedziała spokojnie na czterech literach, urządzając sobie wakacje. Skontaktowała się z lokalną gazetą, która zdążyła już opublikować artykuł na jej temat, przedstawiając Evana Strouda i Departament Policji w Tuoneli w demonicznym świetle. Skontaktowała się z prokuratorem stanowym i Wydziałem Opieki nad Nieletnimi, a także sędzią, który miał rozpatrywać jej sprawę. Seymour obawiał się, że jego gra na zwłokę była próżnym wysiłkiem i tylko niepotrzebnie dała nieszczęsnemu chłopakowi nadzieję.

A Kristin March? Żadnych nowych dowodów. Dziewczynie nie wróciła pamięć.

Odezwał się telefon Seymoura.



Dzwonił Kent, laborant z Madison.

- Mam dla ciebie parę ciekawostek - rzekł. Był przyjacielem Seymoura; pracował w stanowym laboratorium kryminalistycznym, a przy okazji w komercyjnym laboratorium prywatnych analiz DNA.

Seymour wyprostował się w fotelu, odłożył papierosa na popielniczkę na biurku i przysunął sobie notes i długopis.

- Prosiłeś mnie, żebym miał oko na te próbki DNA - ciągnął Kent.  
- Te przysłane do nas w celu ustalenia ojcostwa. No to posłuchaj. Okazały się zgodne z do wodowymi próbkami, pobranymi w miejscu znalezienia ciała Chelsea Gerber.

Serce Seymoura przyspieszyło gwałtownie.

- Jesteś pewien?

- Tak. Za minutę przyślę ci faks.

Seymour podziękował i rozłączył się. Jezu. Poprosił Kenta, żeby zerknął na te próbki, by móc ostatecznie wykluczyć Evana Strouda jako podejrzanego. Rachel odebrała komórkę.

- Mamy wyniki analizy DNA ze sprawy małej Gerber - powiedział ojciec. Jego głos brzmiał dziwnie. Był pełen napięcia.

- Dobrze się czujesz? Komendant westchnął głęboko.

- Jedna z próbek, które im wysłałaś, doskonale pasuje do DNA Evana Strouda. Rachel zakręciła kuchenny kran i klapnęła na najbliższe krzesło. Nagle zrobiło jej się dziwnie słabo i wystraszyła się, że zemdleje.

- To musi być jakaś pomyłka.

- Dałem Evanowi dwa zestawy testowe. Obie próbki są zgodne z DNA pobranym z ciała ofiary. W tej chwili próbuję namierzyć sędziego, żeby zdobyć nakaz aresztowania. Słyszałem, że pojechał na ryby, więc to może trochę potrwać...

Nakaz aresztowania? No tak, oczywiście, że aresztują Evana. Gdzie będą go trzymać? Jak go przewiozą do aresztu? W biały dzień? A potem...? Proces. Więzienie. Przecież on tego nie przeżyje.

- Przykro mi - rzekł Seymour. - Wiem, że jesteście przyjaciółmi. Wiem, jakie to musi być dla ciebie bolesne.

Rachel nie zdawała sobie sprawy, co mu odpowiedziała ani czyjej odpowiedź miała jakiś sens. Ledwie się rozłączyli, złapała kluczyki i zbiegła do furgonetki.

Dziesięć minut później łomotała do drzwi domu Evana. Kiedy otworzył, weszła do środka, zatrzasnęła drzwi i przekręciła zamek.

- Musimy cię stąd wywieźć.

- Hm? - Był rozczochrany i zaspany.

- Próbki DNA, które wysłałeś, pasują do próbek zebranych przy ciele Chelsea Gerber.

To go obudziło.

- Niemożliwe.

- Też tak powiedziałam, ale to ich nie powstrzyma. Przyjadą tu i aresztują cię.

- Nie mam powodu uciekać. - Zrobił skonsternowaną minę. - Niczego nie zrobiłem.

- Zastanów się, Evan.

Gdyby był kimkolwiek innym - po prostu zdrowym człowiekiem - wszystko wyglądałoby inaczej.

- Wywiozą cię stąd. W biały dzień. Wsadzą cię do celi z mocnymi jarzeniówkami. Może nawet z oknem. Nie pożyjesz dość długo, żeby dowieść swojej niewinności. A poza tym nie jesteś najbardziej lubianym facetem w mieście. Wpatrywał się w nią chwilę, aż wreszcie jej słowa dotarły do niego.

- Wiesz, jak działa wymiar sprawiedliwości - ciągnęła. - Wiesz, jak się traktuje podejrzanych. A szczególnie podejrzanych, którzy z każdej strony wyglądają na winnych morderstwa młodej dziewczyny.

- Dlaczego myślisz, że jestem niewinny? - zapytał. - No bo skoro mają zgodność DNA... dla niektórych to dowód nie do odrzucenia.

- DNA nie rozwiązuje każdej sprawy. Nie jest Świętym Graalem, nawet jeśli tak się uważało przez ostatnich kilka lat. - Była koronerem i patologiem. Polegała na faktach, więc nie mogła dodać, że nos podpowiada jej, że on nie jest mordercą. A może raczej serce?

Musieli się spieszyć. Pogawędzić mogli później.

- Podstawię furgonetkę pod kuchenne drzwi i wyprowadzę cię tamtędy - zaproponowała.

- I dokąd pojedziemy? - Widziała, że pomysł opuszczenia strefy bezpieczeństwa wywołuje u niego panikę. - To się nie uda. Nie mam

się gdzie ukryć. I co z Grahamem?

- Grahamem zajmiemy się później. W tej chwili musimy ciebie stąd wydostać. Zabiorę cię gdzieś, gdzie nie przyjdzie im do głowy szukać, mam nadzieję.

- Gdzie?

- Do kostnicy.

Jej furgonetkę trudno byłoby uznać za pojazd nierzucający się w oczy, ale ostatnio często parkowała pod domem Evana. W dzisiejszej wizycie nie powinno być nic niezwykłego.

Podjazd schodził ku lekkiemu obniżeniu terenu, a dalej stykał się z chodnikiem, biegnącym wokół domu, aż na tyły. Evan był właścicielem sąsiednich zalesionych działek, więc otoczenie tworzyło naturalną osłonę; nikt nie mógł zobaczyć ich z ulicy ani z pobliskich domów.

## Rozdział 20

Rachel podjechała chodnikiem, zaciągnęła hamulec ręczny, wyskoczyła z auta i otworzyła ciężkie, tylne drzwi furgonetki. Pojazd służył do transportu, więc okna miał tylko z przodu. Dwa siedzenia w kabinie oddzielała od reszty obowiązkowa krata, która uniemożliwiała przesuwanie się towaru do części osobowej.

Weszła do samochodu, wyjęła z opakowania plastikowy worek na ciało i rozłożyła go na wózku, rozsuwając zamek od góry do dołu. Gdy wszystko było przygotowane, wróciła do domu po Evana, który w ostatniej chwili złapał jeszcze antyczną puszkę z herbatą i wepchnął do kieszeni płaszcz.

Zabierał ze sobą HERBATE?

Z głową owiniętą ciemnym kocem wypadł z domu i wszedł na tył furgonetki. Rachel wskoczyła za nim i zatrzasnęła drzwi.

- Połóż się na wózku.

Kucając, obrócił się w ciasnej przestrzeni; brzeg koca dotykał kolan jego dżinsów.

- Tutaj. - Złapała go za rękę i pociągnęła na dół. Od przodu do auta wlewało się światło; musieli się spieszyć.

Pojmując jej plan, szybko ułożył się na wózku. Rachel zapięła gruby, czarny worek, zostawiając u szczytu szparę długości dwóch centymetrów, by Evan miał powietrze.

- Już jesteś opatulony.

- Jak w łóżeczku. - Jego słowa były żartobliwe, ale słyszała pobrzmiwającą w nich panikę.

Wyskoczyła z powrotem, zabezpieczyła drzwi furgonetki i zamknęła dom. Usiadłszy za kierownicą, zwolniła ręczny hamulec, wrzuciła bieg i zawróciła na trzy razy. Potem pod górkę chodnikiem, w prawo, na ulicę. Teraz wystarczyło do niej dojechać.

Po drodze miała kilka minut na przemyślenie, co właściwie robi. Pomoc i współdziałanie z podejrzanym o morderstwo. Trzy razy zatrzymywało ich czerwone światło i za każdym razem napotykała kogoś znajomego; machali do niej, więc odpowiadała na

pozdrowienia. By uniknąć kolejnych ludzi, znaków stopu i korków, skręciła w boczną uliczkę i przejechała nią pięć kwartałów, aż wreszcie dotarła na parking przed kostnicą.

Słońce świeciło jasno, nigdzie nie było ani skrawka cienia. Rachel zgasiła silnik i pobiegła na tył furgonetki.

W ciemności czarnego worka Evan słyszał odgłos otwieranych drzwi auta. Poczuł, jak Rachel wyciąga wózek. Nogi z kółkami zaskoczyły ze szczękiem. Słońce uderzyło z góry, rozgrzewając plastik. Zamrugął; pojedynczy promień przedarł się przez szparę w zamku i przeszył jego siatkówkę.

Evan jęknął i zacisnął powieki. Świat obracał się i przechylał, kółka wózka toczyły się po betonie. W ciemnościach dźwięki i ruch byty jego jedynym punktem odniesienia. Przystanęli. Otworzyły się jakieś drzwi; po chwili znów posuwali się naprzód, uciekając od żaru słońca w głąb bezpiecznego budynku. Kółka potoczyły się gładko i cicho po wykładzinie; nie potrafił ocenić prędkości. Zaryzykował spojrzenie. Dwie jarzeniówki zapłonęły pod jego czaszką. Szybko zamknął oczy.

Wózek się zatrzymał.

- Evan?

Oblizwał wargi i zbierał się, by odpowiedzieć, gdy nagle usłyszał „dzyń” i odgłos otwierających się drzwi windy. Ktoś krzyknął.

- Aleś mnie wystraszyła! - rozległ się obcy kobiecy głos.

- Przepraszam - odrzekła Rachel. - Zapomniałam, że dzisiaj sprzątasz.

- Nie wiedziałam, że jesteś w budynku.

- Muszę wsadzić tego pacjenta do lodówki. My tu gadu-gadu, a on gnije.

- Autopsja? Rachel nie odpowiedziała. Evan domyślił się, że skinęła głową.

- Daj znać, jak skończysz, jeśli będziesz chciała, żebym posprzątała prosektorium.

Znów ruszyli; drzwi zatrzasnęły się z grzechotem i winda pojechała na dół.

- To Patricia - szepnęła Rachel gdzieś blisko. - Sprząta raz w tygodniu. Nieźle byśmy ją wystraszyli, gdybyś się poruszył.

Chciał się uśmiechnąć, ale ból przeszył jego głowę, w której wszystko wirowało.

- Zabieram cię do piwnicy.

Winda zatrzymała się z szarpnięciem. Kółka zaterkotały po cemencie, potem po płytkach; przejechali przez uchylne drzwi. Miał nadzieję, że wreszcie dotarli na miejsce.

Rachel rozsunęła worek na jakieś pół metra i odchyliła połówki, by odsłonić twarz Evana. Nie lubił, by ktoś patrzył na niego, kiedy miał atak, a ona stała i gapiła się.

- Evan?

W jej głosie brzmiał strach. Pewnie pomyślała, że umarł. W takich chwilach potrafił wyglądać jak trup. Właśnie na tym polegała sztuczka: leżeć bez ruchu.

Nie ruszaj się. Nie oddychaj.

Może wtedy mdłości nie będą tak straszne i słabość nie potrwa długo.

- Evan?

Z wysiłkiem otworzył oczy. Tylko po to, by jej pokazać, że jeszcze żyje. Jego powieki zatrzepotały, ale nie mógł skupić wzroku.

Usłyszał jej westchnienie pełne ulgi.

Równoległe jarzeniówki na suficie leciutko mrugały. Jęknął, zacisnął powieki i pozwolił sobie na to, by zblednąć jeszcze bardziej.

Rozsunęła worek do końca.

Evan nie drgnął.

Pochyliła się nad nim. Taka cicha. Nagle poczuł, że coś musnęło jego policzek.

- Evan?

- Dlaczego to robisz? - wychrypiał z trudem.

- Mogą cię aresztować. Wsadzić do więzienia.

Znów go dotknęła.

- Pomagam przyjacielowi.

- Jak tylko się ściemni, wynoszę się stąd. - Mógł to zrobić. Był w stanie odzyskać siły, byle tylko się nie ruszał.

- Przepraszam. Staralam się chronić cię przed słońcem. Nie płacz. Ja nie umieram. Nie umarłem.

- Wyglądasz jak martwy. - Dotknęła grzbietu jego dłoni. Poczuł

jej palce wślizgujące się pod jego palce. – Twoja skóra jest jak lód.

– Nic... mi nie b-będzie.

– Co mogę zrobić? Idź sobie. Po prostu zostaw mnie samego.

– I - idź sobie. Poczuję, jak się cofnęła, i natychmiast pożałował swych słów. I co to było? W jej oczach? Strach i wątpliwości.

Gdy nikt nie otworzył, Seymour dał sygnał towarzyszącym mu policjantom, by włamali się do domu Evana Strouda.

Szybko przeszukali pokoje z wyciągniętą bronią, ale dom był pusty. Od telefonu z laboratorium do uzyskania nakazu minęły niecałe trzy godziny.

– Myślałem, że on nie może wychodzić w ciągu dnia – powiedział jeden z funkcjonariuszy. Był młody, jasnowłosy i tak zdrowy, że niemal bił od niego blask. Seymour uważał zawsze, że miły z niego dzieciak.

– Sprawdźcie garaż – polecił. Jeden z policjantów wyszedł.

– Jest pan pewien, że nie śpi w trumnie w piwnicy? – zapytał ze śmiechem inny.

Mogli sobie żartować, ale Seymour widział, że są wystraszeni.

Ledwie minęło południe, a w domu było ciemno jak w grobie. Upton, ten młody blondyn, zaczął zapalać lampy, ale to niewiele pomogło. Żarówki dawały słabe światło.

Policjant, który zniknął przed chwilą, wrócił.

– Samochód jest w garażu – wykrztusił bez tchu.

– Może ma jakąś kryjówkę.

– Zaczął chodzić po pokoju, opukując ściany.

– Wie pan, za ścianą czy gdzieś. Albo pod podłogą.

Seymour zmarszczył brwi. Co za durny pomysł.

– Mamy poodśłaniać okna? – spytał Upton.

Seymour kiwnął głową i przycisnął pięść do ust, by opanować kaszel. Jego dłoń automatycznie powędrowała do paczki papierosów, ale się powstrzymał. Tu nie mógł palić. Miał ochotę wyjść na werandę, ale nie chciał zostawiać chłopców samych.

Upton szamotał się z ciężkimi, czarnymi kotarami, szukając sznura. W końcu poddał się i pociągnął ciemny materiał ręką. Wszyscy odruchowo osłonili oczy, gdy światło wlało się przez panoramiczne okno.

Wtargnięcie blasku dnia odarło pokój z tajemniczości. Drobiniki kurzu wzlatywały w skośnych promieniach, padających na drewnianą podłogę i perski dywan. Światło zaatakowało i odsłoniło miejsca, które od lat pozostawały w ukryciu, niesprzątane.

Po prostu dom zwariowanego kawalera.

Seymour wiedział, jak łatwo zapuścić mieszkanie, kiedy się nie sprząta przed czyjąś wizytą. A jeśli do tego nawet nie widziało się brudu... jakie to miało znaczenie?

Sam z zadowoleniem kisiłby się we własnym brudzie, gdyby Rachel nie zmusiła go do wynajęcia kobiety, która przychodziła i przeganiała kurz raz w tygodniu. I musiał przyznać, że świeża zmiana pościeli to cholernie przyjemna rzecz. Od kiedy zrobiło się cieplej, Patricia wywieszała ją na dworze.

- Czy to nie ta kobieta, która przychodziła na komisariat? - zapytał Upton, wyglądając przez okno.

Seymour podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

Za furtką stała Lydia Yates, rozmawiając przez komórkę i gestykulując wściekle. Towarzyszyła jej druga kobieta, i Seymour szczerze wątpił, by dzwoniły po pizzę.

Za jego plecami ciemnowłosa policjant wrzasnęła falsetem, udając wystraszoną panienkę. Coś ciężkiego huknęło o podłogę.

Policjant schylił się i podniósł książkę w oprawie z miękkiej skóry.

- Posłuchajcie tego... - W drugiej ręce trzymał niewielką karteczkę, której treść odczytał: - „Okładka tej książki wykonana została ze skóry ojca Francisa Xaviera po jego dekapitacji w 1793 roku”.

- Więc obchodź się z nią bardzo ostrożnie. - Seymour ruszył do drzwi. - Sprawdzę, co kombinuje nasza droga pani Yates.

A przy okazji będzie mógł zapalić.

Na werandzie przystanął przed wielkim oknem, by policjanci widzieli, że jest blisko, i by nie trzymały się ich głupie żarty.

Kobietą towarzyszącą Lydii Yates była Bonnie Stark z „Nowin z Tuoneli”. Więc jutro rano wszyscy dowiedzą się o zgodności próbek DNA i nakazie aresztowania Evana.

Lydia zamknęła komórkę i oddała Bonnie, która schowała ją do kieszeni.



- Co się tu dzieje? - rzuciła gniewnie Lydia.

Seymour nie miał najmniejszej ochoty dyskutować o tym tu i teraz. Westchnął ciężko. Łudził się, że utrzyma wszystko w tajemnicy przed prasą przynajmniej jeszcze jeden dzień.

- Mamy nakaz aresztowania Evana Strouda, podejrzanego o dokonanie morderstwa.

Obie kobiety zachłysnęły się z wrażenia.

- Taak, dla mnie to też spora niespodzianka.

- Więc gdzie on jest? - drążyła Bonnie.

Seymour wyjął papierosa z kieszeni koszuli, przypalił go swoją srebrną zippo i schował zapalniczkę z powrotem do kieszeni.

- Cóż, w domu go nie ma.

Bonnie wyciągnęła notes i pstryknęła długopisem.

- Chce pan powiedzieć, że uciekł?

- Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków - odparł Seymour. - W tej chwili nie ma go w domu. To wszystko. Nie ma go w domu.

Lydia wyciągnęła rękę do Bonnie.

- Mogę jeszcze raz pożyczyć pani telefon? Muszę zadzwonić do prokuratora stanowego.

No tak, Graham. Czas, który mu kupili, skończył się. W tej chwili żaden sędzia na świecie nie przyznałby prawa do opieki jego ojcu.

# Rozdział 21

Wszystko będzie dobrze. Ta myśl ostatnio coraz częściej zakradała się do mózgu Grahama.

Isobel odwróciła się w ławce i posłała mu uśmiech przez ramię. Mieli akurat historię Ameryki i nauczyciel truł o wojnie secesyjnej. I choć jego głos brzmiał monotannie, Graham odnosił wrażenie, że faceta to kręci.

Koledzy wciąż rzucali Grahamowi dziwne spojrzenia, a niektórzy nawet udawali, że się go boją, ale miał to w nosie.

Wszystko będzie dobrze.

Pomachał do Isobel.

Oboje mieli zostać po szkole. Przedstawienie zaplanowano za tydzień i Alba naciskał aktorów, żeby nauczyli się tekstu. A budowę dekoracji ledwie zaczęli. W ten weekend Graham i Isobel zamierzali połączyć po sklepach z rupieciami i poszukać rekwizytów. A dziś po południu umówił się z Albą, by popracować nad projektem dekoracji.

Ktoś zapukał cicho do drzwi; dyrektor Bonner weszła do klasy i szepnęła coś nauczycielowi.

- Graham Yates - powiedział nauczyciel. - Pozbieraj, proszę, swoje rzeczy i wyjdź do pani dyrektor na korytarz.

Serce Grahama podskoczyło niespokojnie, ale natychmiast pomyślał, że to może dobre wieści. Pewnie sędzia - czy kto tam prowadził jego sprawę - chciał porozmawiać z nim o matce.

Szli w stronę sekretariatu, kiedy dyrektorka nakazała mu skrócić w inny korytarz.

- Opróżnij szafkę. Graham stanął jak wryty.

- Co?

- Wyjmij wszystko ze swojej szafki.

- Co się dzieje? O co chodzi?

- Opróżnij szafkę.

Okej, nie zamierzała mu powiedzieć. Ale on znał odpowiedź. Już

to przerabiał. Pokręcił tarczą szyfrowego zamka i otworzył szafkę. Upchnął kurtkę, robótkę i zeszyty do plecaka.

- Ja wezmę książki.

Próbował odczytać wyraz jej twarzy, wkładając podręczniki w jej wyciągnięte ręce. Była zdenerwowana. Podejrzliwa. Trochę nim rozczarowana, ale przede wszystkim zła, że postawiono ją w takiej sytuacji, szczególnie że Graham nigdy tak naprawdę do nich nie należał. Był przybłędą, którego musiała przyjąć do szkoły. I po co? Czy nie skończyło się to tak, jak przewidywała?

Znał to spojrzenie. Tułał się już tak długo, bywał w tylu nowych szkołach, że rozpoznawał je bezbłędnie.

Zatrzasnął szafkę i ruszyli do gabinetu, mijając biurko sekretarki. Pomarańczowe drzwi zamknęły się za nimi.

Na krześle siedziała jego matka i patrzyła na niego wściekłym wzrokiem.

Minęła długa chwila, nim zauważył, że w gabinecie jest ktoś jeszcze. Jego stary kumpel, komendant Burton.

Burton trzymał w dłoniach kapelusz. Graham nie wiedział, jak nazywa się taki typ kapelusza. Trochę jak kowbojski, ale nie taki wielki jak stetson. Jakkolwiek się nazywał, Burton ścisnął go swoimi starymi dłońmi. Facet wyglądał żałośnie i przez chwilę Grahamowi było go żal.

Komendant podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu. Czas zaczął płynąć jakoś inaczej i pokój nagle się skurczył. Graham wiedział, co Burton mu powie, i miał ochotę zwać. Wargi Burтона zaczęły się poruszać, ale Graham nie słyszał niczego przez krzyk rozbrzmiewający we własnej głowie.

Nie!

Nie miało znaczenia, co mówi komendant. Na pewno mówił, że mu przykro i że Graham musi wrócić do matki.

Wreszcie poczuł, jak panika i lęk gdzieś odpływają. Nagle ogarnęło go ciepłe, puste odrętwienie i poczucie bezpieczeństwa.

Nic nie mogło go dotknąć. Nic nie mogło zranić, kiedy tak się czuł. Był to ten sam stan totalnego spokoju, który Graham przywołał, przyciskając do skroni pistolet Evana i pociągając za spust.

- Nic nie szkodzi, panie komendancie - usłyszał własne słowa. Widocznie się uśmiechnął, bo Burton odpowiedział uśmiechem. Ale Graham widział, że staruszek wstydzi się, że go zawiódł.

Potem on i matka wyszli z gabinetu. Możliwe, że coś powiedziała; nie był pewien. W tej chwili całkowicie zatrasnął się już we własnej skorupie.

Rozległ się dzwonek, ale głuchy dźwięk jakby dobiegał z innego wymiaru. Tłum wylał się na korytarze jak lawa po wybuchu wulkanu. Grahamowi wydało się, że ktoś krzyknął jego imię, więc odwrócił się powoli i ujrzał dziewczynę o jasnych włosach, machającą do niego gorączkowo. Nie odpowiedział jej. Wyszedł za matką z budynku.

W samochodzie spojrzął na tylne siedzenie i zobaczył swój wielki, płócienny plecak. Zdążyła już zabrać jego rzeczy od Strouda.

Ze znajomym poczuciem bezsily otworzył skrzypiące przednie drzwiczki i usiadł w fotelu pasażera. Matka uruchomiła silnik, wrzuciła bieg i odjechali.

Szukać nowej, cudownej przygody.

Mówiła. Słowa padały szybko, gniewnie. Graham potrzebował chwili, by zorientować się, że obiektem jej pomstowania jest Evan Stroud.

- Zamordował dziewczynę - wyrzuciła. - Tę, którą znaleźli w parku. Chcesz zostać z kimś takim? Z mordercą?

Morderca czy kobieta siedząca obok... Hm. Taki wybór mógłby się wydawać trudny komukolwiek innemu, ale dla Grahama odpowiedź była prosta: wolał mordercę.

Przelecieli przez miasto. Samochód stał się przedłużeniem wściekłości Lydii: te zbyt szybko brane zakręty, zbyt gwałtowne hamowania. To buksowanie oponami, gdy ruszali.

Graham dziwił się, że nie zatrzymała ich drogówka. Ale może dostali ostrzeżenie. Może mieli powiedziane, żeby wypuścić ją z miasta. I niech jedzie w diabły.

Pomyślał o swoich przyjaciółach w Arizonie.

- Dokąd jedziemy?

- Zamknij się! - Spróbowała go trzasnąć, ale się uchylił. - Nie odzywaj się do mnie. Nigdy, przenigdy się do mnie nie odzywaj!

Graham nie miał zbyt wielu dawnych wspomnień o swojej mamie. Była po prostu kobietą, która przychodziła i odchodziła, czasami wstawiona, czasami wściekła.

Sporadycznie, kiedy była pijana, przytulała go i mówiła, jak bardzo go kocha.

Równomierny strumień mężczyzn płynął przez ich życie; przemykali jak cienie. Graham w końcu wykombinował, że ci obcy mężczyźni ją uszczęśliwiali.

Kiedy jest się małym, wie się dokładnie, co się do kogoś czuje. Może powód tego uczucia nie jest jasny, ale samo uczucie nie budzi wątpliwości. Człowiek kocha. Nie ufa. Czasem kogoś nie lubi. Ale nigdy nie zastanawia się, czy lubi, czy nie.

Może dzieci mają bardziej wyostrzony instynkt. Może to jakaś prymitywna technika przetrwania.

Jego życie właściwie nie wydawało się takie złe, dopóki nie umarła babcia. Chodził wtedy do trzeciej klasy. Babcia praktycznie go wychowała; Lydia snuła się tylko gdzieś na horyzoncie. Umarła na coś, co nazywano „fryzjerskim udarem”. Miało to coś wspólnego z arteriami szyjnymi i odchyleniem głowy do tyłu przy myciu włosów.

To były jej urodziny, więc postanowiła zafundować sobie prezent. Kiedy fryzjerka skończyła, włosy babci wyglądały sztucznie i obco, a twarz zrobiła się dziwna. W recepcji padła na podłogę, a po sześciu godzinach już nie żyła. Bez babci, która trzymała ją w karbach, jego matka kompletnie straciła kontrolę nad życiem.

Gdy zachodzące słońce barwiło niebo na świetlistą czerwień, myślał o babci. Myślał, jak bardzo ją kochał i jak bardzo za nią tęsknił...

Zauważył, że zapada zmierzch. Na drodze nie było wielkiego ruchu; od czasu do czasu światła auta jadącego za nimi oświetlały kabinę.

Jak długo już jechali? Czas zawsze się pieprzył, kiedy Graham tak się w sobie zamykał.

Przynajmniej nie gadała. Siedziała w milczeniu, gapiąc się przed siebie. Miał ochotę włączyć radio, ale to ściągnęłoby na niego jej uwagę i wyrwało ją z milczenia, więc starał się nie ruszać.

Samochód zwolnił i matka pochyliła się naprzód, jakby czegoś wypatrywała. Nagle skręcili w prawo, zjeżdżając z dwupasmówki na parking.

Zatrzymała auto przed niskim, ceglanym budynkiem z dachem z zielonej blachy. Niesamowite błękitne lampy migają i brzęczą. Ćmy krążyły jak szalone, a twarde żuki bombardowały ogłupiałe cementowy chodnik.

- Muszę się wysikać - oznajmiła, wyjmując kluczyk ze stacyjki. Oboje wysiedli z samochodu. - Zamknij drzwi.

Graham wcisnął kołek i ruszyli w stronę publicznej toalety.

Parking był pusty z wyjątkiem dwóch tirów zaparkowanych w oddali na postojowych światłach; ich dieslowskie silniki burczały cicho, kierowcy spali. Graham ledwie zwrócił uwagę na pojazd, który zjechał z autostrady i zaparkował na przeciwległym końcu placu.

On i matka weszli do oddzielnych toalet.

Wysikał się. Kiedy skończył i zapiął rozporek, spojrzął na siebie w lustrze nad umywalką. W świetle jarzeniówek jego skóra była zielona, żyły ciemnoniebieskie.

Nie mógł się zmusić do wyjścia.

Spojrzał w górę, na okienko z luksferów. Za małe. Drzwi stanowiły jedyną drogę wyjścia. Jak długo mógł tu siedzieć, zanim ona przyjdzie go szukać? Zanim przyjdzie i zawlecze go do samochodu?

Z damskiej toalety dobiegł ciężki, stłumiony hałas, a po nim trzaśnięcie drzwi.

Skończyła. Czekala na niego.

Odkręcił wodę. Spłukał muszlę, by myślała, że jeszcze nie jest gotów. Znow odkręcił wodę. Kupował sobie kilka minut swobody w publicznym kiblu.

Usłyszał kroki za plecami. Schyliwszy głowę, odwrócił się i skoczył do wyjścia. Ktoś złapał go za ramię.

- Stary. Uniósł oczy. Travis.

- Chodź - szepnął Travis, ciągnąc go. Osłupiały Graham ruszył za nim. Skąd Travis się tutaj wziął? W tym świecie?

W świecie jego matki?

Gdy wyszli na zewnątrz, Travis kiwnął, by biegł za nim pod osłoną iglastych krzaków. Graham rozejrzał się, nie zobaczył matki w samochodzie ani przed toaletą. Ruszył za Travisem. Pędzili jak wariaci, schyleni pod rozłożystymi gałęziami, aż dotarli do zaparkowanych tirów.

Niedaleko od ciężarówek stał mały zielony samochód należący do jasnowłosego kolegi Trávisa, Craiga. Aten drugi chłopak? Brandon. Graham nareszcie wykumał, że ma na imię Brandon.

Nie miał czasu myśleć o tym, co się wydarzyło, kiedy ostatnio jechał tym samochodem. Wsiadł z tyłu. Drzwi trzasnęły, opony zapiszczały.

Gdy wyjechali na dwupasmówkę, skręcając w stronę Tuoneli, wszyscy wydali dziki wrzask radości. Brandon wcisnął Grahamowi do ręki ćwiartkę wódki.

- Jak mnie znaleźliście? - zapytał Graham; serce mu łomotało, przepełniało go uczucie bliskie euforii. Uniósł butelkę do ust i pociągnął łyk.

- Zobaczyliśmy, jak wychodzisz ze szkoły, stary - wyjaśnił Travis, wyciągając rękę po flaszkę. Graham mu ją podał. - Więc pojechaliśmy za tobą.

Wszyscy się roześmiali.

Graham obejrzał się przez ramię na drogę za nimi. Jak na razie żadnych świateł. To było kompletnie pokręcone. Tak cudownie pokręcone. Jednak po chwili zaczął myśleć logicznie.

- Ona mnie znajdzie. Zawsze mnie dopada. - Może powinni zawrócić. - A wtedy będę miał przerąbane.

- Nie znajdzie cię, stary - odparł Travis. - Mamy dla ciebie idealną kryjówkę. Nikt cię tam nie wyczał.

Butelka wódki znów znalazła się w jego dłoni. Lepiła się, ale nie przyglądał jej się po ciemku.

- Ekstra. - Ale nie czuł się szczególnie pewnie. Ostatecznie to był ten sam gość, który wysłał go do zboczeńca.

## Rozdział 22

Rachel ruszyła do sutereny kostnicy zjedzeniem i innymi niezbędnymi rzeczami. Gdy znajdowała się w połowie schodów, zadzwoniła jej komórka, zatrzymała się więc, by odebrać.

Ojciec.

Słyszając jego głos, miała ochotę wyrzucić z siebie wszystko: wyznać, co zrobiła, opowiedzieć o Evanie. Nigdy nie ukrywała niczego przed Seymourem, a teraz potrzebowała jego rady, jego pomocy. Czowała mdłości. Powinna być lojalna wobec ojca, nie wobec Evana.

- Grahama oddano Lydii Yates - poinformował Seymour. - Nie mogliśmy nic na to poradzić.

Zajęło jej chwilę przestawienie się z własnego poczucia winy na to, co mówił ojciec.

- Jak on to przyjął?

- Zupełnie dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności. Może jego relacje z matką nie były aż tak fatalne, jak to przedstawiał. Wyjechali z miasta dziś po południu. - Westchnął ciężko. - Domyślam się, że widziałaś wiadomości?

Wiadomości o Evanie. Pojawiały się wszędzie. W telewizji. Gazetach. Pewnie niedługo trafią do krajowych dzienników.

„Powiedz mu. Musisz mu powiedzieć, co zrobiłaś”.

- Coś tam widziałam - odparła.

- Ludzie wariują, kiedy dzieje się coś takiego.

- Tato, ja...

- Nie sądzę, żebyśmy mieli dość ludzi, by ochronić Evana Strouda, jeśli pokaże się w mieście. Wszyscy chcą jego śmierci.

Omam mu nie powiedziała. „Przepraszam, tato”. Pożegnali się i rozłączyli. Minutę później znalazła Evana w swoim gabinecie, skulonego pod biurkiem, z kolanami pod brodą.

- Przyniosłam ci kanapkę i tę twoją herbatę.

Jego twarz była popielata, oczy zaognione, szkliste.



Te nieliczne przypadki porfiru, o jakich słyszała, polegały na nadwrażliwości skóry, prowadzącej do powstawania bąbli, a nawet raka, jeśli była zbyt często wystawiana na słońce. U Evana wyglądało to na reakcję całego ciała na poziomie komórkowym, która być może nawet zmieniała skład jego krwi. Zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu.

- Trzeba tylko przeczekać - szepnął. - Przetrwąć.

Nakryła go kocem. Jeden małeńki promyk słońca doprowadził do czegoś takiego. Jego obecny stan najlepiej dowodził, że miała rację, ukrywając go, ale to w niczym nie umniejszało jej poczucia winy.

Drżącymi palcami chwycił brzeg koca i podciągnął sobie pod brodę.

- Dzięki - wyjąkał. - G-gdzie jest Graham? O - odebrałaś go ze szkoły?

- Mam złe wieści.

Dwie czarne jamy wзираły z białej twarzy. Czekał na ciąg dalszy.

- Graham wrócił pod opiekę matki. Niedawno wyjechali z miasta. Evan zacisnął powieki.

- Przykro mi. Tato zrobił, co mógł. - Rachel przysunęła mu bliżej talerz i herbatę i zostawiła go samego. Musiała odejść. Musiała pomyśleć o tym, co robi. Musiała się uporać z własnymi demonami.

Stęchły zapach herbaty dotarł do nozdrzy Evana. Zmusił się, by wyczołgać się spod biurka. Głowa boleśnie mu pulsowała. Złapał kubek i wypił łyk.

Zjadł kanapkę, dopił herbaty i usnął jak kamień. Nie wiedział, jak długo spał. Chwilę. Dzień. Rok.

Sto lat...

Obudził go łomot serca i szum krwi krążącej w żyłach. Zebrał się z podłogi. W ciemnościach, zataczając się, poszedł do prosektorium, skierował się prosto do lodówek i otworzył środkową szufladę.

Richard Manchester.

Evan wpatrywał się w zmumifikowane szczątki, czując, jak mrowią go nerwy.

Ogarnęła go dziwna tęsknota, jakby za utraconym domem. W nabożnym skupieniu musnął palcami skraj apaszki z monogramem i

wyobraził sobie, że stoi na środku Starej Tuoneli z chustką na szyi.

Zdjął apaszkę z mumii, uniósł do twarzy, zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze.

## Rozdział 23

Craig i Brandon czekali w samochodzie, gdy Graham szedł za Travisem przez ciemny las, potykając się o splątany bluszcz.

- Świeć tą latarką pod nogi - rzucił z irytacją, gdy potknął się po raz drugi. Nie jadł od południa, a od wódki, którą wypił w samochodzie, szumiało mu w głowie i mrowiły go palce. - Dokąd idziemy?

- Zobaczysz. - Latarka rzucała blade kółko światła z ciemnym punktem pośrodku.

Szli dalej. Graham zapomniał na chwilę, że w ogóle mają przed sobą jakiś cel, aż nagle Travis się zatrzymał. Graham wpadł na niego.

Stali przed starym, kamiennym budynkiem, który wyglądał, jakby dawno temu był kościołem. Obrazy przypominały fotki robione po ciemku, bo Travis machał latarką w górę i w dół. W tych przebłyskach Graham zdołał dostrzec, że budowla ma ciężkie, drewniane drzwi, spiczaste u góry i osadzone głęboko w kamiennej ścianie.

Budynek ginął pod kożuchem dzikiego wina.

W Arizonie nie rosło zbyt wiele takiego pnącego zielska. Tutaj wszystko zdawało się żywe. Było żywe. Masa ociekającej wodą, rosnącej, oddychającej rośliny, wychodzącej z ziemi, pnącej się po budynkach, sięgającej w niebo. Niczym jakaś dziwaczna, pokręcona bajka.

- Czy te pnącza mają kolce? - usłyszał własne pytanie.

- Co? - Travis zgłupiał. Graham machnął ręką.

- Nieważne. - I tak nie chciał powiedzieć tego na głos.

Może mógłby tu mieszkać. Nikt by go nigdy nie znalazł w tym tajemniczym domu w środku lasu. Może te bluszcze będą rosły i rosły, aż w końcu zasłonią wszystko. Ukryją go. Ochronią.

Ale co w zimie? Tu zimą jest chłodno.

Do zimy pozostały długie miesiące. Ledwie zaczęła się wiosna.

Zanim przyjdą mrozy, zdąży coś wymyślić. Może palić ogniska. Może ściągać uschłe gałęzie na opał. Zaczął się zapalać do tego pomysłu. Alternatywny styl życia. Tak się to nazywało?

Drzwi były uchylone. Travis pchnął skrzydło, przesuwając je jeszcze kilkanaście centymetrów ze zgrzytem drewna po kamiennej posadzce. Wcisnął się do środka. Graham poszedł w jego ślady.

- Co to za smród? - Zakrył nos dłonią i zaczął oddychać przez usta.

- Gówno szopów - odparł Travis. - Szopy pracze lubią siedzieć w takich pustych ruderach. Potrafią roznieść wszystko na strzępy tymi swoimi małymi łapkami. Widziałeś kiedyś, jak trzymają różne rzeczy? Fajna sprawa.

- Dawaj tę latarkę.

Travis podał mu latarkę i Graham omiół pomieszczenie słabym, pomarańczowym promieniem. To rzeczywiście był kościół. Dawno temu. Zostało jeszcze kilka ławek i ołtarz z kilkoma nadpalonymi świecami. Na ścianach nabazgrane graffiti. Dach zapadł się miejscami; dziurawą podłogę zaścielały przegniłe belki.

Coś przemknęło obok nich. Graham obrócił się, celując latarką w miejsce, skąd rozległ się dźwięk, i zdążył dostrzec puchaty, brązowy ogon znikający w pęknięciu ściany.

- Szop - powiedział Travis.

Graham zatrzymał snop światła w kącie, przyglądając się obrzydliwemu, poplamionemu materacowi. Zrobiło mu się niedobrze. Poczul stary, abstrakcyjny lęk, którego doświadczał już wiele razy w życiu.

- Nikt cię tu nigdy nie znajdzie - zauważył Travis.

- Co to za miejsce? - zapytał Graham. - Co robi zrujnowany kościół w środku kompletnego pustkowia?

- Stara Tuonela. Miasto duchów. Prawdziwe miasto duchów. Podobno nawiedzają je zamordowani ludzie. Tak czy inaczej nikt tu nie przychodzi. - Obrócił się na pięcie. - Wierzysz w duchy?

- Nie wiem. Nigdy żadnego nie widziałem.

- A w Nieśmiertelnego?

- To znaczy, czy myślę, że był prawdziwym wampirem?

- No. Graham parsknął.

- Jasne. - Ale nie czuł się tak pewnie, jak by chciał. Stojąc w tym niesamowitym otoczeniu niemal wierzył, że wampiry istnieją naprawdę.

- A twój stary?

- Co mój stary?

- Ludzie mówią, że jest wampirem.

- Ma chorobę, przez którą nie wolno mu wychodzić na słońce.

- A bo to wiadomo na pewno? Może tak naprawdę jest wampirem.

Może tylko mówi ludziom, że jest chory.

Graham pomyślał o tym, jak Evan wystraszył go kilka razy.

- Widziałeś kiedyś, jak pije krew? - dociekał Travis.

- N - nie.

- A co z lustrami? I krzyżami? Ma jakieś w domu?

- W łazience jest lustro. A co do krzyży... stary, kto trzyma krzyże w domu?

- Moi rodzice.

- No tak, pewnie jak wszyscy w Tuoneli. A do tego czosnek. - Graham otrząsnął się z głupich myśli. - To idiotyczne. - I znów powiedział to pewniej, niż się czuł.

- Nieważne. - Travis wzruszył ramionami. - Muszę lecieć. Grahamowi nagle zrobiło się głupio. Doceniał, że ta banda przyszła mu z pomocą. Nie chciał, by Travis pomyślał, że tego nie docenia.

- Hej, stary, dzięki.

- Spoko. Któryś z nas spróbuje tu zajrzeć jutro po szkole. - Wyciągnął rękę po latarkę.

- Czekaj. - Graham podszedł do ołtarza. Świecąc latarką, poszukiwał zapalek, ale znalazł tylko zużyte kartoniki. - Masz ogień?

Travis poklepał się po kurtce.

- Chyba zostawiłem w samochodzie.

- To zostaw mi latarkę.

- Zapomnij. Muszę ją mieć, bo nie trafię z powrotem. Graham zwrócił ją niechętnie.

Z trudem zmusił się, by nie pójść za Travisem. Gdy chłopak sobie poszedł, Graham przez chwilę stał w ciemności, słuchając bicia własnego serca. Budowla powoli zaczęła się budzić.

Rozległy się cichutkie dźwięki, które mogły być odgłosem maleńkich mysich pazurków wspinających się po belkach. A potem głośniejsze kroki jakiegoś zwierzęcia, tupiącego po podłodze w poszukiwaniu wyjścia z budynku.

Pięknie.

Jak to się działo, że zawsze tak skutecznie potrafił wpakować się z deszczu pod rynnę? Jakby był wyposażony w magnes przyciągający chaos.

A czego się spodziewałeś? Cholerne hotelu z czystą pościelą i gorącym prysznicem?

Przywołał w pamięci obraz brudnego materaca w kącie. Czysta pościel nie byłaby zła. Czysta pościel byłaby naprawdę mile widziana.

Czuł się zmęczony. I głodny. Tak głodny, że bolał go żołądek. Taki ból żołądka zapowiadał, że jeśli człowiek w końcu coś zje, pewnie się pochoruje.

Miasto duchów.

W Arizonie mieli mnóstwo miast duchów, ale to były wyschnięte na pieprz stare budy, a nie jakiś mokry, zapleśniały kościół w środku lasu. Nie jakieś miejsce, gdzie zwierzaki ganiały po belkach nad głową i obsrywały, co się dało.

Rano wszystko będzie wyglądało lepiej.

Jego myśli zmieniły bieg.

Gdzie jest jego matka? Będzie wkurzona, to na pewno. Zapieni się jak sto pięćdziesiąt. A potrafiła robić naprawdę paskudne rzeczy, kiedy się porządnie nakręciła.

Travis szedł z powrotem do auta naprawdę szybko. Pobiegłby, ale nawet z latarką prawie nic nie widział.

Za chińskie bogi nie chciałby zostać tam sam. Wszystkie dzieciaki z Tuoneli dorastały, słuchając opowieści o starym mieście. Travis nigdzie nie lubił być sam po ciemku, ale samemu w cholernej ST to dość, żeby człowiek dostał zawału. A po tej akcji z dziwnymi ognikami... Co to było, do cholery?

Nie myśl o ognikach. Nie oglądaj się. Po prostu ruszaj nogami.

Graham miał jaja. To trzeba mu przyznać.

Nim Travis dotarł do samochodu, mrowiła go skóra na głowie i

dyszał jak głupi. Brandon i Craig siedzieli z przodu, gapili się prosto przed siebie i jarali jak zawodowcy.

- Co zrobiliście z ciałem? - zapytał Travis. - Spuściliście krew?

- Ee tam. - Craig opuścił szybę i pstryknął peta w trawę. - Nie chcemy takiej starej pindy.

- Jak dla mnie to marnowanie towaru - odparł Travis. - Bo przecież wiecznie szukamy krwi.

- Nie od jakiejś starej dziwki.

- Gdybyś wypił taką krew - włączył się Brandon - pewnie sam zrobiłbyś się stary i głupi.

Travis chciał powiedzieć, że Brandon już jest głupi, ale jakoś się powstrzymał. Brandon to baran. Zawsze robił to, co kazał mu Craig. Ubierał się jak Craig, gadał jak Craig. Żałosne.

Craig wrzucił bieg. Ale zamiast zawrócić, wjechał głębiej w ST i się zatrzymał.

- Wywalamy ją.

Wysypali się z auta, dźwignęli ciało z bagażnika i pozwolili mu upaść na ziemię z ciężkim tąpnięciem. We trzech wlekli martwy ciężar po ziemi, aż dotarli do otwartej studni, której kamienna cembrowina nie wystawała ponad ziemię. Turlali i pchali, aż martwa kobieta zniknęła w czarnej dziurze; za nią posypały się mniejsze i większe kamienie.

Lydia miała mętłą świadomość, że powinna być obolała, ale nie czuła niczego. O tak, była przytomna, kiedy ciągnęli ją z bagażnika samochodu. Była przytomna, gdy wrzucili ją do głębokiej dziury w ziemi. Za nią poleciały kamienie; jeden z nich ją ogłuszył.

Kiedy się ocknęła, nie czuła bólu i przez chwilę myślała, że może jest martwa, może umarła i poszła do piekła. Ale potem dotarły do niej dźwięki. Męskie głosy, gadające i roztrzęsione. Głosy odpłynęły, a ona zaczęła się szamotać, mozolnie czepiając się kamieni. Głupi chłopcy. Głupi koledzy Grahama. Myśleli, że ją zatłukli na śmierć.

„Jeśli nie zamierzasz zrobić czegoś jak należy, w ogóle się nie bierz do roboty". Tak mawiała jej matka. Po pierwsze, ci idioci jej nie zabili. Po drugie, byli za leniwi, by rzucić na nią więcej kamieni.

Wydostanie się. Wydostanie się i ich znajdzie.

Zacząła się mocować z jakimś głazem, aż w końcu udało jej się wyrwać go ze ściany i rzucić na bok. Zajął się następnym. Wydrapywała ziemię paznokciami, by uwolnić kolejne kamienie.

Wytropi tych dupków i pozabija ich.

Zabije nie tylko ich, ale i Grahama.

Słyszała go. Kiedy leżała w bagażniku samochodu, słyszała jego głos zaledwie kilkanaście centymetrów od siebie. Jej rodzony syn, ale byłoby lepiej, gdyby wtedy usunęła ciężę. Chciała, ale matka wybiła jej to z głowy. Powiedziała, że może uda im się z tego wycisnąć jakiś grosz.

Wybrały Evana, bo jego ojciec był gliną i wydawało się, że jeśli już ktoś, to właśnie on będzie się starał postąpić z nią przyzwoicie. Ale plan nie wypalił, bo Evan się rozchorował i potem nikt już nie zwracał na nią uwagi.

Ten bachor zrujnował jej życie, ot co. Był nieustającym przypomnieniem, jak wszystko mogłoby wyglądać, gdyby nie otworzył oczu.

Musiała odpocząć.

Oparła policzek o ścianę studni. Jej seksowna letnia sukienka była podarta. Czują, że coś cieknie jej po nodze. Krew? Pewnie tak. Gdzieś po drodze zgubiła buty. Nieważne.

Jej palce dosięgły powierzchni ziemi.

Jeszcze z metr.

Spojrzała w górę i dostrzegła niewyraźne zarysy gałęzi drzew. Między nimi błyszczwały gwiazdy. Chwyciła kępkę trawy i pociągnęła. Kępka oderwała się od ziemi i Lydia zjechała z powrotem do studni, łamiąc nogi z głośnym chrupnięciem.

Graham obudził się gwałtownie.

Leżał na gołym, syfiastym materacu, z kolanami podciągniętymi do piersi, by zachować ciepło. Trząsał się jak głupi; tak mocno, że gdyby mógł się widzieć, pewnie wyglądałoby to śmiesznie.

Skąd mógł wiedzieć, że można zamarznąć na śmierć przy dziesięciu stopniach ciepła? Przecież ludzie mieszkali kiedyś na dworze. Pomyślał o widzianych filmach, na których Indianie zasuwali po śniegu okryci tylko jelenimi skórami. A on, w koszuli i bluzie, szcząkał zębami, tracił czucie w palcach.



Blask słońca wpadł przez zrujnowane ściany, ukazując, czym naprawdę był kościół. Kupą śmieci. Czymś, co las nie tylko zasłonił, ale powoli pożerał, Czymś, co wracało do natury. Czymś zupełnie obcym temu miejscu.

## Rozdział 24

Męski głos zawołał Rachel po imieniu.

Evan, wyrwany ze snu, huknął głową o spód blatu biurka.

- Rachel? - zawołał znów mężczyzna. - Jesteś tu?

Głos był daleki i głuchy, brzmiał, jakby jego właściciel wołał ze szczytu klatki schodowej. Evan wydostał się spod biurka, zebrał koc, wepchnął go do najbliższej szafki i ruszył biegiem.

W przyległym pomieszczeniu otworzył wolną szufladę lodówki i wsunął się do niej nogami do przodu, zostawiając wążutką szparę w ciężkich drzwiczkach.

Leżąc w chłodzonym boksie, słyszał odbijające się echem kroki półbutów na linoleum i cemencie. Ich właściciel podszedł bliżej i przystanął. Klamka za głową Evana poruszyła się. Evan wstrzymał oddech i zamknął oczy. Ale zamiast otworzyć drzwiczki, ten człowiek domknął je szczelnie.

Evan leżał w ciemności, uważnie nasłuchując i starając się kontrolować oddech. Kroki przemieszczały się to tu, to tam, i w końcu ucichły. Evan odczekał dwie minuty i sięgnął za głowę. Pchnął.

Drzwiczki nawet nie drgnęły.

Pchnął jeszcze raz.

Nic.

Od wewnątrz nie było zamka.

Ile miał czasu? Dziesięć? Piętnaście minut?

Rachel skręciła na światłach i ruszyła pod górę, w stronę kostnicy. Załatwiła szybko parę spraw, kupiła nieco produktów spożywczych, zatankowała, przez cały czas starając się unikać ludzi, obawiając się, że tematem rozmowy będzie Evan.

Gdy skręciła w lewo, by pokonać ostatnie wzniesienie przed domem, ujrzała wyblakłego cadillaca ojca znikającego za rogiem.

Ścisnęła mocniej kierownicę. Czy był w kostnicy? Wchodził do środka?

Podjechała na płaskie miejsce parkingowe przed tylnymi drzwiami. Gdy furgonetka zatrzymała się, Rachel wyłączyła silnik, wyskoczyła z pojazdu i pognąła do budynku. Ojciec miał klucz. Nie wpadał zbyt często i prawie zawsze zapowiadał się telefonicznie.

Pobiegła korytarzem prowadzącym do prosektorium. Pchnęła dwuskrzydłowe drzwi, aż stalowy uchwyt walnął z metalicznym dźwiękiem o ścianę, i wpadła do gabinetu. Evana nie zastała pod biurkiem, gdzie spał jak zabity jeszcze dwie godziny temu. Koc też zniknął.

Zawróciła i przeszukała prosektorium i magazyny. Czyżby wyszedł z budynku? Ale przecież był dzień. Nie mógł nigdzie pójść. Na górę. Może poszedł na górę? A może tato go znalazł? Kolejna myśl: czy Evan zadzwonił do jej ojca i sam się zadenuncjował?

Szła już w stronę schodów i windy, kiedy, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, zawahała się. Wróciła do prosektorium i chłodni. Otworzyła szufladę ze zmumifikowanymi szczątkami Richarda Manchesterera. Zamknęła ją i złapała klamkę następnego boks. Zamiast wysunąć ją z łatwością, jak zwykle, musiała użyć siły.

Na blacie leżał Evan, z popielatą skórą, sinymi wargami.

Przycisnęła palce do tętnicy szyjnej.

Brak pulsu.

Boże kochany.

Nie, nie, nie.

Ojciec dopiero co wyszedł. Może Evan nie leżał tu długo.

Reanimacja.

Przez ułamek sekundy nie mogła sobie przypomnieć, jak to się robi. W końcu jednak pamięć zadziałała. Rachel sprawdziła drożność dróg oddechowych. Zaczęła go osłuchiwać. Boże, jej serce łomotało tak głośno... jak mogła cokolwiek usłyszeć?

Patrz, słuchaj, czuj.

Wciąż nie miał tętna, a kiedy przysunęła twarz do jego twarzy, nie poczuła podmuchu powietrza z rozchylonych warg.

Odchyliła jego głowę do tyłu, złapała za nos i wdmuchnęła kilka szybkich oddechów w usta. Zareagował natychmiast. Serce zaskoczyło, spazmatycznie chwycił powietrze.

Wrócił do żywych.

- Jezu.

Pochylona nad nim, położyła drżącą dłoń na jego policzku. Zimny jak marmur.

Ale na jej oczach krew zaczęła krążyć w jego żyłach, siny kolor zniknął z warg. Oczy, kiedy je otworzył, pływały bezładnie. Powoli jednak odzyskały ostrość i w końcu spojrzał na nią przytomnie, z błyskiem świadomości. Mroźna para buchająca z lodówki wiła się wokół nich.

Był martwy - martwy - jeszcze przed chwilą. Nie miał pulsu. Jego serce nie biło.

Może był jedną z tych zjaw, jak Victoria, w którą zmieniła się Chelsea.

Może on wciąż nie żyje.

Przycisnęła palce do jego szyi. Wyczuła puls, tym razem mocny, przyciągnęła wózek i ustawiła go obok szuflady. Zablokowała kółka.

- Przesunę cię, ale musisz mi pomóc. - Normalnie pod ciałem leżałoby prześcieradło i przeciągnęłaby zwłoki z jednego blatu na drugi.

Złapała go za nogę i rękę i policzyła do trzech. Gdy znalazł się już na wózku, wywiozła go z sali: popchnęła przez podwójne drzwi, do windy, mając nadzieję, że nikogo nie spotka.

Na górze, w swoim mieszkaniu na drugim piętrze, zaciągnęła szczelnie rolety i zasłony i pomogła Evanowi przejść do łóżka. Przykryła go grubą, puchową kołdrą. Napełniła termofor ciepłą wodą i wsunęła obok jego lodowatych stóp.

Evan uniósł kubek z herbatą do ust, zaklinając własną dłoń, by przestała się trząść. Czerwona kamionka z choinkami i reniferem zagrzechotała mu o zęby. Poddał się, odstawił kubek i osunął bezsilnie na wygięte, plastikowe oparcie wózka.

Był wczesny wieczór. On i Rachel siedzieli w półmroku przy małym stole kuchennym w jej mieszkaniu na górze. Rachel namówiła go na wyjście z łóżka, podstawiając wózek inwalidzki i obiecując zwiedzanie mieszkania.

Jego przygoda ze śmiercią wytworzyła między nimi posępną, milczącą więź. Rachel uratowała mu życie. Niejeden raz.

- Ładne. - Przeciągnął palcami po czerwonej, laminowanej powierzchni stołu - chłodnej i gładkiej w dotyku. Stół z lat pięćdziesiątych miał blat wykończony szerokim, błyszczącym paskiem metalu. Evanem zatrzęsł dreszcz; zwinął dłoń w pięść i ukrył ją na kolanach.

- Dostałam go razem z kostnicą. - Podciągnęła nogi i objęła kolana rękami. Spod nogawek dzinsów wyglądały zielone skarpetki. Jej czarna bluzka z dekoltem w serek przypominała luźną tunikę. Krótkie włosy były rozczochrane, twarz blada, bez makijażu.

Czy zaskoczyłoby ją to, że uprawiał seks tylko parę razy w życiu? Jego życie erotyczne zamarło z powodu przymusowego wygnania. Po prostu kolejna rzecz, bez której się obywał. No i nie przyciągał raczej kobiet, które chętnie przyprowadziłyby się na obiad do mamusi. Kobiety, które na niego leciały, miały zwykle zamiłowanie do czarnej kredki do oczu, przebieranek i przyjętek z puszczaniem krwi.

Wykonał kolejne podejście do herbaty. Tym razem udało mu się wypić mały łyżeczek. Egzotyczny smak rozplątał się po jego języku, gdy przełykał. Uczucie niemal elektryzującego ciepła rozbiegło się po ciele, aż do koniuszków palców.

- Powinnaś tego spróbować. - Wyciągnął kubek w jej stronę.

- Nieprawdopodobnie ożywcza. Będę musiał się dowiedzieć, skąd pochodzi, żeby sprowadzić więcej.

Rachel wzięła kubek, uniosła do ust, ale oddała z powrotem.

- Nie, dzięki. Odrzuca mnie zapach. Chcesz wyrzucić na dwór? - Wstała z fotela, prostując długie, zgrabne nogi. - Widok z salonu jest niesamowity.

Nie czekając na odpowiedź i zanim zdążył wypić kolejny łyk, wyjęła kubek z jego dłoni i odstawiła na bok. Odblokowała koła, obróciła wózek i popchnęła go przez małą kuchnię do przyległego salonu.

Kolory. Niezwykle żywe.

Pokój jaśniał od głębokich barw. Zieleni. Czerwieni. Błękitów. Małą nocną lampkę przykrywała gruba pomarańczowa chusta, doskonale tłumiąca światło. Drewniana podłoga lekko skrzypiała, gdy Rachel wiozła go przez otwartą przestrzeń, zalaną światłem

księżycą wpadającym przez okna wieżyczki.

Miała rację: widok był niesamowity.

Stary most z rzędami latarni odbijał się od rzeki Wisconsin, gładkiej jak szkło. W dali wznosiły się budynek sądu i wieża zegarowa. Main Street z białymi lampkami na drzewach rosnących wzdłuż jezdnii. Kinoteatr w stylu art deco, z brakującymi literami neonu.

Rachel usiadła obok. Nie widział jej, ale czuł obecność, gdy tak we dwoje rozkoszowali się urodą miasta.

Poczuł słodką senność i melancholię.

To był wstęp. Przedsmak. Próbką prawdziwego życia. To działało się znowu. Nie wiedział, skąd ma tę pewność, ale ją miał. Już wkrótce nic nie będzie wyglądać tak samo.

Nadchodziła zmiana.

Gdy tak patrzył w dół, jego myśli pobiegły innym torem. Zawsze wierzył w stary truizm, że nie ma dymu bez ognia. A jego otaczało cholernie dużo dymu.

- Gubię czas - wyznał. - Spoglądam na zegarek, i jest tuż po północy. Kiedy patrzę znowu, jest parę godzin później. A teraz moje DNA zostało znalezione na miejscu brutalnego morderstwa.

Nie odpowiedziała. Ale przynajmniej nie zaczęła mu wstawiać jakiejś fałszywej gadki, że w niego wierzy, że mu ufa. Była podejrzliwa, i słusznie. On sam był podejrzliwy.

Gdy się w końcu odezwała, padały słowa przemyślane, ostrożne.

- Nie pamiętasz, co się dzieje przez ten czas?

- Nie. Może robię złe rzeczy. Może wyparłem z pamięci morderstwo tej dziewczyny.

- Coś jak Jekyll i Hyde?

- Właśnie.

- Jeśli to prawda, w twoim domu znajdą się dowody.

- Ale tymczasem możesz być w niebezpieczeństwie. Wszyscy w tym mieście mogą być w niebezpieczeństwie.

Wiedział już, jak smakuje więzienie. Jego życie to więzienie. Ale nie wyobrażał sobie, że można by mu odebrać spacery nocą po ulicach. Nie wyobrażał sobie, że nie mógłby spoglądać z urwiska na światła odbijające się w rzece.

Sięgnął do tyłu i nie patrząc, odnalazł jej dłoń. Przyciągnął ją do twarzy, dotknął nią zarostu na swojej szczęce.

- Powinienem się zgłosić na policję, żeby mogli mnie zamknąć. Poczul, że ze sztywniała; odbierał jej szok i zmieszanie. Kusilo go, by przycisnąć usta do wnętrza jej dłoni, ale się powstrzymał.

Jego myśli pobiegły tam, dokąd biegły prawie zawsze, ilekroć puścił je samopas.

Gapił się tępo za okno, tym razem nie widząc budynków. Stał się ojcem tak niedawno, ale czuł, jakby był nim o wiele dłużej. Miesiące, może lata. Wydawało mu się, że on, Evan, od zawsze wiedział o istnieniu Grahama, choć naprawdę tak nie było. Teraz to wydawało się takie oczywiste. Czuł jego obecność w najtajniejszych głębinach duszy, i tylko nie rozumiał, skąd bierze się jego tęsknota. Teraz wiedział. Świadomość, że Graham był od zawsze, przynosiła mu pociechę. Jego syn istniał w przeszłości i będzie istniał w przyszłości.

- Myślisz, że mu będzie dobrze? - Żadnych imion. Nie potrafił się zmusić do wypowiedzenia jego imienia. - Z nią?

Graham będzie żył bez niego.

## Rozdział 25

Isobel wygrzebała z plecaka niedojedzoną kanapkę, rozpakowała ją, pogapiła się na nią przez chwilę i w końcu wyrzuciła do kosza. Już przedtem smakowała paskudnie, a po czterech godzinach wyglądała jeszcze bardziej obrzydliwie. Po co ona w ogóle zostawiła tę resztkę? Teraz cały plecak czuć było cebulą i zieloną papryką. Nawet szafka śmierdziała jak stare delikatesy.

Znalazła sobie zaciszny kąt w wyścielonym wykładziną holu starego kinoteatru w centrum i próbowała uczyć się dialogów, ale jakoś nie mogła się skupić. Siedziała na podłodze, z plecami przy ścianie, z wyciągniętymi, skrzyżowanymi w kostkach nogami w czarnych botkach i żółtych legginsach, i starała się nie myśleć o Grahamie.

Po prostu przestań o nim myśleć.

Ale nie potrafiła. Wciąż odtwarzała w głowie wczorajszą scenę, gdy szedł korytarzem. Kiedy go zawołała, odwrócił się, spojrzal na nią, jakby była przezroczysta, i poszedł dalej.

Lalalala.

I zniknął. Wymeldował się. Opróżnił szafkę. Wyjechał. Wrócił do mamusi i nawet się nie pożegnał.

Bujał się z nią dla zabicia czasu, czekając, aż zacznie się znowu jego prawdziwe życie. Była dla niego kimś, z kim można się włóczyć, wozić tyłek samochodem i gadać o pierdołach, żeby nie siedzieć samemu. Ale najwidoczniej nic dla niego nie znaczyła, chociaż stała przy nim, kiedy wszyscy inni go unikali.

Zamknęła oczy i oparła głowę o ścianę. Do dupy z tym wszystkim.

- Zły dzień?

Uniosła wzrok i jej serce zatrzepotało, jak zawsze, kiedy pan Alba zwracał się do niej. Należał do najfajniejszych nauczycieli i miał smutną, tragiczną przeszłość, przez co był jeszcze bardziej interesujący. Podniosła swój scenariusz Makbeta, otwarty na stronie z podkreślonymi wersami.



- Nie, tylko ciężko mi się skupić.  
- Próba kostiumowa już za dwa dni - przypomniał jej łagodnie.  
- Wiem. Słyszała, że na studiach pojechał na wycieczkę do Meksyku, i autobus, którym podróżowali, spadł z urwiska. Wszyscy zginęli, nawet jego dziewczyna, ale on wyszedł z tego bez jednego zadrapania.

Kucnął przed nią.

- Chcesz o tym pogadać?

Dziewczyny w szkole ciągle próbowały odgadnąć jego wiek. Nie mógł być tak znów wiele starszy od nich. Isobel знаła męża i żonę, których dzieliło dwadzieścia lat, i inną parę, z dziesięcioma latami różnicy. Pan Alba pewnie nie miał jeszcze trzydziestki. Wciąż był na tyle młody, by umieć się modnie ubierać. Fajnie wyglądał w swetrach i ciemnych krawatach, z falującymi włosami prawie do ramion.

- Będę do późna w swoim gabinecie. Wpadaj, kiedy chcesz. Przełknęła ślinę i spróbowała posłać mu uśmiech. „Będę do późna w gabinecie”. Co to miało znaczyć? Tylko to, co powiedział? Nic więcej?

Przebywała w jego gabinecie parę razy, ale zawsze z innymi uczniami. O ile się orientowała, pana Alby nie traktowano jak normalnego nauczyciela. Pracował na pół etatu i płaciła mu grupa rodziców, która podniosła wrzask, kiedy plastyka, muzyka i teatr zostały wycięte ze szkolnego budżetu. Więc biedny pan A. nie miał nawet sali. Uczył w starym kinoteatrze, a za „gabinet” służyła mu kłitka w kącie suterenu, nie większa niż składzik, którym pewnie kiedyś naprawdę była.

Jej serce biło szybciej. Czyżby mu się podobała? Czy ją lubił? Lubił w TYM znaczeniu?

Przestań!

Głupie myślenie. Nic w jego mowie ciała nie świadczyło, że znaczyła dla niego kogoś więcej niż jeszcze jedną uczennicę z problemem. Chciał jej pomóc, by mogła się skupić na przedstawieniu. Nic więcej.

Ale miała siedemnaście lat. Za osiem miesięcy skończy osiemnaście...

Alba wstał.

- Wpadnij po próbie, jeśli będziesz miała ochotę.

- Okej. - Pójść do niego? - Mogę być zajęta. Pewnie będę musiała wracać do domu.

Słabe. Wiedziałyby już teraz, gdyby musiała wracać do domu, a poza tym Holly miała w nosie, kiedy ona przychodziła czy wychodziła. Jej kuzynka żyła w swoim własnym małym świecie; wiecznie wisiała na telefonie albo płakała za gościem, który ją rzucił.

Isobel zawsze przysięgała sobie, że nie będzie rozpaczać po żadnym facecie. Dziewczyna powinna mieć dumę. Ale jeszcze pięć minut temu robiła dokładnie to samo, co Holly przez ostatnie pół roku. Zatracała siebie. Zatracała wszystko, co było dla niej ważne, zanim Graham zjawił się w jej życiu. Porzucenie przez przyjaciółkę czy chłopaka nie jest powodem do autodestrukcji.

Może powinna zapytać tablicę Ouija, co myśli na temat jej rozmowy z panem Albą.

Phillip Alba spojrział na zegar ścienny. Parę minut po dziewiątej. Próba skończyła się godzinę temu. Czekał w swoim gabinecie na Isobel, ale wyglądało na to, że dziewczyna nie przyjdzie. Choć zawsze umiał rozszyfrowywać ludzi, czasem zdarzało mu się mylić.

Spakował teczkę, wrzucając do niej notatki i afisze przedstawienia, zatrzasnął zamek. Jego palce ścisnęły już czarny, skórzany uchwyt, kiedy rozległo się nieśmiałe pukanie i Isobel zajrzała wstydliwie przez szparę w drzwiach.

Usiadł wygodniej, biorąc się pod boki.

- Isobel. - Uśmiechnął się ciepło.

Phillip bardzo uważał, by jego ciało wyrażało tylko zwykłą życzliwość, by nie spłoszyć dziewczyny. Wiedział, że jej się podoba, ale okazywała też nieufność i podejrzliwość.

Kobiety zawsze ciągnęły do niego, nawet kiedy był małym dzieckiem. Podchodziły do niego w sklepach i głaskały go po głowie, gruchając czule. Co je w nim przyciągało? Owszem, był ładny, kędzierzawy, z ciemnymi oczami. Ale gdy podrósł, przekonał się, że nie chodziło tylko o wygląd. Dookoła pętało się mnóstwo ładnych dzieciaków. Miał w sobie coś, czego te inne dzieci nie miały. Gdyby

nazwać to najbardziej oklepanym słowem, trzeba by powiedzieć - charyzma.

Isobel stała w drzwiach, ściskając dłonią futrynę.

- Wejdz - zaprosił.

Pod ścianą ustawiono drewniane krzesło. Skoczył na nogi, przyciągnął krzesło do biurka i gestem poprosił ją, żeby usiadła. Wcielenie dżentelmena.

W co była dziś ubrana? Zawsze zwracał na to uwagę, jeśli chodziło o Isobel. Miała wyczucie stylu. Ona sama zapewne zaprzeczyłaby, że jest tak płytka, ale z pewnością poświęcała swojej garderobie wiele uwagi. Jej kreacje nie wypadały tak po prostu z szafy. I nie sprzedawano ich w lokalnym centrum handlowym. Ona pewnie nie myślała o tym w tych kategoriach, ale ubierając się, nie tylko wyrażała swoją osobowość: była chodzącym dziełem sztuki.

- Ładny sweter - pochwalił.

Jakby nie pamiętając, co dziś włożyła, spojrzała w dół i dotknęła różowego kardiganu obrzeżonego jasnoczerwonymi kwiatkami.

- Kupiłam go w lumpeksie w Jefferson. Mają tam mnóstwo fajnych rzeczy.

Alba usiadł na swoim obrotowym krześle.

- Ja tam kupuję niektóre kostiumy.

Nie manipulował ludźmi. Wkurzyłby się, gdyby ktoś oskarżył go o coś takiego.

Nie, on po prostu stawał się tym, czego ludziom brakowało w życiu. Wypełniał puste miejsce. Słuchał, potrafił świetnie słuchać.

Czy to manipulacja? Nie, chyba że psychiatrzy też manipulowali. On pomagał młodzieży. Zastępował nieobecnych ojców i matki, zajętych pracą. Właśnie to było popieprzone w USA. Wszyscy pracowali. Nikt nie siedział w domu z dziećmi. A wakacje? Cholera! Tacy Szwedzi potrafili brać wolne na miesiąc czy dwa w roku. Amerykanie pracowali. I pracowali. Tak ciężko, że nie potrafili już odpoczywać. Że nie umieli spędzać czasu z własnymi dziećmi.

Phillip był do dyspozycji dzieciaków. Dzieciaków, które inaczej by przepadły. Potrzebowały go. Isobel go potrzebowała. Może i był oportunistą, ale co to za różnica? Który człowiek sukcesu nim nie był?

Nadał swojemu głosowi łagodne, poważne, ciepłe brzmienie.

- Co cię dręczy, kotku? - zapytał, starając się ignorować dolatujący od niej zapach stęchłej cebuli.

Widział, że spodobało jej się to „kotku”.

Isobel usiadła skromnie, ze złączonymi nogami, na drewnianym krześle. Upuściła plecak na podłogę.

- Musi ci być ciężko, kiedy rodzice są na tournée.

- Tak. - Przygarbiła się, wsuwając dłonie między kolana.

- I wiem, że trzymałaś się z tym Grahamem Yatesem. Słyszałem, że wrócił do domu. To dla niego najlepsze miejsce. Przy matce.

- Przepraszam, że wciągnęłam go w budowanie scenografii w ostatniej chwili. To znaczy, to bardzo miłe z pana strony, że dał mi pan zajęcie, ale... - Zaciśnęła usta i pokręciła głową.

- To nie twoja wina. Chciałaś tylko pomóc przyjacielowi. Nigdy się tego nie wstydz.

- Nawet jeśli ten przyjaciel wbił mi nóż w plecy?

- Chcesz o tym porozmawiać?

Nikt już nie potrafił słuchać. Tylu ludzi, dorosłych i dzieci, zwyczajnie potrzebowało kogoś, kto by ich wysłuchał.

- Nie musisz, jeśli nie chcesz. Nie pozwól, żebym wyciągał od ciebie coś, o czym niezręcznie ci mówić.

- No, tak naprawdę nie wbił mi noża w plecy. To przesada.

Phillip wstał z krzesła i usiadł na rogu biurka, tak by być bliżej Isobel, by móc dotknąć jej, gdyby nadarzyła się okazja.

- Wyjechał bez pożegnania. - Uniosła rękę i opuściła ją bezradnie.

- To wszystko. Tylko tyle. Teraz, kiedy wypowiadam to głośno, brzmi tak głupio. To przecież nic wielkiego. Nic, o co mogłabym się złościć.

Phillip pochylił się do przodu, opierając ręce na kolanach.

- To wcale nie jest głupie - powiedział, kręcąc głową. Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

- Broniłam Grahama, kiedy inni nazywali go synem odmieńca.

- Czasami widzimy w ludziach to, co chcemy w nich widzieć, zamiast tego, jacy są naprawdę. Pozwól, że cię zapytam: kiedy spotykałaś się z Grahamem, miałaś uczucie, że jesteście do siebie podobni? Że macie wiele wspólnego?

Potwierdziła.

Boże, ależ była piękna. Te zielone oczy. Nieskazitelna skóra. Czy była dziewicą? Wiedział, że nie miała bliskich przyjaciół i o ile się nie mylił, nigdy nie umawiała się z chłopakiem na poważnie. Takie samotniczki zwykle pozostawały dziewicami dłużej niż imprezujące dziewczyny. Isobel cieszyła się sympatią wśród pozostałych uczniów, ale nie nawiązywała bliższych kontaktów. Trzymała ludzi na dystans, bo miała o sobie chyba trochę zbyt wygórowane mniemanie.

A gdyby zniknęła, pewnie długo nikt by nie zgłosił jej zaginięcia...

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że może tylko stwarzasz go na własne podobieństwo? To znaczy, naginasz go do swoich wyobrażeń, przynajmniej w głowie?

Zmarszczyła brwi, skołowana, a on mówił dalej:

- Kiedy czegoś o kimś nie wiemy, wypełniamy puste miejsca. I zwykle wstawiamy w te luki coś, co znamy z doświadczenia. Kiedy nie znamy wszystkich faktów, mamy tendencję do stwarzania ludzi na własne podobieństwo.

Rozchmurzyła się, gdy zrozumiała, o co mu chodziło. Była bystrą dziewczyną.

- To trochę żenujące - wykrztusiła z zawstydzonym uśmiechem.

- To ludzka natura. Więc osoba, za którą tęsknisz, tak naprawdę nigdy nie istniała. Takie jest moje zdanie. A jak można tęsknić za kimś, kto nigdy nie istniał?

Miał ochotę jej dotknąć, choćby musnąć skórę na jej przedramieniu, ale się powstrzymał.

Isobel podniosła plecak i wstała.

- Dziękuję, panie A. To było genialne. Pan jest genialny. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem.

- Wpadaj na pogaduchy, kiedy chcesz - zachęcił.

- Moje drzwi są zawsze otwarte.

## Rozdział 26

Phillip Alba jechał w ciemnościach do swojego domu osiem kilometrów od Tuoneli. Chmury zasłaniały gwiazdy. Jedynym światłem była pomarańczowa poświata deski rozdzielczej.

W domu rozebrał się do bielizny, starannie powiesił spodnie, koszulę i krawat w szafie w sypialni, po czym ubrał się w stare dżinsy i bawełnianą, roboczą koszulę. Na dole, w kuchni, włożył płócienną roboczą kurtkę, która nie zaczepiała się o krzaki, i zasnurował traperki. W ostatniej chwili zdecydował się, by zabrać tani, wełniany koc. W końcu wsunął do kieszeni zapakowaną kromkę chleba, wziął latarnię i małą latarkę, i wyszedł.

Ciężki łańcuch przy zamkniętej bramie był przewleczony nie tak, jak trzeba - dowód, że pojawili się tu Nieśmiertelni. Ci to się dopiero wczuwali. Ale tak to już jest z dzieciakami. Przesada we wszystkim. Uwielbiali ten teatrzyk. Ale przynajmniej nie nazwali się Brygadami Śmierci Drakuli czy jakoś równie głupio.

Ich gang istniał już, kiedy Phillip wrócił do Tuoneli po wypadku. Ale brakowało im kierunku i celu. On potrafił im to dać.

Wszyscy szukają czegoś, w co można wierzyć, szczególnie dzieciaki w ich wieku. A gdy już się z nim utożsamili, gdy wytworzyła się więź, cała reszta stała się prosta. Jeśli Nieśmiertelni uważali się za rodzinę Mansona, to on, Phillip, był złagodzoną, miłszą i o wiele przystojniejszą wersją Charlesa Mansona. A do tego zdrową na umyśle.

Gdy już się znalazł głęboko w lesie i daleko od domu, zapalił latarnię i schował latarkę do kieszeni kurtki. Unosząc latarnię, szedł dalej w las.

Do katastrofy autokaru Phillip prześlizgiwał się przez życie bez prawdziwego planu czy celu. Wypadek go odmienił. Kazał mu myśleć nad nieśmiertelnością i sposobami oszukania śmierci, zastanawiać się, czy to możliwe.

Zawsze był wyjątkowy. Mówił tak każdy, kto miał z nim kontakt. I

przeżył koszmarną masakrę, w której zginęli wszyscy pozostali. On jeden wyszedł z niej bez szwanku.

Znak?

Przez jakiś czas czuł się tak, jakby nic nie mogło go tknąć. Nawet śmierć. Ale to uczucie zbladło, zastąpił je gryzący niepokój. Nawet kiedy zwyczajnie się przeziębiał, myślał, że to musi być coś poważniejszego. Może gruźlica. Może rak. Każde wyjście do spożywczego wywoływało wizje splątanej masy metalu, jego ciała nadzianego na żelastwo.

Więc musiał znaleźć wyjście. Musiał odkryć sposób na oszukanie śmierci, na zyskanie nieśmiertelności. Nie chciał umierać. Nie mógł sobie pozwolić na śmierć.

Naprawdę był wyjątkowy. Wiedział to od zawsze. I zawsze potrafił zdobyć wszystko, czego pragnął, jeśli tylko pragnął tego odpowiednio mocno. Jeśli ktoś mógł osiągnąć nieśmiertelność, to właśnie on. I jak szczęśliwie się złożyło, że mieszkał w mieście, po którym krążył kiedyś wampir. Błyszczący neon nie byłby bardziej oczywistym znakiem.

To jest dla ciebie.

Nagle znalazł się przy starym kościele. Tak się zamyślił, że prawie nie zauważył, jak pokonał drogę. Niemal jakby przemieścił się siłą woli.

Może tak było.

Gdy precyzyjnie się przez drzwi kościoła, usłyszał cichy okrzyk i szamotaninę. Chłopak, Graham Yates, siedział skulony w kącie, z kolanami podciągniętymi do piersi, z okrągłymi oczami.

- Cześć, Graham - powiedział cicho Phillip.

- Pan Alba? - Graham powoli rozprostował się i stanął na nogi. - Och, ależ się cieszę, że pana widzę!

Przez krótki, straszny moment Phillip myślał, że chłopak go uściska. Cofnął się o krok. Graham chyba tego nie zauważył.

- C - co pan tutaj robi? - zapytał.

Był w fatalnym stanie. W szkole sprawiał wrażenie dość opanowanego, chłodnego i wyniosłego. Teraz wyglądał jak ćpun na głodzie: rozszerzone, pełne strachu źrenice, przyspieszony oddech.

- Mieszkam niedaleko - odparł Phillip. - Ta ziemia należy do

mojej rodziny.

Proszę... - Wyjął kromkę białego chleba.

Graham złapał ją, rozpakował i wepchnął sobie do ust. Miał brudne palce. Na twarzy ślady łez. Trząsł się. Choć w ciągu dnia temperatura sięgała piętnastu stopni, w nocy wciąż mocno spadała.

- Od wczoraj nic nie jadłem i nie piłem - pożalił się, kiedy już przełknął chleb.

Phillip nie chciał dawać mu białka ani niczego, co mogłoby dodać mu sił czy ożywić komórki mózgowe.

Głód, brak snu i izolacja. Trzy najważniejsze czynniki, gdy chciało się kogoś złamać, a ten dzieciak już znajdował się na najlepszej drodze do załamania. Dodać do tego najzwyczajniejszy fizyczny dyskomfort, taki jak brud czy zimno, a potem zlikwidować wszelką zewnętrzną stymulację, jak muzyka, książki i telewizja...

Każdy dzieciak mógłby stracić zmysły.

To się nazywało łamaniem osobowości. U niektórych działo się to dosyć szybko. U innych wymagało więcej czasu.

A kiedy do równania wprowadziło się strach... Większość ludzi przyznałaby, że siedzenie w lesie - w jakimkolwiek lesie - szczególnie bez źródła światła, to przerażające doświadczenie. Ale samotne przebywanie w tym lesie...

Phillip wyjął spod pachy koc i podał chłopakowi.

Graham wziął go drżącymi rękami i otulił ramiona.

Alba musiał uważać, by chłopak nie poczuł się zbyt z maltretowany. Tak z maltretowany, że pójście na policję okazałoby się bardziej pociągające niż pozostanie tutaj.

- Musimy porozmawiać. - Phillip podszedł do ławy i usiadł. Graham poszedł za nim.

- Ma pan jeszcze coś do jedzenia?

- Nie. - Zlekceważył pytanie; nie chciał rozmawiać o jedzeniu. - Posłuchaj, wiem, że ci ciężko, i chciałbym ci pomóc. - Nadał głosowi brzmienie, sugerujące, że ta pomoc niekoniecznie jest możliwa. - Ale musisz zrozumieć, że mogę się wpakować w niezłe kłopoty, pozwalając ci tutaj zostać. Naprawdę nadstawiam karku. Mogę stracić pracę. Mogę nawet zostać aresztowany.

- Chce pan powiedzieć, że mam sobie stąd iść? Mogę pójść. Nie



chcę narobić panu problemów. - Chyba spodobał mu się pomysł wyniesienia się stąd.

- A dokąd byś poszedł? Graham pokręcił głową.

- Nie wiem.

Phillip westchnął ciężko i zacisnął wargi, udając, że rozważa sytuację.

- Powiem ci tak - oświadczył w końcu. - Możesz tu zostać przez parę dni, ale jeśli ktokolwiek przyjdzie cię szukać, musisz się ukryć.

Spraw, żeby chciał zostać. Niech boi się stracić tę odrobinę bezpieczeństwa, jaką ma. Niech mu się wydaje, że to jego wybór.

- Nie możesz nikogo zawiadamiać, że tu jesteś. Rozumiesz? Ja chcę ci pomóc.

Pomogę ci. Coś wymyślimy. Okej? Co ty na to?

- Dziękuję panu. To naprawdę fajnie z pana strony.

- Chcesz o czymś pogadać? Bo ja umiem słuchać. - Kiedy Graham nie odpowiedział, mówił dalej: - O mamie? Chcesz o niej porozmawiać? - Przerwał. - Albo o tacie. Może porozmawiamy o nim? - Bo Evan Stroud był właśnie osobą, o której Phillip tak naprawdę chciał posłuchać.

- Ostatnio dość się już nagadałem. Prawie codziennie musiałem chodzić do szkolnej psychołożki. - Graham trochę się uspokajał. Wyglądał bardziej normalnie.

- Tak, ale ona to robi za pieniądze. Ona musi cię słuchać. Chociaż oczywiście pani Bale jest dobrym fachowcem. Na pewno jest. Ale psychologowie często osiągną punkt przesyty, kiedy muszą się zamknąć na cudze problemy, żeby się nie wypalić. Muszą zachować dystans, więc nigdy nie nawiązują osobistego kontaktu.

- Fakt. - Graham kiwnął głową, ściskając koc pod szyją. - Właśnie tak z nią było. Jakby czytała odpowiedzi z książki.

- Dokładnie.

Graham przekonywał się do niego. Ale jakoś nie kwapił się do osobistych zwierzeń, więc Phillip wstał i ruszył do drzwi. Chłopak poszedł za nim.

Phillip obrócił się gwałtownie.

- Nie możesz iść ze mną. Graham stanął jak wryty.

- Nie mogę tu zostać. Wszędzie, tylko nie w tym budynku, nie w

tym lesie.

- Musisz.

- Nie mogę.

- Nie masz wyboru.

- A u pana w domu? Mówił pan, że mieszka niedaleko. Nie mógłbym pomieszkać u pana?

Phillip posłał mu długie spojrzenie.

- Już i tak ryzykuję wszystko, pozwalając ci zostać tutaj. Graham wycofał się.

- Okej.

- Jeszcze tylko dzień albo dwa - zapewnił go Phillip.

- Dopóki czegoś nie wymyślimy.

- Potrzebuję jedzenia. I wody. Strasznie chce mi się pić.

- Zobaczą, co się da zrobić.

- A światło? Może mi pan zostawić światło?

- A jak wrócę?

- Potrzebuję światła. Pan nie wie, jak tu jest po ciemku. Słyszę różne rzeczy.

- To tylko myszy. Szopy. Nie zrobią ci krzywdy.

- Nie, jakiś czas temu słyszałem głos. Kobiety. Dobiegał z bardzo daleka. Jak by spod ziemi.

Phillip podszedł bliżej i położył dłoń na ramieniu Grahama, by go uspokoić i szczerze spojrzeć mu w oczy. Chłopak był na granicy wytrzymałości.

- Co mówiły te głosy?

Teraz, kiedy Graham przyznał się już do strachu, jego oczy napełniły się łzami.

Musiał przygryźć wargę, by nie zacząć szlochać.

- Nie głosy. Głos. Jeden głos.

- Pokręcił głową.

- Jakby zawodzenie. Kogoś, kto potrzebuje pomocy.

- Słyszałeś kiedyś kojoty? Ich wycie brzmi jak ludzki płacz. A teraz, wiosną, mają szczenięta, i te szczenięta potrafią narobić mnóstwo hałasu.

- Kojoty? Myśli pan...?

Phillip uniósł latarnię, by lepiej przyjrzeć się twarzy Grahama.

Chłopak był półprzytomny ze strachu. Teraz Phillip przygryzł wargę, by powstrzymać uśmiech.

- No nie wiem... - Kąciki ust Grahama wygięły się w dół. Już było po nim.

Nie uśmiechaj się. Nie wybuchnij śmiechem.

- To pewnie przez to wszystko, co się stało, ale ten głos... - powiedział Graham, chwytając drżący oddech.

- To brzmiało jak głos kobiety. Jak głos mojej matki.

## Rozdział 27

Słońce właśnie wschodziło, gdy Seymour Burton skręcił radiowozem na parking przy autostradzie 21. Dostał informację, że znaleziono tu porzucony samochód zarejestrowany na nazwisko Lydii Yates. Teren nie należał do jego departamentu, ale komendanta osobiście interesowała ta sprawa.

Na miejscu czekali już stanowy patrol i dwóch funkcjonariuszy okręgowej policji. Seymour wypił łyk kawy z termosu z uchem, odstawił go na deskę, wysiadł z samochodu i ruszył w stronę tłumku ludzi.

Jeden ze stanowych policjantów oderwał się od grupy i zmierzał w jego stronę.

- Zgłosiły to sprzątaczkі - przekazał Seymourowi. - Zobaczyły samochód wczoraj, ale nie przyszło im do głowy nic złego. Podróżni zjeżdżają tu z drogi, żeby się przespać. Ale dziś rano samochód wciąż stał w tym samym miejscu.

- A to znaczy, że stoi tutaj - Seymour szybko policzył w głowie - dwadzieścia cztery do trzydziestu sześciu godzin.

- Żadnych śladów walki czy kradzieży.

- Może się zepsuł i złapali okazję.

- Ja też na początku tak pomyślałem, ale zostało zbyt wiele osobistych rzeczy.

Seymour okrążył auto, zaglądając przez okna i uważając, by niczego nie dotykać. Zobaczył wielki plecak Grahama na tylnym siedzeniu, mniejszy na przednim. Obok leżał discman.

Ogarnęło go przerażenie. Dzieciaki nie ruszały się nigdzie bez swojej muzyki.

Pomyślał o zdjęciach, odkrytych właśnie w komputerze skonfiskowanym pedofilowi - chyba z pięćdziesiąt cyfrowych fotek Grahama. Na dużym zdjęciu z szuflady z całościowym ujęciem en face nie widać było czegoś, co skrzętnie ukrywał. Blizn. Starych i świeżych, pokrywających siecią jego ramiona i plecy. Gdyby o tym

wiedzieli, może udałoby się go zatrzymać.

Dlaczego im nie powiedział?

Wstydził się. Seymour widywał to już wcześniej. Ofiary często czuły wstyd.

Podszedł do nich młody policjant okręgowy.

- Porwanie przez kosmitów - zażartował. - Nie ma innego wytłumaczenia.

Funkcjonariusz ze stanowej drogówki zrobił zirytowaną minę, ale praktycznie zgodził się z tamtym.

- Wygląda, jakby pasażerowie rozplłynęli się w powietrzu.

- W żadnym powietrzu - odparł Seymour. - Macie tu po prostu stare miejsce przestępstwa.

Śledczy ze stanowej ekipy kryminalistycznej szperali w trawie dookoła, ale bez rezultatu.

- Co zrobicie z samochodem? - zapytał Seymour.

- Wyślemy go do laboratorium kryminalistycznego - odparł policjant z patrolu. - Zaraz powinna się zjawić ciężarówka, żeby go załadować.

- Ktoś czegoś dotykał? Wiem, że padało, ale jest jakaś szansa na zdjęcie odcisków palców?

- Być może. Ale muszę panu powiedzieć, że okręgowi przegrzebali już samochód, szukając jakichś dokumentów.

Seymour westchnął.

- Tak też myślałem. Pozwolicie, że się rozejrzę?

- Do woli.

Toaletę ogrodzono taśmą, ale raczej tylko dla pozorów, by wyglądało, że ktoś bada miejsce zdarzenia. Przeszły tędy całe tabuny ludzi od czasu zniknięcia pasażerów auta, a budynek był sprzątnięty ze dwa razy.

Zajrzał do damskiej toalety, potem do męskiej. Na dworze stała ciemnowłosa kobieta w średnim wieku, ubrana w szary uniform. Oparta o ścianę, paliła papierosa.

- To pani zgłosiła? - zapytał Seymour.

- Powinna zauważyć wcześniej - odrzekła. - Ale tu bez przerwy stoją jakieś auta. Bo przecież od tego jest parking. Żeby ludzie mogli stanąć i się przespać.

- To zupełnie zrozumiałe - potwierdził Seymour.

Świadkowie często czuli się winni, kiedy nie potrafili dostarczyć użytecznych informacji. Dlatego czasem podświadomie „przypominali sobie” wydarzenia, które nigdy nie miały miejsca. Tak bardzo chcieli pomóc.

- Zauważyła pani coś niezwykłego? Coś nietypowego w samej toalecie, kiedy pani sprzątała?

- Ja tu widzę dużo dziwnego. Wie pan, ludzie to świnie. Robią rzeczy, których nigdy by nie zrobili we własnym domu. Żeby sprzątać takie miejsca, trzeba mieć mocny żołądek. Wpychają różne cuda do muszli.

Załatwiają się do umywalki. Rzucają o ściany zużytymi tamponami. Krew to nic niezwykłego. Szczególnie w damskiej toalecie, chociaż widywałam i w męskiej.

- A widziała pani krew wczoraj rano?

- Tak.

- Gdzie?

- Na podłodze. Koło umywalek.

- I posprzątała ją pani? Nagle zrobiła taką minę, jakby miała się rozpłakać.

- Spokojnie. Nie zrobiła pani niczego złego.

- Zmyłam podłogę mopem. Kiedy gdzieś sprzątam, robię to, jak należy. Żadne tam po łebkach. Wyszorowałam kafle przemysłowym proszkiem, którego używamy. Zabije każde świństwo. Zrobiłam to dwa razy, dla pewności, że zmyłam wszystko.

- A kosze na śmieci? - dociekał. - Jak często je opróżniacie? Również te przy drodze.

- Dwa razy na dzień.

- Zostawiacie czasem worki, jeśli nie są pełne?

- Nigdy. Tak mamy w umowie. Nieważne, ile jest śmieci.

- Dziękuję.

Seymour zostawił kobietę i odszukał policjanta odpowiedzialnego za zabezpieczenie miejsca.

- Może dobrze by było spróbować luminolu i ultrafioletu w damskiej toalecie - podsunął, wyjaśniając, co usłyszał o możliwych plamach krwi.

- Zajmiemy się tym.

Może się zajmą, a może nie, pomyślał Seymour, odchodząc. Niektórzy gliniarze nie lubili, kiedy inni gliniarze wtrącali swoje trzy grosze.

Rozejrzał się po terenie. Przeszedł w tę i z powrotem wzdłuż pasów autostrady, zajrzał do koszy na śmieci. Widział, że policjanci obecni na miejscu uważali go za jakiegoś starego piernika, wtykającego nos w nie swoje sprawy. Nie przeszkadzało mu to.

Kiedy skończył się rozglądać, wszedł do samochodu, ale nie odjechał.

Musiał zawiadomić Rachel o tym, co się stało. Wiedział, że się zdenerwuje. Graham prawdopodobnie nie żył. Lydia prawdopodobnie nie żyła. Zwykle to się właśnie okazywało w takich sprawach. Na parkingach polowali psychopaci. Rachel na pewno się nie ucieszy z tych wieści. Nigdy tego nie mówiła, ale lubiła dzieciaka. Wszyscy lubili dzieciaka.

No i jeszcze Evan Stroud.

Cholera.

Seymour i Rachel zawsze mieli bliski kontakt, a on nigdy nie należał do ojców, którzy trzymają dziecko na krótkiej smyczy. Nie uznawał takich metod. Dzieci powinny się uczyć myśleć samodzielnie, a nawet kwestionować autorytety.

Ale źle zrobił, mówiąc jej o Evanie i nakazie aresztowania.

Wyjął komórkę, pogapił się na nią przez chwilę i w końcu zmusił się, by zadzwonić. Kiedy odebrała, zamknął oczy i wziął głęboki wdech.

Rachel powoli odłożyła słuchawkę, przerażona tym, co będzie musiała zrobić.

Z głębi korytarza usłyszała, jak Evan zakręca prysznic. Pokazał się pięć minut później, ubrany i gładko ogolony. Włożył z powrotem te same rzeczy - dżinsy, czarny T-shirt i wypuszczoną szarą koszulę - wszystko potwornie pogniecione.

- Jakieś złe wieści?

- Coś się stało. - Ale on to już wiedział. Skąd, nie miała pojęcia. - Chodzi o Grahama.

Lata pracy w zawodzie koronera nauczyły ją, że najlepiej

powiedzieć to, co jest do powiedzenia, jasno i zwięźle, przekazując w pierwszym zdaniu tyle informacji, ile się da, bo gdy ucho usłyszy złe nowiny, mózg się zamyka.

- Nie stój tutaj.

Rolety i zasłony były zaciągnięte, ale słońce wsączało się przez szpary. Położywszy mu ręce na ramionach, popchnęła go tyłem z powrotem w głąb korytarza, w miejsce bez okien. Za nim, na ścianie, wisiało sporo fotografii. Jej matki, ojca. Na jednym zdjęciu uchwycono nawet obie rodziny na wycieczce pod namioty.

- Graham zaginął - wyjawiała mu. - Samochód Lydii został znaleziony na parkingu przy autostradzie, na północny zachód od miasta.

Zareagował w znany jej sposób. Najpierw przyszedł szok. Fizyczna reakcja, niemal jakby ciało przyjęło cios. Potem nastąpiło zamknięcie. U Evana trwało ono ledwie kilka sekund, nim zdołał się opanować i znów zaczął myśleć. Obserwowała go, jak bierze się w garść, patrzyła, jak jego umysł ożywa, szukając informacji.

- Jakies ślady przestępstwa?

- Nic oczywistego, ale ojciec rozmawiał ze sprzątaczką, która to zgłosiła. Szorowała podłogę z czegoś, co wyglądało na krew. W damskiej toalecie.

- A w męskiej?

Do której poszedłby Graham.

- Nic. To mogło być przypadkowe porwanie - ciągnęła. - Przypadkowe ofiary często są atakowane właśnie na takich parkingach.

Nie powiedziała mu - licząc na jego niewiedzę - że tego rodzaju ataki były najtrudniejsze do wytropienia, bo brakowało powiązań towarzyskich czy rodzinnych, które mogłyby doprowadzić do sprawcy.

- Ale nie mogą mieć pewności, że to było porwanie - stwierdził.

- To najbardziej prawdopodobny scenariusz.

- Ogłosili Bursztynowy Alarm?

- To robią tylko wtedy, kiedy mają trop. Jeśli wiedzą, jakim samochodem jeździł porywacz. Ale zaangażowali portal internetowy Zaginione Dzieci. Wykadrowali... - Zająknęła się, ale mówiła dalej: -



Wykadrowali najnowsze zdjęcie Grahama i drukują ulotki.

- Pierwsze dwadzieścia cztery godziny są najważniejsze - zauważył Evan. - Zawsze się to słyszy. Minęło już więcej niż dwadzieścia cztery godziny.

- Tak. - To prawda. Rzadko widywała pozytywne rozwiązanie sprawy po czasie dłuższym niż czterdzieści osiem godzin.

Evan odwrócił się do ściany. Próbował nad sobą zapanować.

- To trochę dziwne, że oboje zaginęli, nie sądzisz? - Zapatrzył się na zdjęcie Rachel i jej ojca, zrobione nad jeziorem Tuonela. Była malutka. Trzymała wędkę, a jej tato zakładał przynętę. - Gdyby chcieli porwać nastolatka - ciągnął - wzięliby tylko jego. Nie porywaliby Lydii.

- Widywałam przypadki porwań, kiedy porywano również świadków. - Rachel pominęła informację, że świadków tych niemal zawsze zabijano.

- A jak to wyglądało z Chelsea Gerber? - Evan odsunął twarz od zdjęcia i odwrócił się do Rachel. - Po jakim czasie znaleziono ciało?

Był badaczem. To nie to samo, co śledczy, ale ich umysły pracowały podobnie. Zadawali istotne pytania. Szukali powiązań.

- Gerber została zabita prawie natychmiast - odparła Rachel. Na pewno żaden ojciec nie chciałby tego usłyszeć. Nikt nie chciałby tego usłyszeć.

- Kto prowadzi sprawę?

- Wydział Dochodzeń Kryminalnych.

- Ci sami, którzy zajmują się sprawą Gerber. - Oboje wiedzieli, jak mizerne postępy robił WDK. - Nie mogę się teraz zgłosić na policję. Muszę znaleźć Grahama.

- Znaleźć Grahama? Jak, na Boga?

- Byłabyś zdumiona, co potrafię zdziałać w nocy - odparł.

- Kiedy wszyscy inni śpią.

## Rozdział 28

Graham obudził się gwałtownie, z łomoczącym sercem.

Nie śpij. Nie możesz zasypiać.

Jako ostatnie pamiętał to, że siedział na materacu, oparły plecami o ścianę, z szeroko otwartymi oczami, starając się wychwycić każdy ruch, każdy dźwięk. Teraz leżał.

Podniósł się.

Ciągle ciemno. Ciągle noc.

Noc trwała wieczność. Nie myśli się o tym, kiedy się ją przesypia. Człowiek kładzie się spać, potem się budzi, i tyle. Ale ta noc ciągnęła się i ciągnęła, i ciągnęła.

Pogubił się już, jak długo tu jest. Dwie noce? Trzy? Wydawało mu się, że trzy. Prawie bez jedzenia. Bez wody. Bez snu. Z odmrożonym tyłkiem.

A dlaczego właściwie tu siedzi? Nie pamiętał już nawet, czemu to było takie ważne.

Żeby uciec od matki. Tak, wiedział przecież. Ale wolałby codziennie dostawać manto niż siedzieć tu choć chwilę dłużej.

Alba zapewnił go, że wszystko jakoś urządzi, że coś wymyśli. Na przykład znajdzie Grahamowi przyzwoitą kryjówkę. Może jakieś miejsce, w którym mógłby zostać pod zmienionym nazwiskiem. Był prawie dorosły. Mógł to zrobić. Potrafił sam o siebie zadbać.

Ale Alba nie przyszedł.

A to miejsce było popieprzone.

Tylko tyle wiedział na pewno.

Coś małego przemknęło obok i Graham wyobraził sobie mysie pazurki na podłodze. Miał halucynacje. Wczoraj poszedł kawałek w las i zdawało mu się, że widzi ludzi chodzących po cmentarzu koło kościoła. Szybko schował się za pień drzewa, ale kiedy spojrzął ponownie, nikogo nie zobaczył.

I mieli dziwne ubrania? Starodawne ciuchy?

Mężczyzna w czarnym fraku z ogonem; kobieta w długiej, czarnej

sukni. I zaraz, czy ktoś płakał? Tak. Czy w tej chwili też ktoś płacze? Zaczął uważnie nasłuchiwać. No właśnie. Ten wysoki, zawodzący lament. To szlochanie. Kobieta. Kobieta, o której mówił Albie. Kojocica. Próbował sobie wyobrazić to słowo. Jak to się pisze? Nie pamiętał. Nie mógł myśleć. Już od dawna nie potrafił jasno myśleć.

- Pomocy!

Ten głos nie pochodził z jego głowy, ale skądś z zewnątrz. Grahama przeszył dreszcz, włosy stanęły mu dęba. Czy naprawdę to słyszał, czy tylko śnił na jawie? Ludziom się to zdarzało. Słyszał o tym. Jeśli człowiek zbyt długo nie spał, zaczynał śnić na jawie.

- Pomocy!

Wydał z siebie przerażony szloch, ale natychmiast zakrył usta ręką.

Boże kochany.

Pozbierał się z materaca. Z wyciągniętymi rękami ruszył przed siebie w ciemność, niezgrabnie, wysoko podnosząc nogi i usiłując sobie przypomnieć rozkład dziur w podłodze.

Dotarł do drzwi i zatrzymał się. Serce mu waliło.

Ona była tam, na zewnątrz. Płacząca kojocica.

Nie wychodź. Zostań tutaj, gdzie jesteś bezpieczny.

Bezpieczny?

Wariował tutaj. Powoli umierał z głodu.

Przecisnął się przez wąską szczelinę. Gdy tylko jego stopy dotknęły miękkiej ziemi, zaczął biec. Z prawej była furтка. Tyle pamiętał. Ruszył na prawo, koło cmentarza, i dalej dróżką.

Oczy miał otwarte tak szeroko, że niewiele brakowało, by wypadły. Jego nogi przedzierały się przez splątane pnącza, buty łamały suche gałązki. Widział jakieś kształty, ciemne, nisko przy ziemi. Czarniejsze niż ciemność.

Krzaki? Czy przykucnięci ludzie w płaszczach?

Jego ramiona i nogi chodziły jak maszyny; klatka pracowała jak miech, płuca paliły. Zahaczył o coś stopą i poleciał naprzód. Gruchnął o ziemię, tracąc oddech.

- Pomocy!

Była bliżej. Szła za nim. Cholera. Cholera jasna. Pozbierał się z ziemi. Nagle dostrzegł w oddali światło, znikające i pojawiające się

między pniami drzew. Pognał ku temu światłu, z obolałymi płucami, na drżących nogach.

Dom Alby. To musi być dom Alby.

Nie odrywał oczu od światła.

Upadł. Podniósł się. Znow upadł. I znow się podniósł. Nie ustawaj. Nie oglądaj się. Po prostu biegnij. Biegnij, ile sił.

Dotarł do bramy.

Zamknięta.

Wdrapał się na siatkę, przerzucił nad nią obie nogi i zeskoczył na drugą stronę. Usłyszał dźwięk - jakby zwalnianej sprężyny - a zaraz po nim głośny, metaliczny trzask.

Wściekły, rozdzierający ból przeszył jego kostkę.

Biegnij. Nie ustawaj.

Jego oczy znow skupiły się na świetle, w którym rozpoznał teraz kuchenne okno. Rzucił się w tę stronę. Coś gwałtownie wyszarpnęło spod niego nogę.

Wrzasnął.

Miała go. Kojocica złapała go za nogę i ciągnęła do tyłu. Wrzasnął znow i wbił palce w ziemię, próbując się wyrwać, wierzgając, by się uwolnić.

Brzęk.

Jakby dzwonienie ciężkiego łańcucha.

Ból w kostce stawał się nieznośny. Gorszy niż wszystko, co czuł do tej pory w życiu.

Zwinął się, sięgnął do jej rąk - jej szponów - i dotknął zimnego metalu. Na jego kostce było zaciśnięte coś metalowego. Coś metalowego ze spiczastymi zębami.

Sidla. Takie, jakich używali myśliwi. Przyczepione do łańcucha, a łańcuch do ogrodzenia.

Wnętrze jego buta zrobiło się śliskie i ciepłe. Dopiero po chwili zrozumiał, że wypełnia się krwią.

- Alba! - wrzasnął. - Alba! - I w końcu: - Pomocy!

Szamocząc się, próbował rozgiąć zatrzaśnięte zęby sideł. Zakręciło mu się w głowie i zemdlął.

Kiedy się ocknął, leżał na plecach; ból w nodze był tak piekielny, że mięśnie skurczyły się w twarde węzły. Zagryzał zęby tak mocno,

że omal nie połamał sobie szczęki.

W oddali rozbłysło światło.

Dom. Lampa na werandzie. Latarka.

Dzięki ci, Jezu.

Ktoś go usłyszał. Ktoś tu szedł.

Widział światełko wędrujące w jego stronę, podskakujące, coraz jaśniejsze i bliższe. Chciał iść do domu. Nawet gdyby to oznaczało powrót do mamy. Chciał łóżka. Pysznica. Jedzenia. Snu. Nie chciał umierać. Na pewno nie w ten sposób.

- Kto tu jest? - zapytał groźnie człowiek z latarką. Chyba Alba.

- Tutaj! Jestem tutaj! - krzyknął Graham łamiącym się głosem. Mężczyzna z latarką zbliżał się, aż Graham zobaczył, że to rzeczywiście Alba.

- O Boże - wyszlochał. - Ależ się cieszę, że pana widzę. Moja noga! Złapałem się w pułapkę. Krwawię jak świnia!

Zabawne, że jeszcze niedawno próbował się zabić i nie bał się ani przez sekundę. Ale to było co innego. Pułapka. Pułapka na zwierzę. Kiedy Alba nie zaczął się spieszyć, Graham zniecierpliwiał się.

- Szybko! Musi mnie pan stąd zabrać. Musi mnie pan z tego wydostać!

Kto mógł ją tu zastawić? Kto zastawił coś takiego tutaj, na otwartej przestrzeni?

Tuż przy bramie, gdzie każdy mógł w to wejść?

Już sobie wyobrażał, jak jedzie do szpitala i musi się wypowiadać ze swojej ucieczki. Nie lubił szpitali, ale nie szkodzi. To lepsze niż stracić tę cholerną stopę.

Co ten Alba wyprawia? Stoi jak kołek i patrzy na niego.

- Pomóż mi! - wrzasnął Graham. - Zdejmij to ze mnie! Zaczynał świrować. A Alba wciąż nie podchodził ani o krok. W końcu się odezwał:

- Ja zastawiłem tę pułapkę.

- C-co?

- Nie jestem zbyt silny i trudno ją było otworzyć.

- Czy pan zwariował? Gdzie pan miał głowę? Każdy mógł w to wdepnąć. Ja w to wdepnąłem. Co pan chciał złapać?

- Miałeś siedzieć w kościele - powiedział Alba. - Ale bałem się, że

możesz mieć tego dość. Bałem się, że postanowisz sobie pójść.

Graham gapił się w oślepiające światło. Nie mógł zobaczyć twarzy mężczyzny, ale Alba widział jego twarz, musiał dostrzegać uczucie mdlącego przerażenia, które Graham czuł, choć jego umysł wciąż zaprzeczał temu, co właśnie usłyszał.

- Wczoraj złapałem zdziczałego kota - oznajmił Alba. -  
Poprzedniej nocy szopa. Ale pułapkę zastawiłem na ciebie.

## Rozdział 29

I o jest jakiś kompletnie popieprzony sen, stwierdził Graham. Jeden z tych, które wydają się bardziej rzeczywiste niż prawdziwe życie. Taki, w którym naprawdę czuje się ból. Straszny ból. W tym śnie biegł i wsadził nogę w pułapkę. Teraz stopa i kostka rwały jak diabli; czuł w nich głęboki, pulsujący ból.

Obudź się. Obudź się, to ból minie. Obudź się, a wtedy koszmar się skończy. Powtarzał sobie ten rozkaz, aż w końcu się obudził. A przynajmniej tak mu się wydawało, ale okazało się, że to jeden z tych podstępnych snów. Jeden z tych snów, w których wydaje się, że już nie śpisz, ale tak naprawdę jesteś w kolejnej fazie snu. Stopa i kostka wciąż bolały, więc jednak nadal spał. Otwórz oczy. Może to zadziała - po prostu otwórz oczy.

Otworzył.

Połamane belki nad głową, brudny materac pod nim.

Kościół u Alby.

Nie majak w domu.

Ale coś było nie tak. Bardzo, bardzo nie tak.

Skrepowano go jakimś ustrojstwem w stylu Houdiniego. Jego ciało kilkakrotnie omotywał łańcuch, ale ręce miał wolne. Ciężkie ogniwa wiły się aż do nogi pobliskiej ławy kościelnej, przymocowanej do podłogi.

Travis wyskoczył gdzieś z tylnej części budynku.

- Hej, stary, zaczynałem już myśleć, że się nigdy nie obudzisz. Koszmar był rzeczywistością; ból w nodze przybrał na sile, teraz gdy Graham już nie spał.

- Rozkuj mnie - z jego gardła wydobyło się ochryple krakanie. Próbował usiąść, ale nie mógł. Nawet najmniejszy ruch potęgował ból milion razy. Czarne plamy zatańczyły mu przed oczami.

- Wkurzyłeś go - rzucił Travis tonem stanowczo zbyt lekkim jak na sytuację, aż Graham zaczął się zastanawiać, czy to nie jest przypadkiem dalszy ciąg snu. - Nie wolno ci go wkurzać.

- Kogo? O kim ty mówisz?

- O Albie.

Graham zamknął oczy i pozwolił głowie opaść na materac. Próbował uspokoić oddech, myśląc, że może ból wtedy zelżeje. Nie podziałało. Jeśli ból sięgał dziesięciu punktów i opadł do dziewięciu... to żadna poprawa.

- Rozkuj mnie - wychrypiał dramatycznie, co pewnie byłoby zenujące jak cholera, gdyby Graham nie miał tego w dupie.

- Sorki, stary. Nie mogę.

Mózg Grahama funkcjonował marnie, ale nie tak źle, by nie potrafił wykombinować, co się stało.

- Porwaliście mnie.

- Nie. Nie, koleś.

- Właśnie że tak. I teraz jestem więźniem. Zgadza się?

- Nie! Nie byłeś więźniem! Do tej pory nie. Dopóki go nie wkurzyłeś.

- Chcesz powiedzieć, dopóki nie zamierzałem uciec? Ogarnął go gniew; na chwilę zapomniał o bólu.

- No już! - Spróbował rozerwać bezlitosną stal. - Rozkuj mnie, dupku! Nie rozumiesz, jakie to durne? Jakie beznadziejnie głupie?

- Kazał mi cię pilnować i sprawdzić, czy się obudzisz. Zdaje się, że straciłeś dużo krwi. Ale muszę stąd iść, zanim się ściemni. Nie mogę tu zostać po ciemku.

- Dlaczego to robisz? Co ty z tego masz? Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. - To kompletna bzdura, ale wydawała się niezłą taktyką. A poza tym Graham lubił Tralisa trochę bardziej niż jego kumpli.

- Staniemy się nieśmiertelni - odparł Travis. Graham zawsze wiedział, że Travis jest głupi, ale nie domyślał się, jak bardzo.

- Czego Alba chce ode mnie? Nie kumam tego.

- Powiedział, że jesteś przynętą. Chcą okupu? To go zdziwiło.

Jego mama nie miała pieniędzy, ale może Stroud miał. Ile zarabiają pisarze?

Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Ci sławni pewnie robili niezłą kasę, ale nie sądził, by Stroud był sławny. Nigdy nie trafił na nikogo, kto by o nim słyszał. Ale też nie zadawał się z ludźmi, którzy



czytali książki.

Travis wyjął komórkę, wcisnął kciukiem parę guzików i uniósł telefon do ucha.

- Ta, obudził się. - Przerwa. - Chyba się dobrze czuje. - Zwrócił się do Graha

ma. - Dobrze się czujesz, nie?

Co jest, do diabła?

- Masz. - Travis kucnął i przyłożył komórkę do ucha Grahama. - On chce z tobą porozmawiać.

- Przykro mi, że nie mogę wpaść - dobiegł głos Alby z małego aparatu - ale dzisiaj mamy próbę kostiumową.

Graham poczuł mdłości.

Przez ostatnie dni jego świat zrobił się niewiarygodnie mały. Prawie zapomniał o sztuce. O Isobel.

Alba chodził po mieście i zgrywał fajnego pana od teatru, chociaż nie powinno się go dopuszczać w pobliże dzieciaków.

- Jak się czujesz? - zapytał Alba.

Graham zawsze uważał, że ma pewne doświadczenie z wariatami - w końcu żył z chorą umysłowo kobietą, której czasami nawet nie uważał za człowieka, w której widział tylko Macicę - ale Alba wynosił obłąd na zupełnie nowy poziom. Ta spokojna normalność jego obłądzenia to było za wiele.

- Ty pokręcony sukinsynu! - wybuchnął. Chciał powiedzieć coś więcej, ale wściekłość i frustracja eksplodowały w jego głowie, ogłupiły go, pomieszały myśli. Nagle zaczął się zastanawiać, kto tak naprawdę jest tu chory umysłowo.

- Przykro mi, Graham - odparł Alba. - Wydawałeś się takim miłym chłopcem.

Graham zaszlochał głośno, na wpół świadom obecności Trávisa, kucającego nad nim i trzymającego telefon w wyciągniętej ręce.

- Noga mi, kurwa, odpada, a ty krytykujesz moją osobowość? Stracę stopę!

- Muszę kończyć - rzucił Alba swobodnym, niezmiennym tonem.

- Ktoś przyszedł. Cześć, Isobel. Nie, wejdź, wejdź. Właśnie kończę. - Znow zwrócił się do Grahama: - Pogadamy później, stary.

- Zapewne uważał, że to taka fajna, młodzieżowa gadka.

Ale to najwyraźniej działało. Wszyscy się na to nabierali. Travis zamknął telefon i schował do kieszeni. Wstał.

- Robi się ciemno. Muszę lecieć. Potrzeba ci czegoś?

- A jak myślisz?

- Sorki - odparł Travis. - Naprawdę mi przykro. - Rozejrzał się, podniósł koc i zarzucił go na Grahama. - Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

- Mogę umrzeć - rzekł Graham. - Przyszło ci to do głowy?

- Nie umrzesz. Ale Graham widział, że ta myśl go zaniepokoiła.

- Prawdopodobnie już umieram.

- Musisz tylko odpocząć, i tyle.

- Jakies zardzewiałe żelastwo prawie odcięło mi stopę. - Nie wiedział, czy zardzewiałe, czy nie, ale tak lepiej brzmiało. - Potrzebuję zastrzyku przeciwțęcowego. I pewnie antybiotyków, inaczej dostanę gangreny. Stopa mi zgnije, dostanę zakażenia krwi i umrę.

Nie chciał jej oglądać. Nie chciał widzieć, co mu się w nią stało, ale zmusił się, by rosznurować but.

- Ściągnij mi to - zażądał, wyciągając nogę. Travis pokręcił głową i cofnął się o dwa kroki.

- No już. Nie bądź cykorem.

Tacy jak Travis nie lubili, kiedy ktoś wyzywał ich od cykorów. Podszedł i złapał but obiema rękami.

- Ostrożnie - ostrzegł Graham.

- A jeśli cała stopa odpadnie razem z butem?

- Nie truj. Ciągnij. Travis pociągnął powoli. Górna warga Grahama pokryła się kropelkami potu. Po sekundzie całe ciało miał mokre; ból kazał mu ścisnąć nogę obiema dłońmi i zagryźć zęby tak mocno, że o mało ich nie połamał.

- O kurde - zawołał Travis, gdy but zsunął się ze stopy. Skarpetka, która kiedyś była biała, teraz stała się bordowa.

- Zdejmij skarpetkę.

Travis ściągnął skarpetę palcem wskazującym i kciukiem i rzucił ją na podłogę.

- Paskudnie to wygląda, stary. Chyba widzę kość.

- Pochylił się bliżej. - Dwie kości.

- Spojrzał na Grahama, który ciężko, szybko dyszał przez usta, wciąż ściskając nogę.

- Niesamowite - dodał Travis.

- Znaczy, w pale się nie mieści, że nie wrzeszczysz.

- Okej, więc teraz rozumiesz, dlaczego musisz mnie wypuścić? Zabrać do szpitala? Po prostu podrzucić mnie pod izbę przyjęć. Nikomu nic nie powiem. Przysięgam.

Travis oderwał wzrok od stopy, którą wciąż podtrzymywał, spojrzał w stronę drzwi i z powrotem na nogę.

- Nie mogę. - Puścił stopę Grahama i zaczął się cofać. - Ty wiesz, jakie bym miał kłopoty, gdybym to zrobił? Stary. - Pokręcił głową. - Miałbym przesrane.

Miałbym przesrane jak stąd do Chin.

Graham położył nogę na syfiastym materacu i podparł się na łokciach, próbując się skupić mimo zamroczenia wywołanego bólem.

- Pomyśl, co robisz. - Ale wiedział, że to stracona sprawa. Koleś już dawno podjął decyzję.

Travis obrócił się na pięcie, złapał papierową torebkę z kościelnej ławki i szurnął nią po podłodze, aż zatrzymała się przy materacu.

- Przyniosłem ci coś. Wysepiłem to od mojej mamy. Przyjdę jutro.

- Jutro będę martwy - odparł Graham, wbijając wzrok w oczy Trávisa w nadziei, że wykrzesze z nich choć iskrę współczucia. Ale widział tylko zdenerwowanie i strach.

- Nie wziąłem latarki. Muszę lecieć.

Szybko wymknął się za drzwi. Graham słuchał jego szybkich kroków, łomoczących o ziemię. W końcu poddał się bólowi i ciężko opadł na materac.

Później, gdy ciemność zaczęła się zakradać przez szczeliny ścian i gęstnieć w kątach, zmusił się, by otworzyć torbę zostawioną przez Trávisa. Brązowy papier zmiękł od miętoszenia w dłoniach. W środku były piwo, batonik i buteleczka pigułek.

Żadnej wody?

Żadnego prawdziwego jedzenia?

W nienickającym świetle przeczytał etykietkę na buteleczce. Vicodin. Wiadomo, na co. Odkręcił korek, wytrząsnął jedną pigułkę i popił

piwem. Zamierzał wypić tylko jeden łyk, ale był tak cholernie głodny i spragniony. Opróżnił butelkę w niecałą minutę. Potem przyszła kolej na batonik, który pożarł w pięciu kęsach. Nigdy nie przepadał za słodyczami, ale ten baton smakował obłędnie. Widocznie skurczył mu się żołądek, bo nagle poczuł się napchany. Na kilka minut zdołał zapomnieć o stopie.

Zgiął nogę, by się jej przyjrzeć. Chwała Bogu, że zrobiło się już prawie całkiem ciemno. Inaczej pewnie nieźle by się wystraszył.

Zakręciło mu się w głowie, oblał go zimny pot.

Mdleję.

Puścił nogę, wyprostował kręgosłup i padł tyłem na materac, tracąc przytomność.

Graham na przemian to zasypiał, to się budził. Czasami ocknąwszy się, stwierdzał, że coś mu się porobiło z głową. Jego dziwne myśli błąkały się po miejscach, które nie miały nic wspólnego z obecną sytuacją.

Czasami zrywał się gwałtownie, z nogą w ogniu, z łomotem serca. Wiedział, że tu umrze. Zgnije na syfiastym materacu, w cholernej głuszy.

Odpływał...

I śnił, że jedzą go zwierzęta, że pożerają jego nogę. Słyszał, jak żują. We śnie, w gorączce koszmaru, wydał z siebie wrzask, który go obudził. Usiadł wyprostowany, wbijając wzrok w ciemność.

Nigdy w życiu nie czuł się tak samotny. Samotność jego nowej egzystencji doprowadzała go do obłędu. Kątem oka dostrzegł ruch. Zachłusnął się ze strachu i odwrócił głowę.

Czerń. Jak mógł cokolwiek zobaczyć, skoro było tak ciemno?

Z zewnątrz dobiegło wycie. Zacisnął powieki, choć to niczego nie zmieniało, i błagał, by nadszedł już ranek. Ból w nodze nasilił się. Widocznie vicodin przestał działać. Graham chwycił nogę i zaczął się kiwać w przód i w tył.

Która była godzina?

Nie mógł zgadnąć nawet w przybliżeniu. Może wcześniej. Może przed północą. Albo późno. Prawie świt. Odchylił głowę i wyrzucił z gardła krzyk frustracji, wściekłości i bólu. A potem zaczął wrzeszczeć, wołać o pomoc. Może ktoś go usłyszy. Może ktoś

przyjdzie.

Nagle dobiegł go głos ptaka. Potem następnego. Z szeroko otwartymi oczami zaczął rozróżniać niewyraźne zarysy ławek, ołtarza, okien.

Nadchodził ranek. Dzięki ci, Boże.

Teraz pojawił się nowy dźwięk. Coś, co było bliżej niż tamto wycie. Tuż, tuż, na zewnątrz. Drapało w drzwi.

Wstrzymał oddech i skupił się, nadstawiając uszu w kierunku dźwięku.

Drap, drap, drap.

Szop, powiedział sobie. Wypuścił powietrze i wciągnął spazmatyczny wdech.

Czerń zmieniała się w szarość.

Znów drapanie, a po nim jęk.

Ludzki jęk.

Drzwi nie dało się ani zamknąć, ani otworzyć szerzej. Były uchylone na stałe. W szparze pojawiła się dłoń. Nisko, przy samej podłodze.

Dłoń.

Za nią cała ręka i długie, splątane włosy.

Jezu.

Kobieta w podartej sukience czołgała się po podłodze w jego stronę, ciągnąc za sobą bezwładne, zakrwawione nogi.

Materiał sukienki wydawał się jakby znajomy.

Nie. Nie, to niemożliwe.

To musiał być sen. Na pewno spał.

Kobieta uniosła głowę i spojrzała na niego. Ledwie widział jedno oko, wzierające spomiędzy dwóch zasłon skołtunionych włosów, pełnych mchu i gałązek. Wyciągnęła rękę - ze zdartymi paznokciami, posiniaczoną, zakrwawioną - w jego stronę. Z jej ust wyszło jedno, długie tchnienie:

- Graham.

Ile razy śnił ten sen? Ten koszmar?

Tylko że to była rzeczywistość.

Jego matka.

Żywa, z ciałem gnijącym i odpadającym od kości na jego oczach.

Nie wiedział, dlaczego się tutaj znalazła, i dlaczego była tym cuchnącym, krwawym koszmarem. To nie miało żadnego sensu, ale przecież nic nie miało sensu.

Próbował się cofnąć; zsunął się z materaca, przywierając plecami do ściany, naprężając łańcuch.

Szła po niego.

## Rozdział 30

Jej szponiasta, krwawa dłoń zacisnęła się wokół rannej kostki Grahama. Wrzasnął. I zemdłał.

Kiedy się ocknął, wisiała nad nim, podparta na rękach; włosy zwisały po obu stronach jej bladej twarzy, wpatrywała się w niego szklistymi oczami.

- Graham. - Jego imię wydobyło się z jej ust wraz z urywanym oddechem.

To nie może być prawda. To się nie dzieje naprawdę.

To jakaś pokręcona parodia wszystkich jego lęków. Zupełnie jakby ktoś wlaźł do jego mózgu, odkrył jego najgorszy koszmar i postawił mu przed oczami. Uniosła lekko rękę. Połamany paznokciem dotknęła jego policzka, drapiąc go.

- Musisz stąd uciekać. Co?

Nie takich słów się spodziewał. Nie oczekiwał, że ona będzie po jego stronie.

- Co ty tu robisz? - Wcisnął głowę w materac tak głęboko, jak się dało, usiłując się odsunąć. - Jak tu trafiłaś?

- Twoi koledzy... próbowali mnie zabić. Napadli mnie.- Zdania były krótkie, urywane. - Wsadzili do bagażnika. Myśleli, że nie żyję. Słyszałam cię. - Wzięła głęboki oddech. - Jak rozmawiałeś. Na tylnym siedzeniu.

Graham usiłował jakoś to sobie poskładać, znaleźć jakiś sens w tym, co mówiła. Była w bagażniku. Kiedy oni się śmieli i pili wódkę, ona była w bagażniku. To kompletnie popieprzone.

- Wrzucili mnie. Do studni. W końcu się wydostałam. Nie mogłam chodzić.

Nie wiedziałam, dokąd mam iść. Chyba... krążyłam w kółko. - Znów dotknęła jego twarzy. - Wtedy usłyszałam twój krzyk.

To ją słyszał, jej krzyki, szloch, wołanie o pomoc. Położył dłoń na jej ramieniu. Zrobiło mu się dziwnie, więc zaraz zabrał rękę.

- Masz rację. Musimy stąd uciekać. Natychmiast. Spojrzała na

łańcuchy krępujące jego ciało i zdrową nogę. Spojrzała na kłódkę.

- Klucz. Gdzie jest klucz?

- Ja... nie wiem. - Pewnie miał go Alba. W nagłym przeblysku przypomniał sobie reakcję Trávisa, gdy błagał, żeby go uwolnił. Travis spojrzał w stronę drzwi.

- Klucz może być schowany gdzieś tam. Widziałem, jak ktoś patrzył w tamtą stronę. - Wskazał kierunek. - Na parapecie, pod kamieniem, nie wiem.

Nie wstając z podłogi, uniosła się na rękach, obróciła i zaczęła pełznąć w stronę drzwi. Dopiero w tej chwili zaświtało Grahamowi, że ma połamane obie nogi. Jakimś cudem zdołała wydostać się ze studni wyłącznie dzięki sile rąk.

Przez tyle lat bał się jej, nienawidził. Teraz, gdy patrzył, jak walczy, łzy zapiekły go w oczach i musiał zamrużyć, by je rozgonić.

Dysząc spazmatycznie, szarpała płaskie kamienie progu, jeden po drugim, padając od czasu do czasu i czekając, aż minie słabość.

- Nie - wyszłochała w końcu. - Nic nie ma.

- A deski podłogi?

Przesunęła się i zaczęła obmacywać szpary między połamanymi deskami. Wyjęła luźną listwę.

- Widzę coś. - Wyciągnęła się, by sięgnąć do dziury. - Klucz! Serce Grahama zabiło z podniecenia. Może zdołają uciec z tego miejsca. Może im się uda.

Matka powlokła się z powrotem po podłodze.

- Trzymaj.

Trzęsąc się ręką włożyła klucz w jego wyciągniętą dłoń. Gdy tylko go złapał, padła ze zmęczenia.

Graham trząsał się niemal tak mocno jak ona i przez chwilę myślał, że może to zły klucz, podłożony dla kawału, jako element chorej łamigłównki. Pasował do kłódky, ale nie dawał się przekręcić.

Nie! To musi być właściwy klucz.

Serce tłukło mu się o żebra. Wyjął klucz, wsadził jeszcze raz i zaczął poruszać nim w obie strony.

Kabłak kłódky odskoczył.

Graham roześmiał się ze szczęścia.

Odczepił kłódkę, rozplatał łańcuch i rzucił go na ziemię z ciężkim



grzechotem. Nie wiedział, dokąd pójdą, ale uciekną. Wyjdą stąd, schowają się, a potem pomyślą, co dalej.

- Biegnij! - wysapała. - Szybko! Zanim ktoś przyjdzie! Spojrzał na nią pytająco.

- A co z tobą?

- Nie mogę.

- Musisz!

- Byłam złą matką. Chcę... ci to wynagrodzić. Pozwól to... sobie wynagrodzić. Tutaj. Teraz.

- Możesz mnie zabrać na pizzę.

Roześmiała się. Naprawdę się roześmiała. Nieczęsto udawało mu się sprowokować ją do śmiechu.

- Nie powinnam zostać... matką. Brzydziła mnie sama myśl... o byciu matką. Nie cierpiałam tego. Odbijałam to na tobie.

- Nienawidziłaś mnie. Patrzyła na niego długą chwilę.

- Tak.

To żadna tajemnica. Wiedział to od zawsze. Trudno było dorastać z taką nienawiścią. Czekał, by mu powiedziała, że go kocha. Że w głębi duszy zawsze go kochała.

- Leć - ponagliła. - Wynoś się stąd.

Złapał swój but. Stopa okropnie napuchła, więc niełatwo było go włożyć. Omal znów nie zemdlął z bólu.

- Nie myśl, jak bardzo boli - tłumaczyła. - Skup się... na ucieczce. Wstał, starając się obciążać głównie zdrową nogę.

- Nie możesz tu zostać. - Nie powinien pozwolić, żeby Alba ją znalazł.

Wziął koc i rozłożył na podłodze obok niej. Jakoś udało mu się wciągnąć ją na grubą szmatę. Była lekka, ale sporo się namęczył. W końcu złapał za dwa rogi koca i zaczął kuśtykać do tyłu, ciągnąc ją po podłodze. Zatrzymał się przy drzwiach.

- Musisz mi pomóc wydostać cię za drzwi. - Przesunął się, by nie stać jej na drodze. - Ukryję cię w lesie, a potem po ciebie wrócę.

Posłała mu znajome spojrzenie, pełne wścieklej irytacji i obrzydzenia. Ale przeturlała się na bok i zaczęła przeciskać przez szparę. W połowie drogi znieruchomiała.

- Dalej! Dalej! - ponaglił ją Graham z wnętrza.

- Odwróć się - powiedziała Lydia cicho, tak jak mówi ktoś, kto boi się sprowokować wściekłego psa. - Odwróć się... i uciekaj.

Graham wyjrzał przez szparę.

Kilka kroków dalej stał Alba z rękami założonymi na piersi. Towarzyszyli mu Travis i ten blondyn, Craig.

Graham odwrócił się i pobiegł.

Ignorując ból w kostce, ominął ławkę i przeskoczył przez dziurę w podłodze, by podciągnąć się na parapet okna. Zapierając stopy o futrynę, skoczył. Krzyknął i padł, zgięty w pół, kiedy jego nogi uderzyły o ziemię.

Podniósł się natychmiast i ciężko utykając, zaczął przedzierać się przez splątane krzaki. Za plecami usłyszał wrzask.

Zatrzymał się i odwrócił, w samą porę, by ujrzeć, jak trzymany w dwóch dłoniach duży kamień spada prosto na jego głowę.

# Rozdział 31

Isobel.

Isobel krzyknęła cicho, przestraszona, i wpatrzyła się bacznie w głąb mrocznej uliczki, gdzie nie docierało światło latarni. Już miała wskoczyć do pick-upa, kiedy z cienia wyszedł jakiś człowiek.

Evan Stroud. Ojciec Grahama, ubrany w czarny, długi płaszcz. Jego skóra była niemal przezroczysta, kruczoczarne, zmarszczone brwi ocieniały oczy, włosy miały ten sam ciemny kolor.

Spotkali się tylko raz, ale oczywiście go pamiętała. I wiedziała o nim wszystko. Nie wierzyła w wampiry, ale, cholera! Skąd on się tu wziął? Jak mógł pojawić się tak niespodziewanie? Tak bezgłośnie? Jakby wyłonił się prosto z cienia. A może po prostu zatopiła się w myślach?

- Powinnaś bardziej uważać - powiedział. - Parkuj bliżej kina, pod latarnią.

- Nie było ciemno, kiedy przyjechałam.

- Trzeba myśleć o takich rzeczach. Szczególnie teraz. Chciał powiedzieć: teraz, kiedy ktoś mordował młode dziewczyny i pił ich krew. Ludzie mówili, że to robią wampiry.

Ludzie mówili, że to Evan Stroud. Nie mogła nie zauważyć ciemnych sińców pod jego oczami, tego wrażenia jednoczesnej słabości i mocy.

- To miejsce może się wydawać bardzo spokojne na powierzchni - zauważył, robiąc nieokreślony gest długimi, białymi palcami - ale to tylko iluzja.

Cofnęła się bliżej auta. Stroud zrobił krok, wychodząc z cienia wysokiego budynku.

- Muszę z tobą porozmawiać. O Grahamie. Isobel mocniej ścisnęła kluczyki.

- Już rozmawiałam z policją. Z komendantem Burtonem i jakimś gliniarzem ze stanowej policji.

- Wiem. Przepraszam. - Cofnął się z powrotem w cień, tak że stał

się tylko niewyraźną sylwetką z niskim, głębokim głosem. – Podejdź bliżej.

W całym tym zamieszaniu, pełna obaw o Grahama i zaskoczona nagłym najściem Evana Strouda, zapomniała, że jest podejrzany o zamordowanie Chelsea Gerber.

Rzesłano za nim nawet list gończy. Szukali go. Całe cholerne miasto go szukało.

Serce podeszło jej do gardła; sprężyła się, by zawrócić i uciec. Ale on chyba czytał jej w myślach, bo nagle skoczył naprzód. Zakrył jej usta dłonią i zaciągnął ją głębiej w uliczkę, do wnęki, która była kiedyś rampą rozładunkową.

Czuła jego oddech na policzku.

– Ja tylko chcę porozmawiać – szepnęła. – Nikomu nie zrobiłem krzywdy. Tobie też nie zrobię. Graham może być w niebezpieczeństwie. Muszę go odnaleźć i potrzebuję twojej pomocy.

Chyba mówił szczerze. Martwił się o syna. Zresztą ona też chciała, żeby Graham się znalazł.

– Okej? – zapytał Evan; wciąż przyciskał jej dłoń do ust, ale już nie tak mocno.

Kiwnęła głową. Puścił ją powoli.

Wczoraj wieczorem usnęła z płaczem, tak się bała o Grahama.

– Pan myśli, że on nie żyje? – Jezu! Dlaczego to powiedziała? Ale wszyscy tak myśleli, tylko nie mówili głośno.

– Jeśli żyje, może być w niebezpieczeństwie.

– Albo uciekł. Po prostu się gdzieś ukrywa.

– Też bym tak myślała, gdyby nie to, że zaginęła również jego matka.

– No tak. To naprawdę dziwne.

– Znałaś go lepiej niż ktokolwiek tutaj. Próbował się z tobą skontaktować?

Wyczuła, że wstrzymał oddech, że wszystko zależy teraz od jej odpowiedzi.

– Nie. – Nawet jej do głowy nie przyszło, że mógłby próbować się z nią kontaktować.

– Na pewno? Musisz mi powiedzieć prawdę.

– Mówię prawdę. Przysięgam. Znałam go, ale naprawdę nie

byliśmy aż tak blisko. To znaczy spotykaliśmy się po szkole i na próbach, ale nie przychodził do mnie do domu ani nic w tym rodzaju.

- Wierzę ci. Poczula jego rozczarowanie, jakby przygniótł go mroczny, ogromny ciężar.

- P-przykro mi - warknęła. Do jej świadomości zakradł się jakiś dźwięk. Pac, pac, którego z początku nie potrafiła zidentyfikować. Gdy odgłos przybrał na częstotliwości, zrozumiała, że to deszcz - padający na kamienie uliczki, na metalowe pokrywy kubłów na śmieci.

- Muszę iść - stwierdziła.

- Czekaj! Znów ją złapał i ponownie ogarnął ją strach.

- Jeśli się do ciebie odezwie, skontaktuj się z panią koroner. Z Rachel Burton, okej?

Skinęła głową, choć przecież nie mógł jej widzieć. Chyba że widział w ciemnościach.

- Okej. - Graham by do niej nie zadzwonił. Nie przyszedłby do niej do domu. Nawet się nie pożegnał. - Obiecuję.

- Isobel? - zawołał męski głos z ulicy. - To ty?

- To pan Alba - szepnęła. - Muszę lecieć.

Stroud puścił jej rękę i rozpląnął się w cieniu. Odwróciła się i pobięła uliczką.

- Co ty tam robiłaś? - zapytał Alba głosem pełnym troski. Trzymał nad głową czarny parasol.

- Zdawało mi się, że coś widziałam.

- Co? - Przechylił parasol w jej stronę, więc podeszła bliżej, obejmując się ramionami, bo zimny deszcz przybierał na sile.

- Zwierzaka. Chyba kotka.

Nie wiedziała, czemu kłamie. Powinna zadzwonić na policję, żeby wsadzili Strouda do aresztu. Ale jeśli mówił prawdę? Jeśli był niewinny? Jeśli mógł odnaleźć Grahama?

- Lepiej jedź do domu - poradził Alba. - Żebyś się nie rozchorowała przed premierą.

Wcisnęła pilota przy breloku, otworzyła drzwiczki pick-upa i wskoczyła do kabiny. Gdy ruszyła w dół ulicy i zrównała się z Albą, opuściła szybę. Przewiesiwszy lewą rękę przez okno, wychyliła się

do niego.

- Podwieźć pana do samochodu?

Bez wahania podbiegł do auta, złożył parasol i wsiadł, ustawiając parasol czubkiem na dół między nogami.

- Dzięki. - Posłał jej uśmiech, od którego załaskotało ją w żołądku.

Przyciskając plecy do ściany wnęki, Evan czekał, aż pick-up odjedzie. Wyszedł na środek uliczki i wystawił twarz na zimny deszcz.

Lało już porządnie. Cegły wchłonęły ciepło słońca i teraz sączyły się z nich zapach, który kojarzył mu się z latem i nagłymi burzami. Wystarczyła minuta, by deszcz przemoczył płaszcz i koszulę, chłodząc skórę, tak rozpaloną, że chyba musiał mieć gorączkę.

Na wypadek, gdyby Isobel zadzwoniła na policję, uciekł z tego miejsca, biegnąc zaułkiem i oddalając się od ulicy, na której znalazł jej samochód. Gdy dotarł do dzielnicy magazynów, przeciął kilka torów kolejowych, a potem poszedł ostrożnie skrótem między wagonami i tunelem, za którym zaczynał się chodnik biegnący skrajem nadrzecznego urwiska.

Gdy znalazł się na otwartej przestrzeni, wiatr zaczął szarpać połami przemoczonego płaszcza. Zimne krople siekły go po twarzy. Evan wcisnął ręce w kieszenie, schował brodę w kołnierz i szedł dalej w ulewnym deszczu. Wspiąwszy się na grzbiet wzgórza, dotarł do miejsca, z którego widać było zakręt rzeki i wieże kościoła w centrum Tuoneli.

Oparł dłonie o ogrodzenie z kutego żelaza i zapatrzył się na rzekę. Mimo ciemności dostrzegał łuk wody i bardziej miękkie, ciemniejsze zarysy drzew na drugim brzegu.

Czuł się tak dziwnie. Niemal euforycznie. Krew mocno pulsowała w jego żyłach. Kute żelazo pod dłońmi było mokre, zimne i solidne.

W pierwszej fazie, gdy diagnozowano jego chorobę, przeszedł serię transfuzji. Czasami, nawet po tylu latach, budził się z głębokiego snu z uczuciem, że w jego ciele żyje ktoś inny, że jest w jakiś sposób związany z tą nową krwią, którą wpompowano w jego żyły. Wiedział, że system krwionośny regeneruje się i że tę cudzą krew dawno zastąpiła jego własna, ale ten obcy ktoś wciąż czaił się

w ciemnych kątach. Czuł go czasami w sobie. Bardzo niepokojące uczucie.

To, co czuł teraz, było podobne, ale o wiele silniejsze. Rozchylił płaszcz i wyjął mały termos, który znalazł w kuchni Rachel. Jeden z tych stalowych, izolowanych kubków, jakie sprzedają w kawiarniach. Odkręcił wieczko i wypił długi łyk herbaty zaparzonej z mieszanki z zabytkowej puszki. Ciemny płyn ostygł, ale to bez znaczenia. Wypił resztę.

Ukryty głęboko w cieniu asystent koronera Dan Salsberry patrzył, jak Evan Stroud pada na ziemię. Dan śledził go już od dłuższego czasu. Zrobił kilka kroków w jego stronę, ale zatrzymał się, kiedy Stroud z trudem podniósł się z ziemi i wyprostował - jak człowiek, który narodził się na nowo.

Rachel obudziła się gwałtownie. Leżała w łóżku z łomoczącym sercem, wyteżając słuch, szukając dźwięku, który wyrwał ją z głębokiego snu. Czyżby jej się przyśnił? Jak to się nazywa, kiedy rzeczywisty odgłos pochodzący zjawy nagle pojawia się we śnie? W filmie nazywają to dźwiękiem diegetycznym.

Odrzuciła kołdrę i spuściła nogi na podłogę. Błękitne światło z ulicy przenikało przez szparę zasłon, tworząc wąską ścieżkę sięgającą do korytarza. Poszła za światłem i zatrzymała się pod uchylonymi drzwiami łazienki. Z wnętrza dobiegł cichy plusk.

- Evan?

Gdy nikt nie odpowiedział, powoli pchnęła drzwi. Ktoś siedział w wannie na nóżkach. Ktoś z długimi, ciemnymi włosami. Victoria. Tym razem to nie twarz Chelsea Gerber przemieniła się w wizję z przeszłości Rachel. Co ta kobieta tutaj robiła? W jej mieszkaniu?

Czego ty ode mnie chcesz?

Rachel nie mogła się ruszyć. Nie mogła odwrócić głowy ani nawet zamknąć oczu. Potrafiła tylko patrzeć z przerażeniem.

Victoria odwróciła się powoli; długie włosy zwisały po obu stronach jej twarzy.

Uniosła rękę i wyciągnęła ją do Rachel. Coś kapało z koniuszków jej palców.

Krew.

Rachel ruszyła się w końcu. Pobiegła korytarzem do salonu.

- Evan!

Mogłaby przysiąc, że był niedaleko.

Gdy nie znalazła go w mieszkaniu, popędziła po schodach do kostnicy, do prosektorium i lodówek.

Coś zmusiło ją do otwarcia dwóch pustych szuflad, a potem tej, która zawierała szczątki Richarda Manchestera. Zagapiła się w puste jamy, w których niegdyś były oczy. Gdy tak patrzyła, zmumifikowana twarz zaczęła się zmieniać. Nabierała ciała, aż leżała przed nią nie twarz mumii, ale Evana Strouda.



## Rozdział 32

Evan stał nad urwiskiem. Od czasu do czasu widział w oddali światła samochodu. Ilekroć je dostrzegł, chował się za pień drzewa i czekał, aż znikną. Nocne powietrze, zimny deszcz, zapach ziemi – wszystko to przypominało mu, że żyje.

Potrzebował tego przypomnienia. Potrzebował go bezustannie. Stał tak, aż deszcz zmienił się w mżawkę. Stał, aż żaby zaczęły rechotać w pobliskim mokradle i mgła zaczęła przetaczać się nad ziemią. Zbliżał się ranek.

Postawił mokry, rozmiękły kołnierz płaszcza i ruszył w dół, wracając po własnych śladach przez tunel i wzdłuż torów kolejowych. Ale zamiast zejść kolejnym stokiem na Main Street, trzymał się torów, przecinając wraz z nimi centrum miasta i docierając do miejsca, gdzie urwisko znów wyłaniało się z ziemi, a domy stały przylepione do stromego zbocza.

Nietrudno było wypatrzeć kostnicę z jej wieżyczką sterczącą ponad linią dachów. Wyobraził sobie Rachel, uśpioną, ciepłą. Przypomnił sobie chwilę, kiedy leżał w jej łóżku, spowity jej zapachem.

Zamknął oczy i wciągnął powietrze. Czuł ją teraz. Pachniała szałwią i lawendą. Ruszył w stronę wieżyczki, wzgórza i światła. Stromy ciąg pokruszonych cementowych schodów, pociemniałych od wieloletnich warstw zielonego nalotu, prowadził wprost w górę po zboczu starego koryta rzeki. Evan bez problemu widział w ciemności; piął się po schodach skręcających w lewo, w prawo i znów w lewo, i cały czas biegnących do góry. Nie był nawet zadyszany, kiedy dotarł do biegnącej po łuku ulicy, wiodącej do domu na urwisku.

Przeszedł na drugą stronę i zanurkował w gęsty cień kostnicy. Kluczem, który znalazł w kuchni Rachel, otworzył drzwi dostawcze i wsunął się do środka.

Usłyszawszy ruch, obrócił się i ujrzał Rachel stojącą bosą w

długim korytarzu, ubraną w koszulkę i kraciaste spodnie od pizamy. Słabe lampy sufitowe nadawały pomieszczeniu zielonkawego odcienia, jak na zdjęciach kodaka. Z jedną ręką na ścianie, drugą na szyi, przystanąła niepewnie.

- Evan? - Jej głos drżał. - To ty? - Wybiegła z cienia i popędziła ku niemu. Złapała go za przedramię i zadrżała, tym razem z ulgi.

- Co się stało? Natychmiast zmieszała się i widział, że z wysiłkiem próbuje wziąć się w garść.

- Bałam się bardzo, że cię aresztowali.

- Przycisnęła dłoń do ust i się odwróciła.

Gdy dotknął lekko jej ramienia, znów stanęła przodem do niego. Zdawało się, że mgła wpełzła za nim do środka. Wokół lamp tworzył się półcień. Jego serce biło dziwnie, jak ostatnio często mu się zdarzało. Poczul ulgę, widząc, że Rachel zachowuje się już bardziej jak Rachel, ale tu z pewnością działo się coś dziwnego, coś, czego nie rozumiał.

- Gdzie byłeś?

- Musiałem porozmawiać z Isobel.

- Isobel?

- Graham nie odezwał się do niej. Myślałem, że może się z nią skontaktuje. - Jeśli jeszcze żyje; te słowa pozostały niewypowiedziane.

- Długo cię nie było. W jej twarzy wyczytał troskę, niepokój. Podejrzliwość.

- Co robiłeś? Gdzie byłeś? Gdzie byłeś? Gdzie był? Po spotkaniu z Isobel? Nie wiedział... Nie pamiętał.

- W parku. Nad rzeką.

Rachel poszła do pracowniczej łazienki z prysznicem, przylegającej do prosektorium, i wzięła dwa ręczniki. Przez chwilę pozostawała poza zasięgiem jego wzroku. Cały czas biła się z myślami, nakazywała sobie spokój.

Głowę miała pełną obrazów Victorii, Nieśmiertelnego. Isobel i Grahama. Evana i kogoś jeszcze - tego obcego, którego ujrzała. Kiedy wróciła, Evan stał w tym samym miejscu.

- Musisz się rozebrać z mokrych rzeczy.

- Nic mi nie będzie.

- Jesteś przemoczony do nitki. Wszystko obok, poza nim, straciło ostrość. Coś ścisnęło ją w piersi i nie mogła oderwać od niego oczu. Pomieszczenie zdawało się kurczyć, ciemnieć, rozmywać - aż widziała tylko jego. Jej powieki zatrzepotały, przymknęły się i zaciągnęła się głęboko powietrzem, czując zapach herbaty, zapleśniałych książek i otwartej przestrzeni. Deszczu i torfowej, bagiennej ziemi. Był taki piękny z tymi ciemnymi, potarganymi włosami, bladą skórą, której nie naruszyło słońce, z wargami, które nie zbladły od opalenizny. Doskonały.

Doskonały i chory.

Czuła jego energię, jego duszę.

Czy on czuje to samo? Czy to wszystko wychodziło tylko z niej?

Przerażasz mnie.

Ale czy to był strach? Tak naprawdę? Czy coś nienazwanego, udającego strach?

Czytał w jej myślach. Widział, że tego chciała. Teraz. Tutaj.

Miał dziwne oczy - jasnobrązowe na obrzeżach, tym ciemniejsze, im bliżej źrenicy. Nigdy przedtem tego nie zauważyła. A jego rzęsy - nie były jakoś szczególnie długie, ale czarne i gęste, obrysowywały jego oczy delikatnym konturem.

Jest inny. Evan, a jednak nie Evan.

Poczuła jego palce, chwytające ją za ramiona. Poczuła, że przyciąga ją do siebie. I jego usta, przyciśnięte do jej warg, zimne i mokre, rozgrzewające się powoli, miękące. Dotknęła jego włosów; przyciągnęła go bliżej. Jego szczeka otarła się o jej policzek; skóra pachniała jak wilgotna, ciepła noc.

Gdzieś daleko zadudnił grzmot, aż zabręczały stalowe narzędzia w szufladzie. Lampy pod sufitem zamrugwały. Świat za oknami z grubego szkła pociemniał, znieruchomiał.

Burza wracała.

Czas i śmiertelność nie istniały.

Nie przestawaj mnie dotykać.

Nie odrywając warg od jej ust, sięgnął między nich i kilkoma zręcznymi ruchami ściągnął w dół jej spodnie na gumce i figi. Usłyszała dźwięk rozpinanego paska, zamka spodni.

Spadł na nią jak orzeł, przyciskając ją do ściany; czuła zimny

dotyk jego przemoczonego ubrania na rozpalonej skórze.

- Pospiesz się - szepnęła z wargami przy jego twarzy, bojąc się, że nagle się zatrzyma, nagle zda sobie sprawę, co się dzieje. Nie myśl, nadawała mu telepatycznie. Nie myśl.

I nagle był w niej.

Poczuła słodki spazm, który przebiegł przez sam środek jej ciała aż do piersi.

Wykradał jej duszę.

Przez długą, długą chwilę trwali w bezruchu, słychać było tylko ich urywane oddechy.

- Rachel. - To było zaklęcie, ale i pytanie.

Poczuła, że osuwa się w dół; poczuła przeszywający go dreszcz. Sięgnęła w górę i chwyciła rurę wodociągową, biegnącą tuż nad jej głową.

- Puść. Chodź bliżej.

Spojrzała na niego. Źrenice miał rozszerzone. Wyglądał jak nie on. Jak ktoś, czyje odbicie dostrzegala czasem w szybie, by odwróciwszy się, zobaczyć, że nikogo tam nie ma. On nie jest prawdziwy. To kolejny wytwór twojej wyobraźni.

- Nie jesteś dość blisko - rzucił bez tchu. Puściła.

Padli na cementową podłogę. Przebiegł dłonią po jej ciele, dotykając wszędzie, podciągając koszulkę. Nagle jęknął i zaczął poruszać się w niej i na niej, tak gwałtownie, że przesunęła się do tyłu. Przyciągnął ją z powrotem. Uderzał głęboko, cały czas ją obejmując, mrużąc słowa, których nie rozumiała, które i tak nie miały znaczenia.

Przycisnął usta do pulsującej żyły na jej szyi; jego wargi zabawiły tam chwilę; dłonie obwiodły jej biodra i uniosły je ku niemu. Jej palce wbijały się w jego ramiona.

- Nie uciekaj.

- Jestem tu.

- Nie uciekaj. Nie wiedziała, co miał na myśli. Nie obchodziło jej to.

- Ty i ja jesteśmy połączeni - powiedział. - Wiesz to, prawda? Zawsze byliśmy połączeni.

- Nie.

- Tak. Prawie mu wierzyła.
- Nie walcz z tym.
- Nie walczę.
- Przestań się bronić.

Miał rację. Nie wiedziała, skąd to wie, ale była pewna. On chce twojej duszy. Przetoczył się na plecy, zdejmując z niej swój ciężar; poły jego długiego płaszcza opadły na podłogę.

- Wszystko w twoich rękach.

Usiadła prosto i zamknęła oczy; dyszała płytko, przyciskając dłonie do jego brzucha ukrytego pod warstwami materiału.

Chciała być bliżej; chciała dotyku skóry.

To i tak nie będzie dość.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

Przestań walczyć.

Pokręciła głową.

Uśmiechnął się lekko, ale widziała tętno pulsujące szybko na jego szyi. Czuła dreszcze na jego skórze. Jej słuch stracił ostrość, dźwięki stały się głuche. Gdy tak patrzyła na niego, poczuła narastający we wnętrzu skurcz, biegnący coraz wyżej, jakby niewidzialny palec pieścił ją od miejsca, gdzie byli złączeni, aż do szyi.

Usłyszała dziwny, niesamowity jęk i zdała sobie sprawę, że wyrwał się z jej gardła.

To jakieś szaleństwo.

To nie jest realne. Tak jak Victoria nie jest realna.

Leżę nadal w łóżku. Ciągle śnię.

Poczuła się pijana i naćpana, na granicy omdlenia. Jakby wdychała belladonnę albo piła jakiś oszałamiający wywar.

Wiedziała, że to jej nie wystarczy. Że to tylko sprawi, że będzie chciała więcej. Teraz, gdy już raz go posmakowała.

Uśmiech Evana zniknął, jego oczy pociemniały.

Przeturlał ją na plecy; czarny płaszcz nakrył ich oboje. Chwycił ją kurczowo, skrywając twarz na jej szyi, i zadrżał, by w końcu zwiotrzeć w jej ramionach, spocony, roztrzęsiony, zgaszony.

Oni zawsze zabierają twoją duszę. I on też tego chce. On tego potrzebuje.

Otworzyła oczy, chcąc coś powiedzieć, i zobaczyła na jego szyi apaszkę z haftem.

Apaszkę, którą dobrze знаła - apaszkę należącą do Richarda Man-chestera. Do Nieśmiertelnego.

## Rozdział 33

Na twarzy Grahama usiadła mucha.

Nie otwierając oczu, uniósł rękę i spróbował ją odgonić. Podziałało na chwilę, ale mucha wróciła. Słyszał więcej much, nadlatujących i bzyczących gdzieś niedaleko. Na początku było ich tylko kilka, ale widocznie wysłały swoich muszych kurierów po posiłki, bo zaczynało to brzmieć jak jakiś cholerny plac budowy – ściana hałasu tak głośnego i nieustannego, że momentami uodparniał się nań i w ogóle przestawał go słyszeć. Ale kiedy któraś z tych brudnych, obzartych choler lądowała na jego twarzy i próbowała wleźć mu do nosa, podrywał się gwałtownie i bzyczenie zaczynało się na nowo.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że chyba musi mieć gorączkę. Pocił się, targały nim dreszcze i mroczne sny. Kiedy otworzył oczy, wszystko w dalszym ciągu było dziwne i miał problem z ustaleniem, czy cokolwiek jest rzeczywiste.

Gdzieś na granicy jego wrażliwości gęstniał smród. Tak jak brzęczenie, czasami znikał, choć Graham wiedział, że tak naprawdę był cały czas. Po prostu on przestawał go zauważać. Ale potem obracał głowę albo przeganiał muchę, powietrze poruszało się i docierała do niego kolejna fala odoru.

Jakby padliny przy drodze. Zgniły, ciężki, słodkawy i mdlący.

W Arizonie przejechane zwierzęta nie leżały długo. Zjadały je sępy. To, co zostawało, wysychało w pustynnym upale. Nie puchły, nie rozdymały się i nie zaczynały ciec, jak tutaj.

Nie otwieraj oczu.

Nie otwieraj oczu i nie patrz na nią.

Odpłynął – w nieświadomość, gdzie ostatnio spędzał sporo czasu. Podobało mu się tam. Czasami śnił o Isobel, o tym, jak siedzą na słońcu i robią na drutach. Czuł się fajnie. Wtedy był szczęśliwy.

- Graham.

Zignorował głos i wrócił do myślenia o Isobel. Ale głos znowu

nadpłynął.

Uparty szept.

- Graham.

Rozpoznał głos, któremu uczył się być posłuszny przez długie lata. Głos, którego musiał słuchać, bo inaczej miał przerąbane.

- Otwórz oczy. Popatrz na mnie. Posłuchaj mnie. Uchylił powieki.

Tylko odrobinę.

Zdaje się, że pamiętał krew płynącą mu po czole, zalewającą oczy. No tak. Tak było. Ktoś walnął go w głowę i ogłuszył. Ktoś zawlókł go z powrotem do kościoła, z powrotem do materaca, łańcuchów i kłódki.

Łańcuchy i kłódka nie były potrzebne. Nie mógł się ruszyć. Wysiadł. A zresztą nie miał pretensji. Czuł się tu prawie jak w domu. Powinni powiesić na drzwiach taką badziewną wizytówkę z jego nazwiskiem wypalonym na drewnie. Roześmiał się na samą myśl.

Usłyszał szelest liści na zewnątrz i przez okna z wytłuczonymi szybami wpadł podmuch wiatru. Coś skrzypnęło nad jego głową.

Słyszał już wcześniej ten dźwięk. Słyszał go niejedyn raz.

Nie patrz.

- Graham. Nie patrz.

Coś zatrzepotało na skraju pola jego widzenia. Materiał sukienki matki. Obrócił głowę - tylko odrobinę. Potem jeszcze trochę - aż zobaczył rękę dyndającą z metr nad podłogą.

Ręka była spuchnięta - jak wielkanocna szynka. Trzy razy taka, jak powinna być. Z czubków palców kapał żółty sok, tworząc na podłodze kałużę, przy której ucztowały muchy.

Skrzyp.

- Graham. Poruszyła się. Okręciła odrobinę, z gracją.

- Musisz mnie posłuchać. Może żyła. Może tamto tylko mu się przyśniło. Jego oczy powędrowały w górę; spojrział przez rzęsy, nie otwierając szerzej oczu.

Jej kostki były skrępowane liną. Sznur wrzynał się głęboko w fałdy nabrzmiałego ciała. Powiesili ją do góry nogami na belce, przecięli kilka żył i spuścili krew.

Nie domyśliłby się, że to ona. Jej głowa była wielkości piłki do



kosza. Pomijając sukienkę i włosy, mógłby to być jakiś gruby facet. Wojownik sumo.

- Musisz się do nich przyłączyć - powiedziała. - Inaczej cię zabiją. To jedyny sposób, żebyś wydostał się stąd żywy. Musisz ich przekonać, że jesteś jednym z nich. Miała rację.

Chociaż była martwa, miała rację. Śmiertelną rację. Noga już go nie bolała.

- To raczej źle - zauważyła. Pięknie, teraz czytała w jego myślach. Otworzył usta. Wargi go piekły.

- Mam gorączkę - odezwał się. Czy to jego głos? To dziwne, ochryple coś? - Boli mnie głowa.

- Potrzebujesz wody.

- Potrzebuję lekarza.

- Pamiętasz, jak ci śpiewałam?

- Nigdy mi nie śpiewałaś.

- Właśnie, że śpiewałam.

- A co śpiewałaś?

- Boba Dylana.

- Nie lubię Boba Dylana.

- Nigdy nie dałeś mu szansy. Nie cierpiełeś go, bo ja go lubiłam.

- Nie podoba mi się jego głos. Śpiewa przez nos.

- To przychodzi z czasem.

- To zaśpiewaj coś.

Zaczęła nucić, potem śpiewać. Graham znał tę piosenkę. Dziewczyna z Północy. Po chwili przyłączył się.

Travis i Craig zatrzymali się przed zepsutymi drzwiami kościoła.

- Fuj! - Travis zadrżał i zakrył nos ręką. Craig nadstawił ucha w stronę drzwi.

- Z kim on gada? Travis nasłuchiwał przez chwilę.

- Śpiewa. Myślałem, że może kojfnął, ale widocznie mu się poprawiło. Wcisnęli się przez szparę, jeden po drugim, i przystanęli.

- Nie poprawiło mu się. Graham gapił się na trupa wiszącego u sufitu. Uśmiechał się do niego. Śpiewał mu.

- On chyba umiera, co? - zapytał Travis. Craig wyjął aparat cyfrowy.

- Musimy mu zrobić zdjęcia, zanim odwali kite.

- Ciii! Nie mów tego przy nim.
- Co? Że odwali kite? On nawet nie wie, że tu jesteśmy. Popatrz na niego.
- Lepiej powiedzmy Albie, że koleś potrzebuje lekarza.
- Martwisz się o niego?
- No, coś w tym guście. Co w tym złego? Graham jest okej. Nawet nie pisał o mumii.
- Graham! - Craig pstryknął palcami.

Głowa Grahama obróciła się powoli. Jakoś zdołał się podeprzeć na łokciu. Czoło miał zakrwawione, jedno oko na wpół zamknięte, zlepione krwią. Uśmiechnął się do nich słabo i pomachał.

Craig podszedł bliżej i zaczął pstrykać zdjęcia. Gdy już będą mieli wydruki, Dan, asystent koronera, miał je doręczyć Stroudowi. Graham uniósł kciuk.

- Nie rób tak - rzucił do niego Travis, starając się nie oddychać przez nos. - Nie możesz wyglądać na szczęśliwego, idioto jeden.
- Jezu Chryste - zawołał Craig. - Kompletnie mu się popierdoliło w głowie.
- Podszedł bliżej i uniósł rękę, by trzasnąć Grahama w twarz.
- Nie, czekaj.

Travis stanął na wprost Grahama, tak żeby ściągnąć jego uwagę.

- Graham. Graham. Popatrz tutaj. Zrób taką minę. - Uchylił usta, jak u trupa z opadniętą szczęką i przechylił głowę. Graham usłuchał i Travis odsunął się z kadru.

- No. Teraz rób zdjęcie. Idealnie. - Craig pstryknął jeszcze parę razy i w końcu schował aparat do kieszeni bluzy.

- Czekajcie! - krzyknął za nimi Graham, gdy pośpiesznie ruszyli do wyjścia.

- Nie możemy zostać - odparł Travis. Pomyślał, że zaraz się porzyga.

- Zabierzcie mnie do swojego przywódcy - zażądał Graham solennym, pijanym głosem. - Muszę porozmawiać z waszym przywódcą.

Facet prawdopodobnie umierał, ale ciągle stać go było na sarkazm. Niezły był, skurczybyk.

- Z naszym przywódcą? - zapytał Craig.

- Z Albą.

- Dlaczego?

- Chcę zostać Nieśmiertelnym. Powiedzcie mu to, okej? Nieśmiertelnym. Jestem gotów złożyć przysięgę, wypić krew, czy co tam chłopaki robicie. Powiedzcie mu, okej?

Craig spojrział na Travisa, uniósł brew i wzruszył ramionami.

- Spoko. Przekażemy mu.

Graham padł z powrotem na materac i zamknął oczy. Travis pomyślał, że może umarł, ale chłopak mruknął:

- Fajnie.

Nigdy w życiu nie czuł się tak dziwacznie. Nawet kiedy palił trawkę. Jakby płynął poza ciałem. Nie potrafił już odróżnić rzeczywistości od tych pokręconych rzeczy, które działy się w jego głowie. I nie miało to znaczenia. To było właśnie świetne. Nic nie miało znaczenia.

Wydawało mu się, że przez mgłę wypełniającą jego ciężką głowę widzi Albę. Pojawiał się i znikał z jego pola widzenia. Ale może tylko przyśniły mu się te odwiedziny.

Gawędził z nim. Mówił do niego. Sprzedawał mu swoje kity jak wszystkim innym. Bo facet z pewnością był niezłym kiciarzem. Tylko że chyba nikt o tym nie wiedział. Nikt tego nie zauważał.

To jak w tych reality show, gdzie zawsze wygrywał najgorszy skurwiel. I nie tylko wygrywał; niemal wszyscy inni jak idioci harowali na jego wygraną.

Przetrwanie najlepiej przystosowanego. Graham nauczył się tego w szkole. Nie miało znaczenia, czy człowiek był miły, czy grał fair, czy się nie mylił; liczyła się tylko umiejętność przetrwania.

Otworzył jedno oko i zobaczył Albę. Pochylił się nad nim jak jakaś kwoka, cały zatroskany i zmartwiony. Mył Grahamowi twarz.

Och, to musiał być sen.

Potem dał mu wody. Sen czy nie, Graham złapał butelkę.

- Czekaj. - Alba wyciągnęła rękę. - Weź to. Tabletki na dłoni.

- To antybiotyk. Na twoją nogę. Graham wrzucił pigułkę do ust i popił resztą wody.

- Mam jeszcze coś. - Jak jakiś magik wyciągnął batonik z muesli. Graham pokręcił głową. Teraz, gdy napił się wody, w jego żołądku

działo się coś obłądnego. Jakby miał się porzygać.

- Jogurt? - Alba uniósł pojemnik jogurtu. Skąd on to wszystko brał? Wyciągał z dupy?

- Nie. - Padł z powrotem na materac i zakrył oczy ręką. Alba dalej nad nim ślęczał. Uniósł chorą nogę Grahama i zaczął coś z nią robić.

- Co tam się dzieje?

- Oczyszczam twoją kostkę. - Ukazała się kolejna butelka wody. Alba odkręcił ją i polał ranę. Chłopak znów zamknął oczy. Słyszał, jak ktoś grzebie w plastikowej torbie. Odkręca kolejną butelkę. Znów jakaś ciecz polała się na nogę.

Usiadł jak oparzony.

- Woda utleniona - wyjaśnił Alba.

Przeszywający ból ustąpił miejsca pulsującemu ćmieniu; Graham znów padł na plecy. Alba dalej majstrował przy nodze. Owinął ją gazą i położył na poduszce. Drugą poduszkę wetknął Grahamowi pod głowę i przykrył go ciepłym, miękkim kocem.

- Zajrzę do ciebie później.

- Dzięki - odparł Graham, nie otwierając oczu. Nodze od razu się poprawiło. Koc był cudowny. Przepełniony wdzięcznością, otworzył oczy i złapał Albę za rękę.

- Dzięki, panie Alba.

W tym momencie kochał tego człowieka. Kochał go za hojność, troskę i uwagę, jaką mu okazał. Jeśli chciał, mógł ignorować gnijące ciało zwisające z sufitu.

- Jest pan wcieleniem dobroci.

Gdzieś w zakamarku głowy tliło się wspomnienie, skąd w ogóle wzięła się jego rana, i wiedział, że Alba stał za morderstwem jego matki, ale dobroć, jaką okazał mu teraz, wymazała wszystko, co złe. To był nowy świat. Nowy, wykrzywiony, pokręcony świat, w którym obowiązywały inne zasady. Wszystko sprowadzało się do punktu widzenia. Wszystko można zobaczyć w dobrym lub złym świetle. Bo nie istniało dobro ani zło. Tylko zasady ustanowione przez społeczeństwo.

A zresztą, to nie był prawdziwy świat, lecz jakaś alternatywna rzeczywistość, istniejąca tylko w głowie Grahama. Jeśli chciał lubić

Albę, mógł go lubić. Jeśli chciał ignorować gnijące ciało zwisające z belek, mógł robić i to.

Miał ciepły koc. I poduszkę.

Wszystko, czego potrzebował.

## Rozdział 34

Asystent koronera Dan Salsberry zatrzymał się przed kostnicą. Wziął dużą szarą kopertę z fotela pasażera i wysiadł ze swojej zielonej hondy accord.

Wszedł przez drzwi dostawcze i zatrzymał się tuż za progiem. W budynku panowała cisza. Sprzątaczkę nie było; wiedział też, że Rachel wróci do domu najwcześniej za godzinę. Sam o to zadbał.

Wspiął się po wąskich schodach, trzymając się po jednej stronie, żeby nie skrzypiały. Szedł na palcach; podeszwy adidasów prawie nie wydawały dźwięku. Ale ktoś taki jak Stroud pewnie słyszał przez ściany.

Nim Dan dotarł na drugie piętro, serce waliło mu już jak głupie. Znów przystanął, nasłuchiwał chwilę i ruszył korytarzem, trzymając się pasa orientального chodnika.

Przy drzwiach mieszkania schylił się i wsunął kopertę w szparę przy podłodze. Zapukał głośno, zawrócił na pięcie i pognał, jakby go diabli gonili.

Evan gapił się na kopertę na podłodze. Widniało na niej jego nazwisko, wypisane wielkimi literami.

Kto nie widział tej sceny milion razy w kinie i w telewizji? Czując mdłości przerażenia, podniósł list i rozdarł kopertę.

Zawierała kilka dużych, kolorowych zdjęć Grahama.

Przez ułamek sekundy Evan pozwolił sobie na załamanie, na obezwładniający strach. Ale już w następnej chwili pędził po schodach, z ręką na poręczy; przeskakując po kilka stopni, niemal leciał w powietrzu. Dotarł na poziom suterenu, pognał niskim korytarzem i wypadł za drzwi.

Nic. Nikogo.

Gasnące światło dnia odrzuciło go z powrotem do środka.

Wciąż ściskając kopertę w dłoni, osunął się na podłogę. Siedząc po turecku, dokładnie obejrzał zdjęcia.

Graham leżał na poplamionym materacu. Ubranie miał brudne,

włosy wisiały w tłustych strąkach. Na kilku zbliżeniach twarzy, oczy były szkliste, rozgorączkowane.

Wyglądał, jakby stracił zmysły.

Evan zmusił się, by obejrzeć następne zdjęcie.

To ujęcie tłumaczyło, dlaczego oczy Grahama miały tak niepokojący wyraz. Przedstawiało ciało - wiszące do góry nogami. Spuchniętego, oblepionego muchami trupa, którego włosy wyglądały znajomo.

Lydia?

Twarz dwa razy powiększona w stosunku do normalnej, pomiędzy wywiniętych warg zwisał język. Ciężko było stwierdzić, ale Evan był niemal pewien, że to Lydia.

Pakiet uzupełniał list z atramentowej drukarki. Pisany w pierwszej osobie, ale na pewno nie przez Grahama.

„Kochany tato,

Świetnie się bawię. Szkoda, że Cię tu nie ma".

I tyle. Żadnego żądania okupu. Nic.

O co tu chodziło? Kto za tym stał? Czego chciał? I skąd wiedział, że Evan jest u Rachel?

Zdjęcia i list można by wysłać do laboratorium, do analizy. Pewnie udałoby się namierzyć miejsce pochodzenia papieru i koperty. Ale to by zajęło wiele dni. Graham nie miał tyle czasu.

Pierwszą jego reakcją był telefon do Rachel. Na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał jego komórkę, poszedł do gabinetu i ze stacjonarnego aparatu zatelefonował na jej komórkę.

Poczta głosowa.

- Zadzwoń, kiedy odsłuchasz - rzucił i rozłączył się.

Mógł zadzwonić do Seymoura. Ale Seymour poczułby się w obowiązku aresztować go.

Patrol policji stanowej. Zły pomysł. Zamknęliby go bez pytania, przy okazji zaniedbując poszukiwań Grahama.

Evan jeszcze raz przejrzał zdjęcia, tym razem koncentrując się nie na Grahamie, ale wszystkim, co mogłoby mu dać jakąś wskazówkę. Znalazł ją na fotografii martwej kobiety.

Nieostre tło przedstawiało coś, co wyglądało jak ołtarz. Widział wystarczająco dużo starych rycin, by rozpoznać kościół w Starej

Tuoneli.

- Zgon? - zapytała dyrektorka domu opieki ze zdziwioną miną. - Nie, nie mieliśmy żadnego zgonu. Nie dziś.

Rachel cofnęła się myślami do rozmowy z Danem. Odebrał telefon z domu opieki i przekazał jej wiadomość.

- Dostaliśmy zgłoszenie... - wyjaśniła. Dyrektorka pokręciła głową.

- Nie od nas. Na pewno nie dzisiaj. Może któryś z domów opieki w mieście. Skołowana Rachel podziękowała jej i wyszła z budynku. Na parkingu odkryła, że złapała gumę.

Gapiała się na oponę, w nadziei, że może nie jest tak źle, jak wyglądało na pierwszy rzut oka. Było gorzej. Za mało powietrza, żeby jechać. Wyjęła komórkę i połączyła się z Assistance. Po dziesięciu minutach dyspozytor oddzwonił do niej i powiedział, że ktoś zjawi się za dwie, trzy godziny.

Robiło się ciemno. Ciemność oznaczała, że Evan będzie mógł wyjść z kostnicy, a ona chciała dopilnować, by tak się nie stało.

Zmieniała kiedyś koło. Dawno temu.

- Sama to zrobię.

Rozłączyła się, znalazła klucz i poluzowała śruby. Wywlokła zapas, rzuciła na ziemię i zaczęła podnosić furgonetkę lewarkiem.

To, co stało się zeszłej nocy między nią i Evanem, zdawało się odległe jak sen, który nie całkiem pamiętała. Kilka godzin po tym wydarzeniu wspomnienie zaczęło się zamazywać. Nie było jej wstyd, ale i tak unikała Evana, nie do końca wiedząc, jak poradzić sobie z konfrontacją. Czowała, że musi jeszcze przemyśleć ich zbliżenie, zanim porozmawiają.

Założyła koło zapasowe i opuściła lewarek.

W kole nie było powietrza.

Klucz wyslizgnął się z jej zwiotczałych palców i upadł na ziemię. Zmęczona. Nagle poczuła się taka zmęczona. Zamknęła oczy i oparła czoło o szybę w drzwiach kierowcy. Pomyślała, że odpocznie chwilę i potem zastanowi się, co robić.

Jakiś dźwięk przedarł się przez jej zmęczenie.

Drapanie.

Jeden długi, piskliwy zgrzyt.



Uniosła głowę i otworzyła oczy.

Na fotelu kierowcy siedziała Victoria.

Na oczach Rachel, zmartwiałej z przerażenia, Victoria przeciągnęła paznokciem po szybie między nimi.

Rachel zatoczyła się do tyłu. Sprężyła się do ucieczki, ale zatrzymała się, by spojrzeć jeszcze ostatni raz. Nie widziała już twarzy Victorii. Tylko dłoń, tylko paznokieć drapiący szkło.

Rachel nie oddzwoniła, a Evan nie mógł dłużej czekać. Stał w drzwiach kostnicy. Kiedy ostatni przebłysk światła zniknął z nieba, wymknął się drzwiami dostawczymi i szybko ruszył uliczką, trzymając się w cieniu i unikając latarni. Gdy zbliżał się samochód, chował się za drzewem czy murem, aż wszedł pod osłonę leśnego pasa, wijącego się przez miasto. Przedzierał się wzdłuż strumieni i stromych skarp, aż dotarł do granic własnej działki.

Pozostał w ukryciu, obserwując dom, by się upewnić, czy nikogo nie ma w pobliżu. W głębi ulicy zauważył podejrzany samochód. Ktoś siedział za kierownicą.

Tajniak.

Agenci po cywilnemu pewnie pilnowali domu, odkąd uciekł. Czekali, aż wróci.

Było to trochę dziwne, ale i satysfakcjonujące, że robił coś tak przewidywalnego. Zwierzę w ludzkiej skórze. Instynkt nakazywał powrót do strefy bezpieczeństwa.

Każdy w końcu chciał wrócić do domu.

## Rozdział 35

Stosunkowo łatwo przemknął niezauważony przez tajniaka. Biedak pewnie siedział tu cały dzień. Evan wyobrażał sobie, że po paru godzinach myśli zaczynają błędzić, oczy tracą ostrość. Człowiek zaczyna rozmyślać o tym, jak mu niewygodnie i że chce mu się sikać. Zaczyna się zastanawiać, dlaczego stacje radiowe grają w kółko te same dwadzieścia piosenek.

Zakradł się do piwnicy, zamknął za sobą drzwi. Zatrzymał się, nasłuchując odgłosów alarmu, który mógł zostać założony po jego ucieczce.

Nic się nie wydarzyło. Żadnego charakterystycznego pikania. Ale oczywiście brak dźwięków niczego jeszcze nie oznaczał.

Ruszył przez ciemny dom, pochylony, trzymając nisko głowę. Znalazł latarkę w biurku. Jego smith wesson zniknął. Żadna niespodzianka.

Przeszedł do biblioteki bez okien i zamknął za sobą drzwi. Zapalił latarkę i szybko przejrzał półkę z książkami, aż odnalazł oprawiony w skórę tom Dzieł Zebranych Szekspira. Otworzył książkę i wyjął glocka ze skrytki.

Nie powinno się w ten sposób traktować książek; cholerna racja. Ale to nie Evan tak ją zniszczył, a kiedy natrafił na tę osobliwość w antykwariacie, uznał, że schowek będzie idealny na jego pistolet.

W skrytce była też paczka nabojów.

Załaduj.

Schowaj resztę nabojów do kieszeni.

Przez chwilę, gdy stał tak otoczony zapachem książek, zatęsknił za swoim starym życiem - życiem sprzed dwóch tygodni. Teraz wydawało mu się wygodne i bezpieczne. Ale wtedy nie było Grahama. Nie było Rachel.

Wygrzebał wielki, zakurzony, zabytkowy atlas. Trzymając latarkę w zębach, przerzucał kruche, pożółkłe stronicę, aż odnalazł plan Starej Tuoneli. Wydarł go, poskładał i schował do tylnej kieszeni

dżinsów.

W sypialni znalazł kaburę na szelkach, wiszącą na haku w szafie. Evan od dziecka był obeznany z bronią. Jego ojciec zadbał, by syn umiał strzelać i obchodzić się z pistoletem, jeszcze zanim nauczył się jeździć na rowerze.

Zdjął płaszcz i założył szelki, wsuwając glocka do kabury. Dodatkowy magazynek trafił do kieszeni dżinsów, dodatkowe naboje do głębokiej kieszeni płaszcza, który znów włożył.

Gotowy do aktu drugiego.

To nie będzie łatwe.

Z kluczami w dłoni przeszedł przez cały dom i zbiegł do piwnicy. W drzwiach zatrzymał się, by przez chwilę nasłuchiwać.

Cisza, jeśli nie liczyć cykad i rechoczących żab.

W ciemności ruszył do garażu. Otworzył boczne drzwi i wszedł do środka, cicho zamykając je za sobą. Samochód stał na miejscu. Bał się, że policja go skonfiskowała, ale to by już była przesada.

Usadowił się za kierownicą.

Kluczyk w stacyjce.

Dwa głębokie oddechy.

Przekręcił kluczyk.

Silnik zamruczał basowo.

Evan dał mu sekundę, po czym wcisnął pilota przypiętego do osłony przeciwsłonecznej. Drzwi garażu zaczęły otwierać się ze zgrzytem.

Powoli. Tak cholernie powoli.

Evan wcisnął sprzęgło i wrzucił bieg, trzymając prawą nogę na gazie.

No już, drzwi. Ruszajcie się.

Kiedy uznał, że ma dość miejsca, wdepnął gaz i wystrzelił z garażu.

Samochód z rykiem pokonał stromy podjazd i gruchnął tylnym zderzakiem o krawężnik tuż przed nosem tajniaka. Poleciały iskry i zapiszczały opony, gdy Evan skręcił ostro w Benefit Street.

Policjant zapalił reflektory. Po sekundzie błyskał już kogut i wyła syrena.

Nie włączając świateł, Evan wrzucił dwójkę i przyspieszył. Trasę

wytyczył sobie w głowie, zanim jeszcze wyszedł z domu.

Skręcił w jedną uliczkę, potem w drugą, gość w policyjnym aucie wciąż siedział mu na ogonie. Evan był pod wrażeniem. I zaczynał się trochę martwić.

Nie chciał jechać przez miasto zbyt szybko, więc musiał polegać na ostrych zakrętach. Wiedział też, że im dłużej pościg potrwa, tym większe prawdopodobieństwo, że zostanie wezwane wsparcie, że go złapią i wsadzą do aresztu. Nie mógł do tego dopuścić.

Zjechał w dolinę, w samo serce Tuoneli. Nad torami, za magazynami, z powrotem pod górę i w prawo, prosto do Parku Miejskiego.

Spojrzał we wsteczne lusterko.

Pokazały się światła, migający kogut.

Koncentrując się na ulicy przed sobą, Evan przyspieszył, szybko skręcił w prawo i potoczył się w dół stromą, brukowaną alejką.

Urwisko Zakochanych.

Ciasny zakręt i znów w prawo.

Koła straciły kontakt z drogą. Niskie gałęzie zaczęły drapać boki samochodu, opony znów dotknęły ziemi.

Evan wyłączył silnik.

Wyskoczył z auta i zatrzasnął za sobą drzwi. Wąska alejka była ślepym zaułkiem, używanym kiedyś przez obsługę parku. Gdyby został zauważony, nie miałby jak uciec samochodem.

Pochylony, na ugiętych nogach, pobiegł pod osłonę kamiennego muru, który otaczał punkt widokowy nad klifem, zwanym Urwiskiem Zakochanych. Nad jego głową dwa snopy światła zatańczyły na pniach drzew. Światła przesunęły się, gdy samochód z piskiem opon pokonywał ostry wiraż.

Jedź dalej. Po prostu jedź dalej.

Evan skulił się jeszcze bardziej, z rękami przyciśniętymi do murku. Syrena i migające światło zakłóciły spokój parku.

Nasłuchiwał uważnie, czekając na jakiegokolwiek wahanie, najmniejszą oznakę, że kierowca cofa się lub zawraca. Samochód zatrzymał się - i znów pognał przed siebie.

Evan odczekał pełne pół godziny. W końcu wrócił do samochodu, wycofał pod górkę, na wąską alejkę, i ruszył za miasto.

## Rozdział 36

Daleki szelest i pomruk głosów łagodnie wydobyły Grahama ze stanu półprzytomności.

Było ciemno. Kompletnie czarno.

Odwrócił twarz w stronę drzwi. W czerni pojawiła się okrągła plama blasku, rozległo się szuranie kroków.

Do kościoła wszedł Alba z latarnią w dłoni. Jego buty zadudniły na podłodze. Postawił latarnię na najbliższej ławie.

- Jak się czujesz?

Travis, Craig i Brandon szli za nim.

Graham uniósł się z wysiłkiem, zapierając łokcie o materac. Głowę miał ciężką

i ruch sprawił, że zrobiło mu się słabo.

Alba pogrzebał w plastikowej reklamówce i wyjął świece, które zapalili wszyscy czterej. Kucnął obok Grahama, wydobył klucz i otworzył kłódkę.

- Fuj - powiedział Travis, unosząc rękę do twarzy i odchylając się do tyłu. - On śmierdzi.

Alba uśmiechnął się do Grahama, rozplątując łańcuchy.

- I kto to mówi.

Żarcik rozbawił wszystkich.

Graham kiwał głową i uśmiechał się, ile wlezie. Gdy łańcuchy opadły, poczuł się lekki, tak lekki, że musiał uważać, by nie wzlecieć pod sufit i dalej, przez dziurę w dachu. Chciało mu się pić. Nie był już głodny. Już od dawna nie czuł głodu.

Alba chyba czytał w jego myślach. Czy może Graham myślał na głos? Tak czy inaczej, Alba wyciągnął termos z napisem Brzoskwinka na ściance.

Boże, tamto miejsce w ogóle nie wydawało się realne. To tak. To było realne.

Tamta dziewczyna... Jak jej było na imię...?

Alba odkręcił korek i podał termos Grahamowi. To był jeden z tych wysokich, wąskich termosów bez uchwytu.

Alba się roześmiał. Z czego on się śmiał? Uniósł termos do ust Grahama.

- No, wypij to. Poczujesz się lepiej.

Gdy tylko zimny metal dotknął jego warg, ciało Grahama zareagowało odruchem przełykania.

Gęste. Zimne. Słonawe. Metaliczne. Cofnęło go. Spojrzał w dół.

- Co jest, do cholery?

- Po prostu wypij. Graham otarł usta i spojrzał na palce. Czerwone.

- Co to jest?

- Przecież wiesz, co to jest.

- Krew? Graham zerknął w górę, w miejsce, gdzie wisiała ONA.

- Zdjęliśmy to, pamiętasz? - rzekł Alba. - Dzisiaj rano. I nie dałbym ci jej krwi.

Za kogo ty mnie uważasz? To by było chore.

Graham pomyślał o krwi, którą, jak słyszał, ukradziono ze szpitala. Z jakiegoś powodu to nie wydało mu się takie najgorsze. Paczkowany towar z półki. Prawie jak zakupy spożywcze. Może krew w termosie to była właśnie ta krew. Może lepiej nie będzie pytał.

- Chcesz być Nieśmiertelny, zgadza się? - zapytał Alba.

Graham spojrzał nad jego ramieniem na Trávisa, który stał nieopodal, obserwując całą scenę. Przesadnie pokiwał głową i uniósł do ust wyimaginowane naczynie, udając, że pije.

Graham wyciągnął rękę i chwycił termos. Przysięgłby, że po tym jednym łyku już czuł się silniejszy. I wcale nie było to takie paskudne, wmawiał sobie. Po prostu go zaskoczyło, i tyle.

Spojrzał na termos. Nie był pełny. Mniej niż połowa. Dobrze. Spojrzał na Albę.

- Ma pan słomkę?

Roześmiali się. Wszyscy. Travis zgiął się w pół, opierając ręce na kolanach. Ta, jestem pieprzonym klaunem. Dajcie mi baloniki-kielbaski, to wam zrobię pieska.

On naprawdę chciał słomkę.

Uniósł termos do ust i wypił zawartość dwoma haustami, krztusząc się lekko po każdym łyku. Kiedy skończył, oddał termos

Albie i otarł usta grzbietem dłoni.

Czuł krew, zalegającą zimnym ciężarem w żołądku. Może to była bydłęca krew. Może to w ogóle nie była krew.

- Skąd to wzięliście? - zapytał, nie mogąc się powstrzymać, choć wcale nie chciał tego wiedzieć. Krew zaczynała się rozgrzewać, trawić. Nie jadł od tak dawna, że teraz jego żołądek wydawał się wielki jak balon. Burczał, budził się do życia, usiłując wymyślić, co ma zrobić z tym gównem. - To była krew człowieka?

- No jasne. - Travis uśmiechnął się szeroko. - Możemy ją już wprowadzić?

Ją? Dawca był z nimi? Wcale mu się to nie podobało. Ani trochę.

Travis zniknął za drzwiami. Graham słyszał szuranie stóp w uschniętym zielsku i trawie. Po chwili jakiś ruch w szparze przyciągnął jego wzrok. Ktoś wpadł do środka, potykając się.

Dziewczyna.

Dziewczyna, której imienia nie mógł sobie przypomnieć.

Isobel.

Usta miała zaklejone kawałkiem srebrnej taśmy izolacyjnej, ręce skrępowane w nadgarstkach tą samą taśmą. Ubrana w czarną spódnicę i różowy sweter, który pamiętał z tamtego życia, dawno temu. Jej kolana nad czarnymi botkami były pokryte zaschniętą krwią. A twarz... jej twarz była szara, z ciemnymi sińcami pod oczami.

Zagapiła się na niego, przerażona.

Cieszył się, że trup nie wisi już na belce.

Och, Isobel. Gdybyś ty to widziała.

Zwariowałyby od tego. Każdy by od tego zwariował.

Chciał się poruszyć, zerwać i podbiec do niej. Ból przeszył jego kostkę; padł z powrotem na materac.

- Udawaj, że jesteś jednym z nich - szepnął głos matki. - Niech myślą, że jesteś jednym z nich.

Spojrzał na belkę nad swoją głową. Lina wciąż była na miejscu, choć ciało zniknęło.

- Żeby ich oszukać, trzeba będzie pójść na całość. To jedyny sposób. Naprawdę stać się jednym z nich. Są przebiegli. Inaczej cię przejrzą.

Teraz zrozumiał, że głos wcale nie dochodzi z pomieszczenia. Dobiegał z zewnątrz, jak dalekie echo.

- Znacie się, o ile wiem - powiedział Alba, uważnie obserwując Grahama.

Naprawdę dziwaczne było to, że teraz, po wypiciu krwi, myśli Grahama już się nie plątały. A wzrok miał nawet ostrzejszy niż kiedyś. Nagle zrozumiał, że to egzamin, i jeśli go zda, zostanie Nieśmiertelnym.

- Tak. - Zwilżył wargi językiem. - Znam ją. Co oni chcieli zrobić z Isobel?

Jego spojrzenie znów powędrowało w stronę belek. Wiedział, co się w końcu stanie. Wiedział, gdzie skończy Isobel. Alba kiwnął ręką w jej stronę.

- Możecie zdjąć taśmę z jej ust.

Travis, który trzymał ją za łokieć, podniósł rękę i zerwał taśmę. Isobel skrzywiła się, ale nie krzyknęła. Graham był pod wrażeniem.

- Jeśli choćby piśniesz, zakneblujemy cię z powrotem - ostrzegł Alba. - A zresztą, nawet jak będziesz wrzeszczeć, nikt cię tutaj nie usłyszy. - Odwrócił się plecami do wszystkich i schylił nad ławką, koło latarni. Pogrzebał w reklamówce i wyjął małe, plastikowe pudełko.

- Wstań.

Graham wstał, tym razem o wiele ostrożniej, opierając ciężar na zdrowej nodze. Alba trzymał w dłoni mały, metalowy przedmiot. Coś w rodzaju nożyka z jednym ostrzem, podobnego do maszynki do golenia.

Malarze zdrapują czymś takim farbę z szyb.

- Weź to. Graham wziął.

- Myślę, że wiesz, co masz zrobić.

- Stań się jednym z nich. Graham spojrzał na nożyk w dłoni i na Isobel.

- Tak. - Podeszedł do niej.

Jej blade usta drżały. Łzy błyszczały w oczach. Chciał jej powiedzieć, że przeprasza, przynajmniej wyrazem twarzy, ale Alba nie był głupi. Przejrzałby go na pewno.

Więc Graham pozostał obojętny. Przez chwilę zastanawiał się, czy



nie zawrócić i nie zaatakować Alby, ale to nie mogło się powieść. Ledwie mógł stać, a co dopiero załatwić czterech chłopa.

- Dlaczego to robisz? - Isobel patrzyła mu prosto w oczy, nie wierząc, że jest częścią bandy. Graham chciał odwrócić wzrok, ale Alba uznałby to za słabość.

- Myślałam, że jesteś inny. - Głos miała zmęczony. Brakowało jej tchu. Całe szczęście, że sam był w tak koszmarnym stanie. Inaczej mógłby się zdradzić, jak bardzo się o nią boi.

- Jestem inny.

- Uważasz się za wampira? Wampiry nie istnieją. - Spojrzała na Albę, Travisa, Craiga. - Wampiry nie istnieją.

Graham sięgnął w dół i uniósł jej związane ręce. Zgięła łokcie i kurczowo przycisnęła przedramiona do piersi. Teraz zobaczył bandaż na jednym z jej nadgarstków.

- Nie za głęboko - ostrzegł Alba.

Nauczyciel zawsze pozostanie nauczycielem, nawet jeśli ma kompletnie popieprzone w głowie.

Isobel go zignorowała. Wciąż patrzyła na Grahama, jakby w kościele nie było nikogo poza nimi.

- Ufałam ci - szepnęła. - Tobie jednemu ufałam. Schylił głowę, by nie zobaczyła, jak przełyka ślinę.

- Nie trzeba było.

- Broniałam cię, kiedy wszyscy inni nazywali cię odmieńcem. Wbił ostrze.

Kreska pojawiła się na białej skórze. Czerwone koraliki. Krew szybko wezbrała, zaczęła ciec po przedramieniu i kapać na podłogę. Alba wyciągnął rękę i Graham oddał mu nożyk. W końcu uniósł rękę Isobel do ust i zaczął ssać.

- Nienawidzę cię - rzuciła cicho. Z pochyloną głową, z krwią na wargach, Graham spojrzał na nią.

- Wiem.

Podawali ją sobie, jeden drugiemu. Jak puszkę piwa czy coli. Kiedy wróciła do Grahama, zobaczył, że krwawi dość mocno.

Czyżby zaciął ją za głęboko? Dotarł do tętnicy?

Tym razem nie odezwała się. Nawet na niego nie spojrzała. Gdy zaczął jeszcze raz unosić jej odsłonięty nadgarstek do ust, resztki

koloru zniknęły z jej twarzy, gałki oczu wywróciły się do góry.

Osunęła się; złapał ją, zanim padła na podłogę.

Travis pomógł zaciągnąć ją na materac. Alba wyciągał już rolkę bandaża; zręcznie opatrzył nadgarstek.

- Nie chcę, żeby się wykrwawiła - rzekł. - Jeszcze nie teraz.

To było nieuchronne. Powieszają głowę w dół na belce i spuszcza całą jej krew.

Alba kucnął obok Isobel i pogłaskał jej policzek.

Graham miał ochotę odtrącić jego rękę.

Alba objął ją i przytulił do siebie. Patrząc na Grahama, przycisnął wargi do jej skroni, zostawiając krwawą smugę.

- Ciągłe ją lubisz, co? Serce Grahama łomotało ostrzegawczo.

- Nigdy jej nie lubiłem.

- Byliście przyjaciółmi.

- Znajomymi.

- Pieprzyłeś ją?

Graham zamknął oczy, oddychając głęboko.

Miał ochotę uderzyć Albę i zedrzyć z niej jego rękę. Zawsze był dość wyluzowanym facetem, niełatwo się wkurzał. Ta wściekłość go zaskoczyła, nie czuł jej nigdy wcześniej.

- Nie rób tego - szepnęła jego matka z miejsca, gdzie zawlekli i porzucili ciało. - Nie trać panowania.

- No więc?

- Nie - rzucił szybko, niemal warknął.

- Ale chyba nie będziesz się tu bawił w dżentelmena, co?

- Dlaczego miałbym to robić? Spotykaliśmy się, ale nic poza tym.

Była pod ręką, i tyle. Laska jak inne. - Wzruszył ramionami.

Alba podniósł łańcuch.

- Nie - zaprotestował Graham.

- Przykro mi, mały.

- Myślałem, że teraz jestem Nieśmiertelnym. - Czy cała ta szopka była na darmo?

- Jesteś, ale nie mogę ci jeszcze pozwolić, żebyś sobie stąd poszedł.

Powinien walczyć. Powinien próbować ucieczki. Niepotrzebnie słuchał Lydii.

Czy kiedykolwiek w życiu dała mu dobrą radę? Dlaczego zaczął słuchać tej suki teraz, kiedy nie żyła?

To był podstęp. Miała konszachty z Albą. Razem w tym siedzieli.

Przeciągnął dłonią po oczach. Jego myśli znów się plątały, chwile jasności umysłu zdarzały się coraz rzadziej.

Adrenalina, która napędzała go przez ostatnie dziesięć minut, zużyła się. Zadrzał. Sala zaczęła wirować. Padł na podłogę i krzyknął, gdy ostry ból przeszył jego nogę.

Travis i Craig skuli ich razem – Grahama i wciąż nieprzytomną Isobel – a Alba nadzorował operację.

Na łyżeczki.

Tak się to nazywało. Ta pozycja, brzuchem do pleców, twarzami w tę samą stronę, on za nią. Isobel, zwinięta w pozycji płodowej, wciąż miała skrępowane nadgarstki. Owinęli ich oboje łańcuchem, wokół piersi, pasa i bioder, ściągając mocno każdą pętlę.

Graham zaniepokoił się w pewnej chwili, kiedy nie reagowała na to szarpanie i układanie. Czyżby nie żyła? Nie, widział, że jej pierś wznosi się i opada.

Gdy Travis zajmował się spinaniem łańcucha kłódką, Craig bawił się gęstym kosmykiem włosów Isobel. Nie były bardzo długie, więc pochylił się naprawdę blisko, by przyłożyć sobie pasmo pod nos, jak wąsy. Włosy Isobel miały prawie ten sam kolor, co włosy Craiga. Graham zagapił się na niego, bo przez chwilę nie mógł zrozumieć, jakim cudem Craig ma wąsy. Craig poruszył ustami i wąsy podskoczyły.

- Spadaj.- Graham go pchnął.

Craig puścił włosy i zatoczył się do tyłu.

- Co jest, gnojku. - Odwrócił się, by spojrzeć na pozostałych, wskazując Grahama palcem. - Popchnął mnie. Widzieliście to? Lepiej okleić mu ręce.

- Nie! - Graham spanikował, ale zmusił się do spokoju. - Muszę jakoś pić. Potrzebuję wody. - Oblizwał spękane wargi. - Zostawcie chociaż jedną butelkę wody.

Alba był zirytowany i zdegustowany nimi wszystkimi.

- Idziemy. - On i jego gang zdmuchnęli świecę, zabrali latarnię i latarki, zostawiając Grahama z Isobel samych w ciemności.

## Rozdział 37

W Tuoneli szarówka nigdy nie trwała długo i zmrok zawsze nadchodził szybko, jakby ktoś gasił świecę czy zaciągał zasłonę. Niebo wyglądało jak granatowy aksamit, kiedy Rachel sprawdziła komórkę i stwierdziła, że przegapiła telefon od Evana - z jej domowego numeru. Pewnie wtedy, kiedy czekała na odpowiedź z Assistance. Zadzwoiła do siebie do domu, potem spróbowała na jego komórkę, ale nie odbierał.

Rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości, schowała telefon do kieszeni i wspięła się na ostatnie wzniesienie łamanym ciągiem stromych stopni. Gdy dotarła do poziomu ulicy, zatrzymała się, by złapać oddech - i ujrzała radiowóz Seymoura zaparkowany przed kostnicą.

Przebiegła ulicę i obiegła budynek, docierając do drzwi dostawczych. Nie były zamknięte na klucz. Wpadła do środka i ujrzała ojca w korytarzu przed jej gabinetem. W świetle sufitowych lamp kapelusz rzucał głęboki cień na jego twarz.

- Zgłoszono zaginięcie Isobel Fry - oznajmił. - Nie wróciła do domu wczoraj wieczorem.

Evan widział się z nią wczoraj wieczorem.

- A pamiętasz tę dziewczynę, która zaginęła na północ od miasta?  
- zapytał Seymour.

- Właśnie się dowiedziałem, że tamtej nocy Evan był w okolicy. Zapłacił kartą kredytową na stacji benzynowej pięć kilometrów od miejsca, gdzie ostatnio widziano tę kobietę.

Fizycznych i poszlakowych dowodów gromadziło się coraz więcej. Gdy dodać do tego zaniki pamięci i dziwne zachowanie Evana - nie mógł już bardziej wyglądać na winowajcę.

Rachel też czuła się winna. Pomogła mu uniknąć aresztowania. Jeśli Isobel nie żyła, była to wina Rachel.

Spojrzała w górę, w stronę swojego mieszkania.

- Nie ma go tam - rzekł ojciec, z łatwością odczytując jej myśli. -

Już sprawdzałem. Niedawno zjawił się w swoim domu. Uciekł samochodem i zgubił policjanta, który jechał za nim.

- Myślisz, że mogę wiedzieć, dokąd pojechał? Spojrzał na nią wyczekująco.

- Miałem taką nadzieję.

Minęła go szybko, niemal wbiegła do prosektorium. Zaczęła otwierać szuflady lodówki. Jedna, druga, trzecia. Jedynym lokatorem było z mumifikowane ciało.

- Zgubiłaś coś? - zapytał tato, stając za jej plecami.

- Tylko sprawdzam.

- Jadę teraz do domu Evana. Może znajdę jakieś wskazówki. Rachel zamknęła szufladę z głośnym trzaskiem.

- Jadę z tobą.

Seymour nie spieszył się i nie włączył syreny. Prowadził spokojnie i sprawnie, rozparty na fotelu, z jedną ręką na kierownicy. Równie dobrze mogliby jechać do Dairy Queen. On zamówiłby puchar lodowy z gorącym karmelem, a ona dostałaby rożek z posypką. Usiedliby przy piknikowym stole pod dębem i patrzyli, jak świeżo wylęgte jętki śmigają nad rzeką.

Seymour wziął ostatni zakręt, wjechał na wzgórze i zatrzymał auto pod domem Strouda. Na miejscu czekał już samotny radiowóz, przed drzwiami stał policjant. Seymour zaciągnął hamulec ręczny i wyłączył silnik.

- Wszystkie inne patrole są w domu Isobel - wyjaśnił.

Na ganku wyciągnął pistolet. Zamek w drzwiach został otwarty wcześniej.

Seymour pchnął je i wszedł do środka. Kiedy powiedział, że już wolno, Rachel weszła za nim.

Stroud był wszędzie. To miejsce wiązało się z Evanem tak bardzo, jak tylko dom może być związany z człowiekiem.

Zmusiła się, by przejść przez salon, szukając jakiegokolwiek odstępstwa od zwykłego stanu rzeczy, jakiegokolwiek wskazówki, dokąd Evan mógł pojechać.

Czy zabił Isobel wczoraj w nocy, zanim wrócił do kostnicy? Zanim się kochali? Czy też uprawiali seks? Cokolwiek to było.

Przebrnęła przez ten dzień jak we mgle, jakby umyślnie starała

się zapomnieć, co zaszło między nimi. Teraz skoncentrowała się na minionej nocy i wspomnienia powróciły niepowstrzymaną falą. Oczami duszy zobaczyła Evana z apaszką Nieśmiertelnego na szyi.

Evan jest naśladowcą Manchestera.

Po długiej chwili wyprostowała się i spojrzała na ojca.

- Evan myśli, że jest Nieśmiertelnym.

- Poniekąd dlatego tu jesteśmy - odparł Seymour.

- Nie, chodzi mi o to, że on uważa się za reinkarnację Richarda Manchestera. Seymour zrobił sceptyczną minę.

- To się wszystko układa w całość - mówiła pospiesznie Rachel. - Wszystko. Jego fascynacja Starą Tuonelą. Nawet jego choroba. W szczególności jego choroba.

- Chcesz powiedzieć, że jego choroba nie jest prawdziwa?

- Jest prawdziwa. Właśnie ona doprowadziła do tego wszystkiego. Zastanów się. Ludzie od lat oskarżają go, że jest wampirem. Traktują go jak odmienca. Więc stracił poczucie rzeczywistości. W swoim własnym przekonaniu stał się wampirem. Stał się Nieśmiertelnym. Fantazje zastąpiły to, czego brakuje w jego życiu. Jako wampir może być silniejszy niż Evan Stroud. Potężniejszy niż Evan Stroud. Może być czymś więcej niż w rzeczywistości.

Zeszłej nocy wciągnął ją w swoją fantazję. Zeszłej nocy i ona w nią uwierzyła.

- To interesująca teoria, skarbie. Ale szczerze mówiąc, nie obchodzą mnie te wszystkie psychologiczne bzdury. Nie chcę wchodzić do głowy Strouda i spacerować sobie po niej, zastanawiając się, dlaczego robi to, co robi. Ja tylko chcę go powstrzymać.

Seymour sprawdził automatyczną sekretarkę Evana. Raptem kilka wiadomości, wszystkie stare. Dwie od wydawcy, jedna od agenta, kolejna od ojca i jeszcze dwie od firmy pielęgnującej trawniki. Wydawca i agent chcieli poznać przybliżony termin dostarczenia kolejnej książki.

Jak szybko wszystko się zmieniało.

- Widocznie zadzwonili, zanim rozeszła się wiadomość, że jest poszukiwany - domyśliła się Rachel.

Przerzuciła stertę poczty na stole, ale nic nie wpadło jej w oczy.

- Przyszedł po samochód, to oczywiste - stwierdziła. - Ale co jeszcze mógł zabrać?

- Pieniądze. Kraty kredytowe. Ubrania na podróż. Może paszport.

- Więc myślisz, że spróbuje wyjechać z kraju.

- Tak mi się wydaje.

- Może podróżować tylko nocą.

- Dojedzie tak daleko, jak zdoła, a potem zatrzyma się na dzień.

- Nie wydaje mi się, żeby uciekał. Wciąż nie odnaleziono Grahama.

- Jeszcze dwa tygodnie temu nie wiedział o istnieniu tego dzieciaka. I spójrzmy prawdzie w oczy. Znasz statystyki. Poszukiwania Grahama trwają już o wiele dłużej niż decydujący przedział czasowy. Evan też pewnie to wie.

Rachel wyjęła komórkę i spróbowała jeszcze raz dodzwonić się do Evana. Nic. Prawdopodobnie miał wyłączony telefon.

Następnym pokojem, do którego weszli, była biblioteka.

Idąc korytarzem, Rachel zdołała jakoś przemknąć obok fotografii kobiety w wannie, nawet nie odwracając głowy w jej stronę. W bibliotece dostrzegła dużą, cienką książkę balansującą na stercie o wiele mniejszych.

Atlas hrabstwa Juneau.

Podniosła go i zaczęła przeglądać. Znalazła wyrwaną stronicę. Gdy przyjrzała się mapom na sąsiadujących kartach, spojrzała na ojca.

- Wiem, dokąd pojechał. Tam, gdzie wszystkie wampiry. Do Starej Tuoneli.

## Rozdział 38

Isobel ocknęła się powoli, ale wciąż była zamroczona. I taka zmęczona. Zbyt zmęczona, by nawet spróbować otworzyć oczy. Gdy tak leżała na boku, z nadgarstkami związanymi przed sobą, do jej świadomości zaczął stopniowo docierać ból i pieczenie otarć na biodrze, udzie, obojczyku. Spróbowała się poruszyć, przeciągnąć, ale nie mogła; była skrepowana nie tylko taśmą, ale na dodatek ciężkim łańcuchem.

Oddech.

Za plecami.

Zachłysnęła się ze strachu i gwałtownie otworzyła oczy, dysząc jak w gorączce.

Czerń.

Nigdy nie widziała takiej ciemności. Napierała. Przygniatała ją. Zaczęła się szamotać, walcząc z więzami; przerażenie i chęć ucieczki przyćmiły wszelkie myśli.

Wrzasnęła.

Dłoń zakryła jej usta.

- Ćśśś - zachrypiał głos prosto do jej ucha.

Szarpnęła się mocniej, z jej gardła wyrwał się stłumiony skowyt.

- Isobel! - Trzymający ją człowiek potrząsnął nią lekko. Przestała walczyć, ale oddech wciąż miała przyspieszony, płytki.

Tamten powoli zdjął rękę z jej ust.

- Graham?

- Tak, to ja.

Uspokoila się na moment, ale po sekundzie znów zeszywniała. On był jednym z nich. Był Nieśmiertelnym.

- G-gdzie my jesteśmy?

- W kościele.

- A co ty tutaj robisz?

- Mam cię pilnować. Żebyś nie krzyczała i nie próbowała uciec.

- Gdzie Alba?



- Nie wiem.
- Jest tu jeszcze ktoś?
- Tego też nie wiem. Może tak naprawdę nie należał do nich.

Może tylko udawał dla własnego dobra.

- Musimy się stąd wydostać. Propozycję przywitała długa cisza.
- Nie słyszałaś, co przed chwilą powiedziałem? - zapytał. - Mam cię pilnować.

Żebyś nie uciekła.

Oboje byli okręceni łańcuchem, związani ze sobą.

- Ty też jesteś więźniem.
- Chwilowo. To jest egzamin. Egzamin, który zamierzam zdać. Pomyślała o chłopaku, którego znała, próbując odnaleźć go w tym obcym. Nikomu nie można ufać. Czowała się jak ostatnia idiotka. Przecież nawet marzyła o nim. Starła się z całych sił uniknąć tych wszystkich konwencjonalnych bzdur z popularnych romansideł, a jednak marzyła o nim.

- Piłeś moją krew - powiedziała. - Zdajesz sobie sprawę, jakie to chore?

- Zależy od punktu widzenia.
  - Naprawdę uważasz, że stałeś się wampirem?
- Bo piłeś moją krew?
- Jeszcze nie. Jeszcze nim nie jestem.
  - Wampiry nie istnieją.
  - Wierzysz w Boga?
  - Tak. Chyba tak.
  - A masz dowód, że On istnieje? Zdrada Alby bolała, ale zdrada Grahama bolała o wiele bardziej.
  - Byłam dla ciebie dobra. Pomagałam ci. Broniałam cię. Nauczyłam cię dziergać. - Głos jej się załamał.
  - Nie bierz tego do siebie.
  - To wszystko śmierdzi na kilometr. Tak jak ty. Poruszył się za jej plecami. Dotknął jej włosów.
  - Za to ty ładnie pachniesz.
  - Wampiry nie istnieją.
  - Zapomniałaś? Mój ojciec jest wampirem. Czyli ja jestem synem wampira.

Żałowała, że go nie widzi. Że nie może spojrzeć mu w oczy. Może wtedy zdołałaby przemówić mu do rozumu. Może potrafiłaby stwierdzić, czy on wierzy w to, co mówi.

- Oni mnie zabijają. Wiesz to, prawda?

- Nigdy nie chciałaś umrzeć? Nie odpowiedziała.

- Wszyscy o tym myślą w takim czy innym momencie. Wiem, że ty też myślałaś. Jeśli naprawdę tego chcesz, Alba wyświadczy ci przysługę.

Powietrze w kościele było zimne, ale Isobel zauważyła nagle, jak bardzo grzeje ciało Grahama. Ciepło wręcz od niego buchało. Mówił też dziwnie, tak jakoś żarliwie, a jednocześnie chwilami jakby bełkotliwie.

Uniosła związane ręce i zaczęła gryźć taśmę hydrauliczną. Gdy udało jej się zrobić jedno porządne rozdarcie, poszło już łatwiej.

- Przestań - rzucił.

Oddarła zębami wąski pasek. Wypluła go i zaczęła poruszać rękami, wykręcać je, aż w końcu je rozdzieliła. Jej mięśnie były zdrętwiałe i z początku nie miała nad nimi władzy. Wreszcie, powolnym niezręcznym ruchem przeniosła jedną rękę za siebie - i dotknęła skroni Grahama.

- Jesteś rozpalony. Przeciągnęła dłonią po jego policzku.

Poczuła zarost i znów wróciło wrażenie, że to wcale nie Graham, lecz ktoś zupełnie inny, ktoś, kogo nie знаła. Miał kanciastą szczękę, wystające kości policzkowe. Przypomniała sobie, jak wyglądał, kiedy zobaczyła go w tym kościele. Jak jakiś bezdomny. Chudy, z rzepkami kolan sterczącymi przez dzinsy.

- Zdaje się, że mam gorączkę.

- Potrzebujesz lekarza. Burknął z irytacją i odgonił jej rękę jak muchę.

- Przestań mnie namawiać do czegoś, czego i tak nie zrobię. Zmieńmy temat. - Umilkł na chwilę, szukając nowej myśli.

- Lubisz czytać?

- Czytać? - To był ten jego inny temat?

- No, książki. Czy lubisz czytać książki.

- Nie powiem ci już nic o sobie. - 1 nie miała zamiaru pozwolić, żeby ją zagadał. - Graham, posłuchaj mnie. Musimy spróbować się

stąd wydostać. Zanim... ktoś... przyjdzie...

Nagle nie miała siły mówić dalej. Głos zamarł jej w gardle, podbródek opadł na pierś. Ocknęła się gwałtownie, ale natychmiast znów zaczęła przysypiać.

- Spać... mi się chce...

- Straciłaś dużo krwi. Tak się dzieje, kiedy wykrwawiasz się na śmierć. Jeśli się martwisz, że będzie bolało, to się nie bój. Po prostu zasypiasz. I więcej się nie budzisz. Nic wielkiego.

Nic wielkiego. Jej śmierć to nie będzie nic wielkiego.

- Jesteś zwierzęciem. Jesteś gorszy od zwierzęcia. Nienawidzę cię. Brzydzę się tobą.

- Już to mówiłaś. Nic go nie ruszało.

Chciała go zranić. Chciała się na nim odegrać, chociaż trochę.

- Słuchałam tej twojej głupiej płyty z głupimi piosenkami. Nie miałam ochoty, ale zrobiłam to przez grzeczność.

Uwielbiała je, wszystkie, co do jednej. Wieczorami słuchała ich w łóżku, ze słuchawkami w uszach.

- Są okropne. Żałosne, cukierkowe, naiwne gówno. Głupie jak but. Moi rodzice są muzykami klasycznymi. Znam się na dobrej muzyce. To, co mi dałeś, może się podobać komuś takiemu jak ty, kto nie ma pojęcia o muzyce. Takich piosenek mogłoby słuchać dziecko.

Chciała powiedzieć więcej, ale ta tyrada ją wykończyła. Próbowwała podnieść rękę, ale nie była w stanie. Oczy znów jej się zamknęły, ciało zwiotczało. Zanim straciła świadomość, zdawało jej się, że słyszy jakiś dziwny dźwięk. Jakby szloch.

Travis stał przed swoim domem, z rękami w kieszeniach, przestępując z nogi na nogę. Czekał, aż przyjedzie po niego Johnson. To naprawdę miało się stać. Pułapka została zastawiona. Wszystko szło tak, jak miało pójść. Musiał przyznać, że z początku był sceptyczny. Bawił się w te całe wampiry, bo lubił takie klimaty. Ale to już przestało być zabawą.

Poklepał się w pasie, sprawdzając, czy pistolet ojca jest na miejscu. Drzwi domu otworzyły się i mama wyjrzała na dwór.

- Skarbie, nie zapomnij kurtki. Dzisiaj naprawdę przyda ci się coś

ciepłego.

Podszedł i wziął od niej dżinsową kurtkę.

- Dzięki. - Zdał sobie sprawę, że może nie wrócić. Zza rogu wypadł samochód i zatrzymał się z piskiem.

- Wolałabym, żeby Craig nie jeździł tak szybko - oświadczyła matka. - Powiedz mu, żeby tak nie szalał.

Travis roześmiał się i cmoknął ją w policzek.

- Nara, mamuś.

Odwrócił się, zbiegł po schodkach i wskoczył do samochodu. Johnson wrzucił bieg i odjechali z rykiem silnika. Pięć minut później gnali już autostradą. To było to. Tej nocy wszyscy staną się nieśmiertelni.

## Rozdział 39

Zielona toyota śmignęła autostradą; cyfrowy wyświetlacz na pistolecie radarowym stanowego patrolu pokazał sto szesnaście kilometrów na godzinę. Przy ograniczeniu do dziewięćdziesięciu. Funkcjonariusz John Malcolm odłożył pistolet na bok, włączył światła i syrenę i ruszył, strzelając zwirom spod opon.

Nie cierpiał stać z radarem, uwielbiał za to tę część roboty.

Ścigany pojazd nie zwolnił.

Nie było w tym nic niezwykłego. Czasami kierowcy dopiero po paru minutach orientowali się, że są ścigani. Ale tym razem uciekające auto jeszcze przyspieszyło. Wezwał wsparcie przez radio, podając swoją pozycję i kierunek pościgu. Poprawił się na siedzeniu, wyprostował plecy i chwycił kierownicę obiema rękami. Jego radiowóz miał sporo koni pod maską - John szybko zmniejszał dystans dzielący go od toyoty, aż znalazł się dość blisko, by odczytać rejestrację. Włączył długie światła, zdjął mikrofon z uchwytu i podał numer dyspozytorowi.

W aucie było widać trzy głowy. Wszystkie wyglądały na męskie. Osoba na tylnym siedzeniu odwróciła się. Nagle szyba w aucie Johna, ta od strony pasażera, strzeliła jak prażona kukurydza i rozsypała się migotliwymi okruchami.

John skręcił gwałtownie i omal nie stracił panowania nad kierownicą, ale jakoś zmusił radiowóz do posłuszeństwa, jednocześnie zostając bardziej w tyle.

Strzelali do niego. Jezu. Pracował jako glina od pięciu lat i jeszcze nikt do niego nie strzelał.

To była nadrzeczna okolica, więc krajobraz zmieniał się szybko; łagodnie falujące wzgórza ustępowały stromym klifom i ostrym zakrętom. Mokra jezdnia, w dodatku noc pochmurna i ciemna. Gorszy mógł być tylko deszcz.

Zwolnił przed ciasnym zakrętem. Tylna opona złapała zwirowe pobocze i przez sekundę John myślał, że będzie dachował. Gdy odzyskał kontrolę, z łomoczącym sercem, przyspieszonym

oddechem, stwierdził, że stracił kontakt wzrokowy ze ściganym samochodem.

Przejechał jeszcze trzy kilometry.

Nic.

Nie mogli uciec. A przynajmniej nie mogli się wysforować aż tak daleko. Zwolnił, wyłączył syrenę i koguta, zawrócił szybko i ruszył w kierunku, z którego przyjechał.

Opuścił szybę i wycelował reflektor w pobocze po stronie drogi nieograniczonej górującym klifem. Podążał za ostrym łukiem drogowej barierki, aż natrafił na wyrwany fragment.

Idioci.

Zatrzymał się, wyjął potężną, policyjną latarkę, wysiadł i podszedł do wyrwy w barierze. Na dnie wąwozu zobaczył zielone auto, leżące na dachu. Jedno z tylnych kół wciąż się obracało.

Nie dostrzegł żadnego ruchu.

Połączył się z dyspozytorem i podał swoją pozycję.

- Będą potrzebne dwie karetki. - Bał się, że jest już za późno. Pewnie zaraz będzie wzywał koronera.

Co teraz?

Ktoś mógł przeżyć i potrzebować natychmiastowej pomocy medycznej. Ale ten ktoś mógł mieć pistolet.

Czekał i nasłuchiwał, nie mogąc się zdecydować. Nagle wydało mu się, że słyszy słaby krzyk.

Z wyciągniętym pistoletem zjechał na butach po stromym stoku. Kiedy dotarł na dół, pochylił się i wycelował latarkę w zmiażdżony samochód. Osoba za kierownicą wyglądała na martwą. Okrążył auto i poświecił latarką od strony pasażera. Żołądek podszedł mu do gardła; musiał odwrócić oczy. Zmiażdżona głowa.

Z całą pewnością trap.

- Pomocy - dobiegł słaby okrzyk kilka metrów od samochodu. Uniósł latarkę.

Na ziemi, z nogą podgiętą pod spód, z raną na czole krwawiącą tak mocno, że krew zalewała mu oczy, leżał pasażer numer trzy. Ten, który do niego strzelał. John kucnął przy nim.

- Karetka już jedzie - powiedział. - Trzymaj się. - Dzieciak. Jakies szesnaście, siedemnaście lat. - Jak ci na imię?

- Travis.

- Travis, ktoś się tu zjawi lada chwila. Ja muszę się cofnąć i sprawdzić tych dwóch w samochodzie. - Upewnić się, czy kierowca naprawdę nie żyje.

- Czeka! - Chłopak nie chciał zostawać sam. - Jak z nimi? Są cali?

- Obaj są w dość kiepskim stanie.

- Nie żyją? - Travis podnosił głos. - Przecież nie umarli, prawda? John nie widział wielkiego sensu w okłamywaniu go.

- Obawiam się, że jeden z nich nie przeżył. Nie mam pewności co do kierowcy.

- Nie. My nie możemy umrzeć. Nikt z nas nie może umrzeć.

- Każdy kiedyś umiera.

- Niemy. My jesteśmy Nieśmiertelni. No tak. John słyszał o nich. Banda durnych dzieciaków udających wampiry.

- Po prostu leż tu i się nie ruszaj. Ktoś się zjawi lada sekunda.

- Nie! Ja muszę stąd iść. Muszę iść. Wszyscy musimy iść.

- Dokąd? Dokąd chcesz iść?

- Do Starej Tuoneli. Musimy zaraz iść do Starej Tuoneli. John miał już wyżej uszu Starej Tuoneli, Nowej Tuoneli i całego tego bagna. Ile razy wybierał się na jakiś zjazd pracowników służb mundurowych, kiedy tylko ludzie dowiadawali się, skąd jest, zaczynali stroić sobie żarty i nikt nie brał go poważnie. Nieraz myślał, żeby poszukać pracy gdzie indziej, w innym stanie, ale kiedy tylko poruszał ten temat, żona się denerwowała i mówiła, że nie chce zostawiać przyjaciół. Ale John uważał, że lepiej byłoby wynieść się teraz, zanim pojawią się dzieci.

- W Starej Tuoneli nic nie ma - rzekł. - Nic, tylko parę walących się domów.

- Mylisz się. Właśnie tam jechaliśmy.

- Na imprezę? Nieletni lubili tam imprezować, ale większość nastolatków bała się ST nawet za dnia, a co dopiero mówić o nocy.

Ranny dzieciak sięgnął ślepo ku niemu, więc John wziął go za rękę. Ciągle zerkał na jego zgiętą nogę; miał ochotę ją wyprostować, ale wiedział, że to zły pomysł. Wielokrotne złamanie, jak znał życie. Gdyby ją wyprostował, mógł przeciąć tętnicę.

Jego uszy wychwyciły słabe wycie syreny.

- Będzie jeszcze niejedna impreza - pocieszył dzieciaka.

- Nie, nie taka impreza. Nie taka - zaprotestował chłopak. -  
Najpierw wy... wykąpiemy się we krwi dziewicy. A potem zjemy  
serce wampira.

John puścił jego dłoń i wstał. Teraz widział już błyskające światła.  
O tak. Stanowczo powinien pomyśleć o przewodzce.



## Rozdział 40

Hachel, siedząca obok ojca w wozie patrolowym, pochyliła się do przodu i wyteżyła wzrok, wpatrując się w przednią szybę. Szukała wąskiej dróżki prowadzącej do Starej Tuoneli. Noc była wilgotna, wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach. Pasma mgły zalegały w rowach i czepiały się zarośli wzdłuż drogi.

Seymour połączył się z dyspozytorem i kazał mu sprawdzić, czy możliwe są jakieś posiłki, ale okazało się, że wszystkie jednostki są zajęte - część u Isobel, część na miejscu fatalnej kraksy.

- Jest - zawołała Rachel. - Skręć tutaj.

Seymour poprowadził samochód dróżką, która kiedyś była drogą. Przez lata błoto połknęło żwir, aż zostały tylko równoległe koleiny przedzielone pasem zielska, które drapało podwozie. Reflektory nie sięgały zbyt głęboko w las. Światło odbijało się od pni brzoź i topól, rozjaśniając wnętrze samochodu niespokojnymi błyskami.

Seymour skręcił w lewo, podjechał pod stromą górkę i zatrzymał się niedaleko głównego domu.

- Słyszałam, że tu urodził się Nieśmiertelny - poinformowała Rachel, gdy szli ścieżką z nierównych płyt poprzerastanych chwastami. Ojciec oświetlał drogę latarką.

- A ja słyszałem, że mieszkał tu człowiek, który zabił Nieśmiertelnego - odparł.

Tak to właśnie było. Tyle sprzecznych historii. Historii, które Evan chciał uporządkować. A zamiast tego sam stał się częścią folkloru.

Wspięli się po schodkach na rozłożystą werandę, otoczoną murkiem z tego samego kamienia co dom. Okap wspierały filary o szerokich podstawach, zwężające się ku górze.

Phillip Alba otworzył na ich pukanie. Twarz skrywał cień, z głębi padało światło rzucane przez sufitową lampę. Miał na sobie czarne spodnie, czarne półbuty i szarą, wełnianą kamizelkę na białej, eleganckiej koszuli.

Seymour przeprosił za późną wizytę. Alba otworzył szeroko siatkę

w drzwiach i weszli do środka.

Dom był kiedyś piękny, z ciemną stolarką i wysokimi sufitami. Teraz podłogę zaścielały kupy pokruszonego tynku, gdzieś ściany pokrywała poplamiona od wilgoci, kwiecista tapeta, miejscami wyłaziły gołe, drewniane listwy. Masywne schody prowadziły na łamany podest, z którego wychodził kolejny ciąg schodów. Okno na podeście zasłaniały deski.

Choć dom przetrwał kilka prowadzonych bez wielkiego zapału remontów, wydawał się martwy. To nie było dobre miejsce do mieszkania dla nikogo, a już szczególnie dla kogoś, kto niedawno przeżył tragedię.

- Szukamy Evana Strouda. Mamy podstawy sądzić, że udał się w tym kierunku.

- Słyszałem, że jest podejrzany o zamordowanie Chelsea Gerber.  
- Alba pokręcił smutno głową.

Prawdopodobnie znał Chelsea. Może nawet ją uczył.

- Widział go pan? - zapytał Seymour.

- Nie.

- A zauważył pan ostatnio w okolicy jakąś podejrzaną aktywność albo ludzi? Alba z namysłem zmarszczył brwi.

- Robi się ciepło. W weekendy czasem muszę przeganiać dzieciaki.

- Pozwoli pan, że rozejrzemy się w Starej Tuoneli? - spytał Seymour. - Tylko zerkniemy.

- Nie jest bezpiecznie chodzić tam w nocy. - Alba wetknął rękę w kieszenie kamizelki. - Teraz w ogóle trudno się tam przedrzeć. Ścieżki są zarośnięte.

- Byłam tu całkiem niedawno - przypomniała mu Rachel.

- Tutaj wszystko szybko rośnie. To pewnie kwestia ziemi. - Wzruszył ramionami. - Ale jeśli rzeczywiście chcecie iść... - Pokręcił głową, jakby uważał ich za wariatów.

- Poradzimy sobie - odparł Seymour. - Mam dwie mocne latarki. Alba stał chwilę, niezdecydowany.

- Lepiej pójdę z wami. Przynajmniej pokażę wam, którądy iść. Poczekajcie, zaraz wracam.

Przeszedł przez jadalnię i zniknął im z oczu. W kuchni zapaliło się

światło. Po chwili wrócił, ubrany w brązową kurtkę z głębokimi kieszeniami, z latarnią w dłoni. Półbuty zmienił na brązowe, skórzane traperki.

Cała trójka wyszła z domu i ruszyła w stronę lasu, który stał niczym czarna ściana na skraju polany.

- Zdaje się, że miał pan tu spory ruch - zauważył Seymour, idąc porządnie wydeptaną ścieżką.

- Szopy. - Alba uniósł latarnię wyżej. Z gałęzi drzewa błysnęły dwie pary oczu. - To miejsce się od nich roi.

Zdjął kłódkę i otworzył bramę, odsuwając się na bok, by przepuścić Seymoura i Rachel.

Rachel i jej ojciec ruszyli obok siebie, omiatając ziemię światłem latarek.

Ślady kół.

Skoro tak trudno dotrzeć do Starej Tuoneli pieszo, skąd wzięły się ślady samochodów?

- Kto tędy jeździł? - zdziwiła się Rachel. Alba zatrzymał się i popatrzył na koleiny.

- Nie wiem... bramę trzymam zamkniętą. Seymour kucnął.

- Są dosyć świeże.

- Dzisiejsze? - zapytała Rachel.

- Trudno powiedzieć.

Szli dalej, aż znaleźli się na cmentarzu ze spróchniałym dębem. Ziemia była poruszona.

Ktoś rozkopał nieoznakowany grób, pozostawiając pustą dziurę. Dookoła wałały się zgniłe, potrzaskane kawałki drewna.

- Więc jednak tu go pochowano - rzucił Seymour lekko przyciszonym głosem.

Rachel położyła rękę na ramieniu ojca, porozumiewając się z nim bez słów. Kto wiedział o dębie i możliwej lokalizacji ukrytego grobu? Seymour. Alba. Dan.

Evan.

Evan mógł być w tej chwili gdzieś blisko, z dziewczyną. Seymour widocznie pomyślał o tym samym. Rozpiął kaburę i wyciągnął pistolet.

I świat eksplodował.

Kilka kroków od nich rozległ się ogłuszający huk. Ojciec drgnął. Jego latarka uderzyła o ziemię i zgasła. Rachel usłyszała stłumiony okrzyk bólu i świst powietrza, wydychanego gwałtownie przez zaciśnięte zęby.

Nie rozumiała, co się dzieje.

Kolejny wystrzał.

Kolejne bolesne stęknienie ojca.

Poczuła dłoń na ramieniu; palce jak szpony. Pomyślała, że uczepił się jej, by nie upaść, ale nagle ją popchnął. Mocno. Huknęły kolejne strzały i nagle ziemia uciekła jej spod nóg.

Potoczyła się po stromym stoku, rozbijając latarkę o kamień. Próbując się zatrzymać, wyciągnęła na oślep ręce i gruchnęła o drzewo rosnące w połowie pochyłości. Zapało jej dech.

Po sekundzie zerwała się na nogi. W ciemnościach trudno było zachować równowagę, znaleźć oparcie dla stóp. Ześlizgiwała się, aż dotarła na płaskie dno. Wokół niej sypały się grudy ziemi i drobne kamienie.

- Rachel! - usłyszała krzyk z góry. Alba.

Snop światła z jego latarki tańczył po pniach drzew. Schyliła głowę i skuliła się, wciskając ciało w jamę wymytą przez wodę pod korzeniami drzewa. Promień poruszał się na prawo i lewo, jak szperacz przeciwlotniczy.

- Rachel! Jesteś cała? Wstrzymała oddech.

Gdzieś wysoko zaszeleściły liście.

Musiała zmobilizować całą siłę woli, by zostać na miejscu. Gdzieś poniżej usłyszała grzechot kamieni i zrozumiała, że stoi tuż nad urwiskiem.

Padło kilka strzałów. Strzelał tylko Alba, czy ojciec też zdołał wypalić z pistoletu?

Alba zsuwał się po zboczach. Gdy z trzaskiem łamanych gałęzi zjechał na dół, zapanowała cisza. Po chwili usłyszała, jak brnie przez liście w jej stronę.

Nie ruszyła się.

Minął ją. I szedł dalej; światło latarki zniknęło za zakrętem, odgłos kroków ucichł.

Rachel wylazła z jamy i szybko ruszyła pod górę, macając ziemię

w ciemności, czepiając się pni młodych drzewek, by wydostać się z wąwozu.

Gdy dotarła na górę, wyjęła z kieszeni klucze i wcisnęła guzik małej latarki, przyczepionej do breloczka.

- Tato? - szepnęła, omiatając ziemię pomarańczowym światełkiem, próbując zorientować się w swoim położeniu.

Zobaczyła ojca rozciągniętego na ziemi. Pod jego głową widniała kałuża krwi. Rozbiegały się od niej czerwone macki, pełznąc po ziemi i szukając zagłębień. Coś zimnego, metalowego dotknęło jej karku.

- Cześć, Rachel - rozległ się głos Alby.

## Rozdział 41

Van zjechał z asfaltowej szosy w krótką dróżkę, obsadzoną drzewami i krzewami, prowadzącą na pobliskie pole. Według mapy wyrwanej z atlasu pole graniczyło z ziemią Alby.

Zamierzał podjechać jak najbliżej, ale nie na tyle blisko, by jego przyjazd został zauważony. Pozostało mu około ośmiu godzin ciemności, ale miał nadzieję, że znajdzie Grahama na długo przed świtem.

Przemknęło mu przez głowę, czy nie pójść prosto do domu Alby, ale ten pewnie wezwałby policję, a Evan chciał uniknąć koncertu syren i najazdu gliniarzy.

Lepiej podkraść się i ocenić sytuację. Miał przy sobie komórkę. Mógł zadzwonić, gdyby potrzebował pomocy. Przechylił się na siedzeniu, otworzył schowek i wyjął latarkę. Wypróbował ją. Bateria była słaba. Wyłączył ją, schował do kieszeni i wysiadł z samochodu.

Okolicę porastał gęsty las poprzecinany stromymi, wąskimi dolinami. Niebo przysłaniały chmury, spomiędzy których wyglądały od czasu do czasu żółty sierp księżyc, Wielki Wóz i poświata Mlecznej Drogi. Choć Evan dość przyzwoicie widział w ciemnościach, nie można było tego porównać do widzenia za dnia. Ziemia wciąż uciekała mu spod nóg i musiał zwolnić kroku.

W pewnej chwili natknął się na zapadnięte ogrodzenie z drucianej siatki, zapewne wyznaczające granice terenu, będącego własnością Alby. Oparł rękę na czubku spróchniałego cedrowego słupka i przeskoczył górą, lądując pewnie na ziemi po drugiej stronie.

Stał przez chwilę, próbując zorientować się, gdzie jest. Nie było to łatwe. Spojrzał w górę. Księżyc i gwiazdy znów zniknęły. Miał dobre wyczucie kierunku, ale to przypominało nurkowanie w jaskini, kiedy czasem nie da się stwierdzić, gdzie jest góra i dół, a co dopiero północ czy południe.

Odtworzył w głowie mapę. Jeśli szedł we właściwym kierunku, powinien trafić na dolinę wyrzeźbioną przez mały dopływ rzeki Wisconsin.

Roślinność stała się gęsta i splątana; potykał się o winorośle chwytające go za kostki, drapał skórę o kolce dzikich róż.

O ile wiedział, żadna z części tej ziemi nie była uprawiana ani wykorzystywana jako pastwisko, a Alba nie wyglądał na typa, który miałby ochotę harować przy plewieniu jakiegoś pospolitego, a na dodatek sztucznie zasianego zielska.

Teren robił się coraz trudniejszy.

Dostrzegł coś kątem oka - czarny, ruchomy cień wielkości człowieka. Obrócił się w jego stronę.

Nic. Zamrugał.

Wciąż nic.

Szedł więc dalej, aż natrafił na stromy obryw i zatrzymał się w ostatniej chwili, zanim postawił krok w pustkę. Miał wrażenie, że tylko kilkanaście centymetrów ziemi i darni chroni go przed upadkiem do wąwozu.

Ostrożnie wycofał się z krawędzi - i zrozumiał, że się zgubił. Gdy tak stał, mając nadzieję, że chmury przejdą i księżyc wskaże mu kierunek, usłyszał strzały z broni palnej - kilka z rzędu, jeden po drugim.

Zawrócił i pobiegł w stronę dźwięku. Zszedł w rozpadlinę, przeskoczył strumień. Jego stopy wylądowały w bagnistej ziemi; z trudem wspiął się na przeciwległy brzeg, chwytając się drzewek, by podciągnąć się w górę. W końcu dotarł do płaskiego terenu i trawiastej dróżki. Zatrzymał się, i w tej chwili dopadła go fala smrodu.

Śmierć.

Zapach zgnilizny, którego nie dało się z niczym pomylić.

Graham?

Nagle poczuł się nieprawdopodobnie ciężki i słaby.

To może być martwe zwierzę.

To mógł być zdechły szop albo coś większego, może jelen. Zmusił się, by pójść w stronę odoru; jego stopy niechętnie przesuwają się po miękkiej, nierównej ziemi, szurając o zeschniętą trawę.

Nie szukał długo. Skrawek księżycy znów wyrzał zza chmur, oświetlając dwa białe ramiona wyciągnięte nad kłębem ciemnych włosów. Długich włosów.

Nie Graham.

Zapalił latarkę, zatkał ręką nos i podszedł bliżej. Natychmiast rozpoznał materiał ze zdjęcia. Lydia. Najprawdopodobniej została powieszona głową w dół i umarła tak, a potem zeszywniała z rękami wyciągniętymi ku ziemi.

W jego wnętrzu zaczęło wzbierać dziwne, niemal nierozpoznawalne uczucie.

Furia.

Nigdy nie lubił Lydii, ale... Jezu. I ktokolwiek to zrobił, miał teraz Grahama.

Poczuł coś na szyi - jakby ktoś przeciągnął palcem po jego kręgosłupie, od lędźwi aż do karku, i wyżej, po skórze głowy.

Przez większość życia słyszał ostrzeżenia, by trzymać się z daleka od Starej Tuoneli. W przeciwieństwie do szkolnych kolegów Evan nie przychodził tu dla dreszczyku.

Jego strach był głębszy. Nienazwany, wpisany w jego duszę przez mity i historie, które rozrastały się za każdym razem, gdy je opowiadano. To dlatego napisał książkę o Starej Tuoneli i o Nieśmiertelnym. By stawić czoła temu lękowi, by wyciągnąć go na światło dzienne i zbadać pod lupą.

Ale lęku nie da się zbadać. Kiedy skieruje się nań światło, ucieka i chowa się, zanim zdążysz się dobrze przyjrzeć. Evanowi został tylko mdlący niepokój, uczucie głęboko w trzewiach, że w tym miejscu kryje się coś, czego ludzie nigdy nie pojmą. W Starej Tuoneli czaiło się coś więcej niż tylko gnijące domy i opowieści.

Tu było zło.

Wiedział to od zawsze.

Zło, które narastało. Czekало na odpowiedni moment, odpowiednie okoliczności, odpowiednią osobę.

„Nie chodź tam”, powtarzał mu zawsze ojciec. „Nie wolno tam chodzić”.

Evan zgasił latarkę, wyprostował się, oddalając twarz od wzdętej, cuchnącej masy gnijącego mięsa, odwrócił się i ruszył w samo serce Starej Tuoneli.

Szybko zorientował się w swoim położeniu.

Jest stary cmentarz. Jest i kościół.



Ukryty za pniem drzewa wpatrywał się uważnie w budynek i jego wybite okna. Nie widział światła, nie słyszał żadnego dźwięku, który świadczyłby o ludzkiej obecności.

Ale i tu cuchnęło śmiercią.

Przywołał w pamięci zdjęcie, rozkład kościoła. Wyszedł zza pnia. Przygięty do ziemi posuwał się naprzód, ostrożnie stawiając stopy.

Chodnik z potrzaskanych płyt prowadził do drzwi spuchniętych od deszczu, których nie dało się już otworzyć ani zamknąć. Budowla stała się częścią przyrody, jakby wykiełkowała z ziemi, by uschnąć i umrzeć jak jednoroczna roślina. Teraz wracała do ziemi.

Evan stał w wąskiej szparze, nasłuchując jakiegokolwiek dźwięku, który nie byłby naturalny. Czuł zapach próchna i gnijących roślin. Czuł szlak, który pozostawiła po sobie Lydia.

I krew. Dość świeżą krew.

Usłyszał coś.

Jakby gwałtownie chwycony oddech.

Wyczuwał strach.

Czekał.

I znów.

Ktoś był w kościele. Ktoś, kto też nasłuchiwał. Ktoś, kto się bał.

Wyjął latarkę, po czym sięgnął pod płaszcz, po cichu, powoli odpinając kaburę. Wyjął glocka i ustawił go w jednej linii z latarką. Jednym sprawnym półobrotem wsunął się do kościoła, zapalając latarkę.

Spojrzały na niego dwie pary przerażonych oczu.

Potrzebował chwili, by zrozumieć, co widzi.

Wyglądało to niemal, jakby przeszkodził w jakiejś dziwacznej schadzce. Ale gdy jego mózg poprzekładał fragmenty układanki, dostrzegł, że ta dwójka jest skuta ze sobą łańcuchem. Trwało jeszcze dłużej, zanim w obszarpanym, chudym chłopaku z zakrwawioną twarzą rozpoznał Grahama.

Teraz to on spazmatycznie chwycił powietrze, nie wierząc własnym oczom.

Drugą osobą była Isobel Fry.

Graham uniósł rękę i osłonił oczy przed światłem. Evan opuścił latarkę i schował pistolet z powrotem do kabury. Zapominając o

ostrożności, pobiegł po potrząskanej podłodze i rzucił się ku ofiarom.

Isobel wrzasnęła.

Graham zatkał jej usta ręką.

- Cofnij się - rzucił do Evana.

- To ja. - Evan nie bardzo wiedział, jak się przedstawić.

- Evan?- Latarka słabła szybko, światło stawało się pomarańczowe. - Ona mówiła, że przyjdiesz. Mówiła, że już idziesz.

- Kto?

- Lydia. Evan zmarszczył brwi.

- Lydia nie żyje.

- Nie. Nie, nieprawda. Wygląda jak martwa, ale żyje. Była tu. Rozmawiała ze mną.

Umysł Grahama nie wytrzymał. Wchłonął coś, czego nie potrafił znieść, i przetworzył to w coś innego. Chłopak pewnie widział, jak mordują Lydię, a potem wisiała tu i gniła na jego oczach. Kto by nie zwariował w takich okolicznościach?

- Myślę, że możesz zdjąć rękę z ust Isobel.

- Będziesz cicho? - zapytał ją Graham. Skinęła głową. Graham powoli zabrał rękę.

- On jest jednym z nich! - krzyknęła dziewczyna. - Pił moją... Graham znów zatkał jej usta.

- Nie jestem jednym z nich. Ona tylko tak myśli.

Isobel wydała dźwięk protestu i gwałtownie pokręciła głową. Latarka zgasła.

- Świece - rzucił w ciemności Graham. - Na pierwszej ławce. Evan zapalił dwie, używając zapalek, które znalazł obok.

Wróciwszy do Grahama i Isobel, obmacał łańcuch.

- Alba ma klucz - wyjaśnił Graham.

- Alba?

- Tak.

Nie było czasu zastanawiać się nad tym.

Łańcuch spinała kłódka, wcale nie jakaś szczególnie mocna. Evan mógł spróbować owinąć czymś pistolet, by stłumić dźwięk, i przestrzelić ją albo zwyczajnie rozbić czymś twardym.

Wybiegł na dwór, wbił palce w ziemię i wyciągnął dwa na wpół schowane w darni kamienie chodnika. Zaniósł je do środka. Jeden kamień podłożył pod kłódkę.

- Odwróćcie twarze. - Uniósł drugi kamień i z całych sił trzasnął nim w kłódkę.

Sypnęły się iskry, ale kłódka pozostała nietknięta. - Jeszcze raz. - Uderzył powtórnie. Za trzecim razem kłódka się rozpadła.

Odplątał łańcuch z ich ciał i rzucił na podłogę obok brudnego materaca. Isobel z trudem, sztywno podniosła się na nogi, rozcierając ramiona.

- Mówię panu, że on jest jednym z nich. Graham zdołał się jakoś podnieść, utrzymując ciężar ciała na jednej nodze.

- Jesteś ranny? - Evan przysunął świeczkę.

- Pułapka na zwierzęta. Evan zagapił się na nogę, czując narastającą, mdlącą zgrozę.

- On jest jednym z nich - powtórzyła Isobel. Obaj spojrzeli na nią. Evan otworzył usta, by powiedzieć, że Graham nie może być w to zamieszany, kiedy jakiś dźwięk kazał im obrócić głowy w stronę drzwi. W wejściu stał Phillip Alba z pistoletem w dłoni.

## Rozdział 42

Graham chwiał się na nogach i mrugał półprzytomnymi oczami, patrząc na to, co działo się przed nim.

Alba stał w drzwiach kościoła, twarzą do Evana. Evan sięgnął pod połę płaszcza.

Nagle gęsta ciemność kościoła eksplodowała światłem tak jasnym, że Graham przestał cokolwiek widzieć. Uniósł rękę, by osłonić się od jaskrawego blasku.

- Graham! Uciekaj!

Evan padł na kolana, jakby dostał kulkę. Alba trzymał w dłoni akumulatorową latarkę, jasną jak słońce.

Graham widział to już kiedyś. Było zupełnie jak wtedy, kiedy Evan wybiegł za nim z domu i padł pod ciosami słońca.

Nie wiedząc, czy Graham usłyszał go za pierwszym razem, Evan odwrócił się i krzyknął jeszcze raz.

Teraz Graham dojrzał jego poruszające się usta, jego twarz, z wyrazem cierpienia i ponaglenia.

Uciekaj!

Rozkaz wyrwał Grahama z transu.

Obrócił się na zdrowej nodze, złapał Isobel za rękę i pognał do okna. Z początku mu się opierała, ale widocznie zrozumiała, że z dwojga złego lepiej już być z nim.

Graham wypchnął ją przez otwór i zanurkował za nią; w tej samej chwili huknęła szybka seria strzałów, z okiennej ramy posypały się drzazgi. Gruchnął o ziemię pod oknem. Piekielny ból przeszył jego kostkę. Zaparło mu dech, ból ogłupił go na chwilę.

- Chodź. - Isobel ciągnęła go za ubranie, ponaglając, by wstał. Przysunęła się do niego i podtrzymała go rękaw pasie.

Pobiegli.

Bok przy boku przedzierali się z trzaskiem przez splątany gąszcz krzaków i pnączy. Graham nie mógł myśleć z bólu. Jak przez mgłę zdawał sobie sprawę, że Isobel prowadzi go, nagląc do biegu. Nie

miał pojęcia, jak daleko dotarli, nim padli na ziemię. Graham przeturlał się na plecy, z zamkniętymi oczami, zaciśniętymi wargami, obejmując zgięte kolano. Z trudem łapał powietrze obolałymi płucami.

Jego noga zgniła. Był o tym przekonany. Zgniła, i jeśli on przeżyje to wszystko, trzeba będzie ją amputować. W ciemnościach czyjeś ręce złapały go za ramiona i potrząsnęły bardzo mocno.

- Ty świrze - szepnęła ochryple Isobel tuż przy jego twarzy. Cholera, jemu od pada noga, a idiotka na niego krzyczy. Czy nie czuła smrodu gnijącego ciała?

Trzasnęła go w twarz.

Roześmiał się bez tchu. Co było śmiesznego wbiciu po twarzy? Widocznie majaczył.

- Piłeś moją krew.

- Przepraszam.

Pchnęła go. Ale niezbyt mocno. W końcu padła na jego pierś i zaczęła się trząść. Czyżby płakała? Tak mu się zdawało.

Objął ją ramieniem. Żałował, że nie może zrobić więcej. Chciał objąć ją obiema rękami. Chciał ją pocałować. Ale cuchnął i był tak słaby, że nie mógł unieść głowy. A poza tym miał do zrobienia coś innego, co nie dotyczyło ich bezpośrednio. Coś bardzo ważnego...

Pomyślał, że chyba zasnęli, bo między chwilą, kiedy ją objął, i chwilą, kiedy się odsunęła, była jakby czarna dziura.

- Niedobrze mi - wymamrotała. - Porzygam się... Kiedy zniknęła, wciąż czuł kształt jej ciała na sobie. Usłyszał, jak wymiotuje. Biedna mała. Otworzył oczy.

Gwiazdy.

I księżyc. Księżyc jak z kreskówki, naprawdę wielki... Naprawdę bardzo blisko.

To było całkiem miłe. Leżeć sobie pod gwiazdami z Isobel.

Chciał powiedzieć to na głos, ale zdaje się, że mu nie wyszło. Od jak dawna nie mówił? Tak naprawdę, ustami?

Isobel poruszała się gdzieś niedaleko.

Wrzasnęła.

Potem nastąpiła seria dziwnych, spanikowanych dźwięków.

Potrzebowała pomocy.

Muszę pomóc Isobel.

Przeturlał się na bok, potem na ręce i kolana. Usłyszał głośny szelest; nagle wpadła na niego, przewracając go.

- Boże. - Przyłgnęła do niego. - Trup. Potknęłam się o trupa.

To właśnie to czuł. Lydię. Czającą się w krzakach. Nie siebie. Nie swoją nogę.

Fuj.

Lydię, która wisiała na belce, gdy podrzynali jej gardło i zbierali krew do wiadra.

Co przypomniało mu o tej ważnej sprawie, która męczyła go od jakiegoś czasu. Evan był w tarapatkach. Evan potrzebował pomocy.

## Rozdział 43

*Kap, kap, kap.*

Powtarzający się dźwięk mówił do Rachel. Ostrzegał, ale i zapraszał, zachęcając ją, by zapadła się głębiej w nieświadomość. Przypominał, że trzeba podjąć decyzję. Obudzić się... albo zasnąć. Na zawsze.

Słodkie, miękkie, uwodzicielskie szeptki. Dołącz do nas. Zostań z nami. Tyle pomieszanych głosów. Dobiegających z wnętrza jej głowy i spoza niej. Nie ma się czego bać. Dlaczego zawsze tak się bała? Nie rozumiała. Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją.

Otworzyła oczy, by spojrzeć ostatni raz.

Mroczny pokój. Migoczące świece. Była naga. W metalowej wannie. Fizyczny dyskomfort został gdzieś poza nią, nie czuła zimna. Uniosła rękę i z dystansem niezaangażowanego obserwatora patrzyła, jak krew ścieka po jej przedramieniu i kapie z łokcia na podłogę, z regularnym „plask”.

A więc stąd ten dźwięk.

Interesujące.

Spróbowała wciągnąć rękę do wanny, ale nie mogła. Nie miała już władzy nad własnym ciałem. Ręka opadła, palce dotknęły podłogi.

Evan walczył ze słabością, przyginającą go do ziemi. Spojrzał na Albę, który siedział po turecku kilka metrów dalej, z dłońmi na potężnej, diodowej latarce, z akumulatorem opartym o kolano. Światło skierował tak, by nie padało na twarz Evana. Skonfiskowany glock i komórka leżały na podłodze.

- Może i oszukałeś większość mieszkańców Tuoneli, ale nie mnie.  
- Alba machnął latarką, kierując światło na Evana.

Ultrafioletowy blask trafił w jego źrenice, zanim zdążył unieść rękę i osłonić oczy. Zalała go kolejna fala mdłości i osłabienia.

- Miło, że istnieje choroba, która pasuje do twoich objawów. - Przy słowie „objawów” Alba wolną ręką narysował w powietrzu

cudzysłów, po czym odsunął światło, kierując je na podłogę. - Ciekawe, ilu ludzi posłużyło się nią wcześniej.

- Dajże spokój, Alba. - Evan przełknął ślinę i próbował usiąść. Może jeśli będzie udawał słabszego, niż jest, Alba da się oszukać i straci czujność.

- Twoja teoria to nic nowego - powiedział słabym głosem. - Wszyscy rodzice w mieście od urodzenia straszą mną dzieci. „Idź spać, bo jak nie, to Stroud cię złapie”. „Jedz śniadanie, jeśli nie chcesz, żeby Stroud przyszedł”.

- Ale czy naprawdę w to wierzą? Nie sądzę. A ja tak. - Alba pokiwał głową. - Ja wierzę.

- Okej, więc jestem wampirem. I co z tego? Ja nie morduję ludzi. - Spojrzał na belki pod sufitem. - Nie wiem ich za pięty i nie wytaczam z nich krwi. Wszyscy mamy potrzeby, pragnienia. Każdy nosi w sobie demona. Ale musimy się uczyć nad nim panować.

- Niby czemu?

Evan nie wiedział, jak to rozegrać. Próbować przemówić facetowi do rozumu?

Przyklasnąć? Zgodzić się z nim? Grał na zwłokę w nadziei, że Graham i Isobel sprowadzą pomoc.

- Dlaczego chcesz zdobyć nieśmiertelność? - zapytał.

- Ty jesteś ekspertem w tej dziedzinie. Myślę, że już to wiesz. Najlepiej będzie wciągnąć go w rozmowę. I czekać, aż przestanie być czujny.

- Domyślam się, że to ty wykopałeś Manchestera - powiedział. - Chciałeś jego serca. Może już jesteś nieśmiertelny.

- Jego serca nie było tam, gdzie powinno być. Więc Rachel miała rację.

- Złożyłem wizytę pewnemu staruszkowi, którego ojciec chował Manchestera - ciągnął Alba. - Ktoś inny dotarł tam przede mną. Człowiek o nazwisku Stroud.

Evan zmarszczył brwi. W okolicy nie było innych Stroudów poza jego rodziną.

- Zgadza się. - Alba odczytał jego myśli. - Twój ojciec. Niemożliwe. Ojciec zawsze stanowczo zabraniał mu chodzić do Starej Tuoneli. Nie chciał mieć z tym miejscem nic wspólnego. Ciało



Richarda Manchesterera nie było mu do niczego potrzebne.

- Nie wiedziałeś o tym, co? - zapytał Alba.

- Wygadujesz bzdury.

- Byłeś chory. Umierający. A możliwość wiecznego życia leżała w zasięgu ręki.

- Mój ojciec nie zrobiłby czegoś takiego. To najbardziej pragmatyczny człowiek na świecie. Na litość boską, robi zakupy u Searsa. Gra w golfa.

- Gdybyś miał szansę uratowania synowi życia, nawet gdyby lekarstwo było niepewne, nie zrobiłbyś tego?

Evan przyłożył dłoń do piersi, w miejscu, gdzie biło niespokojnie jego serce, i wyobraził sobie, jak jego ojciec wykopuje Nieśmiertelnego. To niedorzeczne.

- Zrobił wywar z serca, a ty go wypijeś.

Kiedy Evan leżał ciężko chory, oślepiiony bólem głowy, kiedy nie mógł chodzić, rodzice namawiali go do jedzenia i picia różnych niezwykłych rzeczy. Nigdy nie pytał, co to było ani skąd się wzięło.

Herbata.

Jego mózg wzdragał się przed tą myślą, z całych sił starał się jej zaprzeczyć. Puszka zawierała zmielone serce Richarda Manchesterera.

Serce Nieśmiertelnego.

Mimo to walczył z faktami, które nagle zaczęły się układać w aż nazbyt jasną całość. Nawet jeśli jego ojciec rzeczywiście obrabował grób Nieśmiertelnego, nawet jeśli ukradł serce i przynajmniej jego część podstępem wmusił w Evana, to było wszystko. Wielu ludzi wierzy szarlatanom, mając nadzieję wyleczyć się z raka. Dla jego ojca serce szaleńca było tym, czym dla innych wężowa maść. A jednak Evan nie zdołał przekonać samego siebie własnymi argumentami. Stał się inny, od kiedy zaczął pić herbatę ze starej puszki. Odmieniony. Nie całkowicie, ale przechodził transformację.

Czy naprawdę mógł być po części człowiekiem, po części wampirem? Nieśmiertelnym?

Nie.

Tak.

A to oznaczało, że stał się obiektem pożądania.

- Ty chcesz mojego serca.

Alba jakby zapomniał, że nie są kumplami, a Evan nie należy do grona ludzi, których udało mu się oczarować. Rozluźnił się. Zaczął gestykulować jedną ręką, przemawiając. Evan nie był już wrogiem, ale publicznością.

- Nie zamierzam się usprawiedliwiać, ale tak miało być. Właśnie dlatego trafi łem tutaj, do Starej Tuoneli. - Odwrócił wzrok i uśmiechnął się do własnych wizji.

Evan zadziałał z szybkością błyskawicy. Machnął nogą i kopnął latarkę, posyłając ją na drugi koniec pomieszczenia i rozbijając szkło. W świetle świec rzucił się na Albę i przewrócił go na plecy.

Musiał unieszkodliwić go szybko, zanim braknie mu sił. W ułamku sekundy chwycił jego pistolet. Alba wytrącił mu go z ręki. Broń szurnęła po podłodze i zniknęła w szparze między połamanymi deskami. Alba na czworakach rzucił się za nią.

Evan schylił się po swojego glocka, podniósł go i obrócił się z powrotem. Alba gorączkowo szukał broni w głębokiej dziurze.

- Wstawaj - wrzasnął Evan.

Alba powoli, z ociąganiem, wyjął rękę spomiędzy desek i się podniósł. Celując w niego z pistoletu, Evan rozejrzał się po sali i dostrzegł linę, którą prawdopodobnie przywiązana była Lydia. Zrobił węzeł z pętlą.

- Stań tam. - Ruchem głowy wskazał grubo ciosany, drewniany filar. Alba oparł się plecami o słup. Uśmiechał się. Dlaczego on się tak uśmiecha?

Nie spuszczać go z muszki, Evan użył wolnej ręki, by skrępować jego nadgarstki za filarem. Mocno zacisnął linę.

Dłonie Alby oblepiała zaschnięta krew.

Czyja?

Evan wsunął pistolet do kabury, dokończył wiązania liny, po czym odszukał komórkę i wybrał 911.

- Potrzebuję policji i karetki - rzucił. Powiedział dyspozytorowi, kim jest i gdzie się znajduje. W końcu rozłączył się i spojrzał na Albę. - Do rana będziesz w areszcie. - Teraz musiał odnaleźć Grahama, uspokoić go, że karetka jest w drodze.

- Zostawiłem dla ciebie niespodziankę w moim domu. - Alba nie

przestawał się uśmiechać.

Nowa fala zgrozy ścisnęła żołądek Evana. Pomyślał o krwi na rękach tego człowieka.

- O czym ty mówisz?

- Nie mogę ci zdradzić. Bo wtedy to nie będzie niespodzianka, prawda? Musisz tam pójść i zobaczyć.

Rachel.

Alba nagle stał się nieważny. Evan niemal o nim zapomniał. Potykając się, wypadł z kościoła. Biegiem przeciął cmentarz i zahaczył stopą o coś ciężkiego i miękkiego. Padł na kolana.

Ciało.

Zaczął macać na ślepo, dotykając ubrania i odznaki, czując lekkość krwi. Jego palce dotknęły szyi. Nie wyczuł pulsu.

Wyprostował się, wiedząc, że musi się spieszyć, przeskoczył niski, kamienny mur i pognał dróżką. Dostrzegł dom Alby pomiędzy drzewami. Brama była zamknięta na łańcuch i kłódkę. Wspiął się po żelaznych kątownikach i zeskoczył na ziemię.

Wbiegł po stopniach od frontu i przekręcił gałkę, rzucając się ramieniem na drzwi.

Zamknięte.

Rozejrzał się, chwycił krzesło z werandy i rozwalił nim okno. Nogami krzesła tłukł szkło, aż dziura stała się na tyle duża, by mógł przez nią przejść.

W domu płonęły świece.

Krew na podłodze. Krew na ścianach.

Szlak białych świec, kapiących na podłogę, pachnących woskiem, prowadził na piętro.

Pognał po schodach, przeskakując po trzy stopnie. Płomyki świec gasły, gdy je mijał; ścieżka przed nim była jasna, za nim - ciemna.

- Rachel!

Wiedział, że to Rachel jest niespodzianką. Rachel, która uratowała mu życie więcej niż jeden raz. Która dla niego ryzykowała. Rachel, którą kochał, i która nigdy nie będzie jego.

Dotarł na półpiętro i pędem pokonał resztę schodów. Z górnego podestu wchodziło się do trzech pomieszczeń. Świece prowadziły do tego z prawej. Serce Evana tłukło się szaleńczo, gdy podążając za

płomieniami, wszedł do wielkiego, przestronnego pokoju. Płomyki świec odbijały się w drewnianej podłodze. Przez duże okna wpadało światło księżyca.

W pokoju nie było mebli. Tylko wanna. Staromodna, cynkowana wanna, jak ta na zdjęciu, które kupił na wyprzedaży.

Na środku pustego pokoju, w wannie, leżała kobieta. Twarz miała odwróconą, jedna ręka zwisała z brzegu wanny, kałuża krwi zebrała się na podłodze pod koniuszkami jej palców.

- Nie!

Ruszył przed siebie i z rozpędem padł na kolana. Podniósł bezwładną rękę.

Nadgarstek był przecięty długim, głębokim cięciem. Odwrócił jej twarz w swoją stronę. Rachel. Sine wargi. Skóra jak marmur.

To nie mogło się dzieć naprawdę.

Trzęsącą się gwałtownie dłonią dotknął jej twarzy.

- Nie możesz umrzeć.

Otoczył ją ramionami, uniósł jej ciało z krwawej wody i przytulił. Szloch wyrwał się z głębi jego piersi - głośny, bolesny krzyk rozpacz.

Gdy tak trzymał ją w objęciach, usłyszał szmer powietrza wychodzącego z płuc. Odsunął się, przyłożył ucho do jej ust... i wychwycił słaby oddech.

Kolejny dźwięk wdarł się w ciszę. Dźwięk należący do świata. Wyjąca syrena, wspinająca się serpentyną po zboczach wzgórz, coraz bliżej i bliżej.

Evan zdjął płaszcz, oddał z podszewki dwa pasy i zabandażował nadgarstki Rachel. Potem otulił ją płaszczem, wyciągnął z wanny i zaniósł na dół, przed dom.

Światła podskoczyły, kiedy karetka zatrzymała się gwałtownie, nie podjeżdżając do Evana.

Bali się go.

Bokiem, odwracając oczy, wszedł ze snopu światła.

- Chodźcie tu! - Szedł, trzymając Rachel w ramionach. Z karetki wysiadło dwóch ludzi i zbliżyło się ostrożnie.

- Żyje, ale potrzebuje transfuzji. Macie ze sobą krew?

- Plazmę.

Wsadzili ją do karetki. Jeden z sanitariuszy podłączył kroplówkę. Evan nie mógł zrobić nic więcej.

Przynajmniej tu.

Odwrócił się i pobiegł - z powrotem do Starej Tuoneli, z powrotem do Phillipa Alby.

Jego siły wracały, rosły z sekundy na sekundę, podsycane furia, której nie potrafił opanować. Nie wiedział, jak dotarł z trawnika przed domem Alby do kościoła. Wpadł do środka, przeleciał przez salę. Rozwiązał faceta dwoma szybkimi szarpnięciami. Złapał go za kurtkę, rzucił nim o podłogę i zaczął okładać pięściami po twarzy, raz za razem, przerywając tylko po to, by ocenić szkody, zanim zatłucze go na śmierć.

- Nie wiem, co cię tak zdenerwowało. - Alba otarł zakrwawiony nos. Spojrzał na palce. - Kiedy ludzie umierają w Starej Tuoneli, nie są tak naprawdę martwi.

Nie czujesz ich wokół nas? Nawet zwierząt?

To była prawda. Evan wyczuwał ich obecność. Wszystkich zmarłych, zabitych przez Nieśmiertelnego. I młodszych. Dziewczyny... Dziewczyny, która zaginęła w Summit Lake.

- Kiedy ja zabiję ciebie - powiedział - to zapewniam cię, że będziesz martwy.

- Obiema rękami podciągnął Albę do pionu.

W tej chwili Alba sięgnął do odsłoniętej kabury Evana i wyszarpnął glocka.

Evan miał to gdzieś. Zamachnął się.

Alba odskoczył i pociągnął za spust.

Evan poczuł pieczenie w barku. Zatoczył się dwa kroki do tyłu i znów ruszył na Albę. Kolejny strzał nie zdołał go powstrzymać.

- Tak się nie da zabić wampira. Powinieneś to wiedzieć.

Alba pozbierał się z podłogi i wybiegł za drzwi, w ciemność. Evan rzucił się za nim.

Na dworze, bez światła świec, Evan miał przewagę. Nie tylko słyszał Albę przedzierającego się przez poszycie; widział sukinsyna.

Słyszał swój własny chrapliwy oddech. Coś mokrego i lepkiego płynęło mu po ręce, ale furia rozsadzająca głowę nie zelżała. Przeciwnie, katowanie Alby i pościg rozpały ją jeszcze bardziej.

Miał ochotę zabić tego gnoja gołymi rękami, ale zadowoliliby się też patrzeniem, jak zdycha w dowolny inny sposób.

Alba skręcił między zrujnowane budynki, od czasu do czasu odwracając się, by strzelić w jego stronę.

Ptaki wyśpiewywały ostrzeżenie przed nadchodzącym świtem.

Alba zanurkował w drzwi wysokiej, ceglanej budowli o dziwnym kształcie na drugim końcu miasta. Budynek chylił się na jedną stronę i wyglądał, jakby miał go przewrócić najlżejszy wietrzyk, zostawiając tylko kupę gruzu.

Stary młyn.

Evan deptał mu po piętach. W budynku widział lepiej, ale tamten znał rozkład pomieszczeń.

W oddali słyhać było kolejne syreny.

Zapędził Albę na piętro i ścigał go dalej po skrzypiącej podłodze. Gdzieś po drodze, nie przerywając pościgu, chwycił kawał strzaskanej deski.

Alba wdrapał się jak pająk po drabinie zamocowanej do ściany. Evan ruszył za nim.

Tamten już czekał na górze. Kopnął go w skroń. Evan upuścił swój prowizoryczny miecz, złapał gnoja za nogę i pociągnął. Alba rozciągnął się na deskach.

Evan pokonał ostatnie szczeble drabiny i rzucił się na Albę. Potoczyli się po podłodze; Evan nie mógł wyprowadzić porządnego ciosu.

Nagle Alba znalazł się na nim - i Evan poczuł zimną lufę swojego glocka, przyciśniętą do skroni.

*Klik, klik, klik.*

Pusty.

Evan roześmiał się.

Obaj zerwali się na nogi. Alba zamachnął się; kolba pistoletu spadła na czaszkę Evana.

Krzyknął z bólu i cofnął się o krok.

Podłoga ugięła się i załamała pod nim. W chmurze pyłu i szczątków poleciał tyłem przez powietrze i gruchnął na podłogę daleko w dole.

Przytomność powoli wracała i Evan zdał sobie sprawę, że leży na

plecach, z jedną ręką uwięzioną pod ciałem. Ból nie pozwalał mu chwycić głębszego oddechu.

Przez szpary wpadały smugi słabego światła. Kłęby kurzu łagodnie płynęły w górę.

Słyszac hurgot, odwrócił głowę i ujrzał Albę przedzierającego się w jego stronę przez gruz. Coś połyskiwało w jego zakrwawionej dłoni.

W pierwszej chwili Evan pomyślał, że to pusty glock, ale przedmiot był zbyt błyszczący.

## Rozdział 44

Jlraham kazał Isobel pozostać w ukryciu, a sam pozbierał się z ziemi i zaczął iść. Było ciemno, a on wciąż zapominał, dokąd zmierza. Kiedy już przypominał sobie, że wraca do kościoła, nie miał pojęcia, czy posuwa się we właściwym kierunku.

Przynajmniej księżyc wyszedł zza chmur.

Chociaż, z drugiej strony, światło wcale nie pomagało – bo na ścieżce przed nim pojawiła się Lydia. Nie wisiła już do góry nogami, ale jej twarz gniła, a w oczodołach roiły się larwy. Graham cofnął się o krok i zakrył twarz dłonią. Próbował oddychać przez nos, ale wtedy zaczął się dławić.

- Przepraszam – wymamrotał zza dłoni. Nie chciał być niegrzeczny, ale... Jak babcię kocham!

- Którędy do kościoła? – zapytał.

- Zaprowadzą cię. Nie bardzo wiedział, jak mogła mówić, bo jej usta były wielką, ziejącą dziurą, ale radziła sobie całkiem dobrze. Ruszyła prosto pod górę, w kierunku, który wydawał się absolutnie niewłaściwy. Kiedy nie poszedł za nią, zatrzymała się i czekała.

Przedtem miała rację, więc może teraz też.

Graham westchnął ciężko. Jego noga nie bolała już tak bardzo, ale była spuchnięta i ciężka. Nie chciał na nią patrzeć. Mogła wyglądać jak twarz Lydii.

Chwycił pień drzewa i zaparł się, by zacząć wspinaczkę.

- Prowadź – powiedział do matki.

- Do kogo ty mówisz? Odwrócił się i zobaczył Isobel.

- Nie możesz iść.

- Mogę robić, co mi się podoba. Do kogo mówiłeś? – powtórzyła pytanie.

Spojrzał przed siebie, ale Lydii nie było. Nic dziwnego. Na pewno by nie chciała, żeby zobaczyła ją taka młoda dziewczyna jak Isobel.

- Nie mów jej o mnie.

Wcale nie zamierzał. Isobel pomyślałaby, że sfiksował. Miał gorączkę. Był odwodniony. Podobno ludzie na pustyni dostają



halucynacji właśnie z powodu odwodnienia. Odwodnienie naprawdę pieprzyło człowiekowi w głowie.

Nigdy nie brał kwasu, ale to mogło wyglądać podobnie. Nie było nieprzyjemne. Trochę takie poszerzenie umysłu.

- Znałem gościa, który często brał kwasu, i miał dziury w mózgu.  
- Graham odsunął na bok sporą gałąź i przytrzymał ją by nie odskoczyła i nie uderzyła Isobel w twarz.

- O czym ty mówisz?

- Nie pamiętam, jak się nazywał, ale mówił i robił wszystko jakby ze spóźnionym zapłonem. Jakby jego myśli musiały omijać te dziury.

Przestał gadać, by skupić się na wspinaczce. Gdy znalazł się na szczycie wzgórza, dostrzegł znajomą scenerię i zatrzymał się jak wryty. Isobel wpadła mu na plecy.

- Kościół - szepnęła przez ramię.

Lydia miała rację. Kierunek, w którym poszedł, wydawał się niewłaściwy, a jednak byli na miejscu. Widział trawiastą przecinkę, którą biegła niegdyś droga. Widział szczyt kościelnego dachu i resztki zawalonej dzwonnicy, rysujące się na tle aksamitnego nieba.

Ni stąd, ni zowąd panika ścisnęła mu żołądek. Co oni tu robią? Nie chciał tu być. Potem sobie przypomniał. Evan potrzebował pomocy.

No tak.

Poczuł Isobel tuż za sobą, potem jej palcer ściskające jego dłoń.

- Ty chyba tam nie wracasz, co? - szepnęła.

- Muszę.

Wszędzie cisza. Nie słyszał i nie widział niczego ani nikogo. Ale widział przecież Lydię: kogoś, kto nie powinien chodzić po świecie.

- Czekaj tutaj. Isobel mocniej ścisnęła jego dłoń.

- Nie idź tam. Przyjedzie policja. Poczekaj na nich.

- Nie wiemy tego. Na razie nikt się nie zjawił. Siedziałem tu parę dni, i nikt się nie zjawił. Będę uważał.

Wysunął dłoń z jej palców. Przykucnięty, starając się nie ciągnąć nogi po ziemi, żeby nie robić hałasu, ruszył w stronę kościoła. Przekuśtykał przez pustą przestrzeń, która kiedyś była drogą, i zniknął w głębokiej, szeleszczącej trawie i drapiących krzakach. Umiał się skradać. Często to robił, kiedy mieszkał w Arizonie.

Wykładał się w nocy z domu, a potem zakradał z powrotem.

Na kolanach podszedł do okna i zajrzał do środka. Jedna mała świeca skwierczała na podłodze; wysoki płomień tańczył dziko, choć Graham nie czuł ani śladu wiatru. Podniósł się powoli, jednocześnie dokładnie oglądając wnętrze.

Nie było żywej duszy.

I co teraz, Lydia?

Padł na niego cień.

Przez sekundę, nim odwrócił oczy, zdawało mu się, że znów widzi matkę bujającą się na belce. A może cały czas tam wisiała? Kiedy spojrział jeszcze raz, już jej nie było. Złudzenie w świetle świecy?

Wyteżał słuch, ale jego głowę wypełniał ryk, jak we wnętrzu muszli, i niemal niemożliwe było odróżnienie tego, co na zewnątrz, od tego, co w środku.

Dopóki nie usłyszał strzałów.

Był raczej pewny, że nie rozległy się w jego głowie.

## Rozdział 45

Graham usłyszał strzał, który dobiegał z drugiego końca miasta. Pokuśtykał w tamtym kierunku. Starał się nie myśleć o swojej nodze, ale nie zdołał odpędzić wizji buta wypełnionego gnijącym mięsem. Jakiegoś okrągłego kikuta, który wyglądał bardziej jak kawał szynki niż jak stopa.

Zatrzymał się przed skupiskiem zrujnowanych budynków - i usłyszał kolejny dźwięk, dochodzący z głębi wysokiej, ceglanej budowli. Ciągnąc nogę za sobą, ruszył dalej tak szybko, jak mógł. Kiedy dotarł do zarośniętego dzikim winem, pustego otworu drzwi, zajrzał przez płataninę łodyżek i liści, i zobaczył Evana rozciągniętego na podłodze.

Był ranny. Poważnie ranny.

Nad nim stał Alba z nożem w dłoni.

Graham rozejrzał się za czymś - czymkolwiek - co nadawałoby się na broń. Dostrzegł kawałek drewna, wąski na jednym końcu i szerszy na drugim.

Podniósł go.

- Skoro chcesz być wampirem, to zdychaj jak wampir! - Zaszarżował, wydając z siebie straszny dźwięk, na wpół wrzask, na wpół ryk wściekłości, którym chciał oszukać siebie samego, że zdoła zrobić to, co konieczne.

W ostatniej chwili Alba odwrócił się, by stawić czoło nowemu wrogowi. Drewniany palik przeszył ścianę klatki piersiowej i serce, zatrzymując się na kości. Alba nie umarł natychmiast, jak w telewizji czy w kinie. To by było o wiele lepsze - gdyby po prostu zamknął oczy i padł na podłogę. Ale nie, facet gapił się na Grahama ze zdumieniem i niedowierzaniem. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć. Ale zamiast słów wylały się z nich hausty krwi i czegoś, co wyglądało jak surowa wątróbka.

Jego serce? Czy to było jego serce?

Czy człowiek może żyć po tym, jak jego serce zostało rozniesione

na strzepy? Najwyraźniej tak. Przynajmniej przez chwilę.

Czas się zatrzymał.

Uszy Grahama zaczęły robić coś dziwnego, niemal jakby się zamykały.

Po prostu się wyłączył.

Spoko, robił to już nieraz. Wiedział, gdzie ma wyłącznik.

Ostatnia fala krwi, i Alba zgiął się, jakby kości nagle zniknęły z jego ciała.

Graham próbował zamknąć oczy, ale nie mógł. Zresztą pewnie i tak by nie pomogło. I tak widziałby twarz Alby, przerażenie w jego oczach, oskarżenie i zaskoczenie.

Nie ty. Ty byś mnie nie zabił. Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał.

- G-Graham? Zamknij oczy.

Evan mówił do niego, próbował ściągnąć jego uwagę, ale on nie chciał się w tej chwili zajmować Evanem.

Właśnie zabił człowieka.

Zatoczył się do tyłu, wreszcie odrywając oczy od Alby i jego zdumionej, zaskoczonej twarzy. Spojrzał na Evana. Widział, że ojciec rozumie zgrozę, którą on, Graham, czuł w sobie, i to sprawiało, że wszystko wydało się jeszcze gorsze, jeszcze bardziej rzeczywiste.

Nie chciał już być Grahamem. Nie chciał tkwić w jego skórze.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał Evan. Każde słowo wypowiadał z wysił

kiem. Jakby nie mógł oddychać.

Ale jego trud nie przydał się na nic. Nie złagodził desperacji Grahama. Zabił człowieka. Miał szesnaście lat i zabił człowieka. Co za chory film. Usłyszał hałas i spojrział przez ramię. W drzwiach stała Isobel na tle nieba, które jaśniało z sekundy na sekundę.

- Idź stąd! - krzyknął, machając rękami.

- Wyjdź!

- Nie chciał, żeby zobaczyła, co zrobił.

Wyły syreny, i to gdzieś całkiem blisko. Przysięgłby, że się z niego nabijają. Isobel wyciągnęła do niego rękę.

- Chodź na dwór - poprosiła cicho. - Chodź ze mną na dwór.

Potykając się, ruszył do drzwi, a kiedy był przy niej, wziął ją w ramiona i przy cisnął mocno, przytulił do siebie, trzęsąc się i szlochając jak dziecko.

## Rozdział 46

Graham i Isobel siedzieli na kocu w Parku Miejskim. Cały dzień było gorąco, ale przyszedł już wieczór i powietrze stygło.

Isobel bez słowa wyciągnęła rękę ze zwiniętymi placami, jakby trzymała w nich kubek. Graham wsunął jej w dłoń koktajl mleczny, który kupili w Brzoskwince. Dziewczyna wetknęła słomkę do ust, pociągnęła łyk i oddała napój Grahamowi.

- To będzie naprawdę super.

Czekali na imprezę, która nazywała się Nieme Kino. Zespół - prawdziwy zespół! - zatrzymał się w Tuoneli w drodze z Minneapolis do Madison. Kuzynka Isobel знаła basistę i poprosiła ich, żeby zagraли. Wszyscy byli w szoku, że się zgodzili, ale z drugiej strony, kto by odrzucił propozycję noclegu w mieście wampirów?

W czasie koncertu na ekranie miały lecieć Światła wielkiego miasta Charliego Chaplina. Zapowiadało się odjazdowo.

Isobel miała na sobie czarną koszulkę na ramiączkach i spódnicę w kwiatki. Z czarnych sandałów wyglądały paznokcie pomalowane na liliowo.

Graham uwielbiał jej skórę, zapach. Czasem przychodziło mu do głowy, że chyba nawet ją kocha, co potwornie go przerażało. I co było naprawdę dziwne, bo nigdy się nawet nie całowali.

Większość ludzi zmienia się, w miarę, jak się ich poznaje. Isobel pozostawała Isobel. Była dokładnie tą samą osobą, co tamtego dnia, kiedy wzięła go do auta, gdy uciekał od Evana. Była prawdziwa.

Równie zastanawiające było to, że nie wydawała się szczególnie przejęta tym, co zaszło w Starej Tuoneli. Potrafiła zostawić to za sobą, podczas gdy Graham szamotał się z tym co dzień. I co noc.

Miał złe sny. Czasami widywał Lydię. Budząc się, widział ją siedzącą przy łóżku i dostawał świra ze strachu.

„W Starej Tuoneli zmarli nigdy nie są naprawdę martwi”.

Wierzył w to. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że wierzy, ale wierzył.

Zespół się rozstawiał, wyładowując sprzęt z białej furgonetki. Przychodziło coraz więcej ludzi, większość z kocami, niektórzy z koszami piknikowymi.

Graham dopił koktajl i położył się, oparty na łokciach.

- Można by prawie udawać, że to normalne miasto. Jego noga przetrwała.

I całe szczęście, bo była porządnie zainfekowana, i długo leżał pod kroplówkami z antybiotykiem. I chodził do psychiatry. Nie do szkolnej psycholożki; do kogoś innego. Do gościa, którego nawet polubił, chociaż wcale nie chciał. Ten człowiek pomagał mu, ale były rzeczy, których Graham nie powiedziałby nikomu, nawet psychiatrze. Na przykład to, że widuje Lydię. Zamknęliby go, gdyby komukolwiek o tym wspomniał.

Kiedy Lydia przychodziła do jego pokoju, budził go smród gnijącego ciała. Dlaczego myślał o niej teraz? Dlaczego wciąż wtrącała się w jego prawdziwe życie?

Zmień kanał. Po prostu zmień kanał.

Nie potrafił przestać o niej myśleć. Była jego przewodnikiem, tam, w ST. Nie wyszedłby z tego żywy, gdyby nie ona. Może nikt z nich nie wyszedłby żywy. Teraz nie wiedział już, czy była takim potworem, jak zawsze uważał. Może chciał myśleć o niej gorzej, niż zasługiwała. Może musiał nienawidzić, żeby brak miłości nie bolał tak bardzo.

Ojciec Evana wracał z Florydy. Okazało się, że tęsknił za Tuonelą, a Evan z jakiegoś powodu uznał, że dobrze będzie mieć pod ręką drugiego dorosłego. Fajnie. Graham lubił starszych ludzi. Straszna szkoda, że komendant Burton zginął. Graham go lubił. No i teraz Rachel była smutna. Słyszał, że może wyjedzie z miasta. Ale musiał przestać o tym myśleć. Miał przed sobą całe życie. A Isobel leżała tuż obok, na kocu.

Przyszli razem na koncert w parku. Powinien się czuć szczęśliwy. I czuł się szczęśliwy.

- Naprawdę tak nie podobała ci się ta płyta, którą ci dałem? - wypalił jednym tchem.

Rany. W końcu to powiedział. Próbował od wielu dni, zbierał się powoli, jak wtedy, kiedy wreszcie zdobył się na odwagę, żeby

skoczyć z wysokiej trampoliny. Ale teraz to pytanie, które dręczyło go od tak dawna, po prostu wyskoczyło z jego ust bez żadnego wysiłku.

- A jak myślisz? - Leżała na brzuchu, głaszcząc dłonią trawę na brzegu koca.

- Nie wiem. Jeśli naprawdę płyta jej się nie podobała, to czy mógł ją dalej lubić? Boże, ależ to płytkie. A może nie aż tak? Kiedy się coś kocha, a osoba, na której ci zależy, nie cierpi tego czegoś, to nie jest dobrze.

Isobel odwróciła się na plecy i uśmiechnęła do niego, kręcąc w palcach źdźbło trawy.

- Nie wierzę, że mnie nie przejrzałeś. Słuchałam tej płyty co wieczór, kiedy kładłam się spać. I ciągle słucham.

Kiwnął głową, starając się nie uśmiechnąć.

- Aha.

Zespół ustawiał dźwięk, a chłopak za projektorem sprawdzał, czy wszystko jest jak należy. Graham poczuł się lepiej.

- A szydełkowałeś kiedyś? - zapytał. - Bo tak sobie myślałem, że chętnie nauczyłbym się szydełkować.



## Rozdział 47

Evan wypadł z domu i popędził w dół po ciemnym, stromym zboczu. Jeszcze nie do końca wylizał się z ran, ale poruszał się szybko, schylając głowę pod niskimi gałęziami i ślizgając się po miękkiej, błotnistej ziemi.

Kiedy dotarł na płaski teren, ruszył długim krokiem. Wzdłuż urwiska, potem na dół, przez tory, i dalej, brzegiem rzeki. Z nabrzeża wspiął się po zniszczonych schodach, przez labirynt winorośli i zwisających gałęzi, ciężkich od rosy i letnich liści, aż do ulicy, przy której mieszkała Rachel.

Spojrzał w górę i zobaczył słabe światło w oknach wieżyczki.

Zamknął oczy i wciągnął powietrze w płuca. Poczował słodki zapach jej skóry i aromat szaławii. Oczami duszy zobaczył ją, leżącą w cynkowanej wannie. Tak bliską śmierci.

Musiał z nią porozmawiać, ale im więcej czasu mijało, tym było mu trudniej. Niedługo to przestanie mieć znaczenie. Niedługo ona go znienawidzi.

Wspiął się na wzgórze, do kostnicy.

Rachel wytoczyła trumnę na wózku z prosektorium, przewiozła ją korytarzem i ustawiła koło drzwi.

Brakowało jej ojca. Czasami wszystko jej się mieszało i zapominała, że tato nie żyje. Były chwile, kiedy słyszała jego głos, i chwile, kiedy wydawało jej się, że go widzi. Ledwie przebłysk uchwycony kątem oka. Ale kiedy się odwracała, nie było go.

Chciała, żeby był. Duch. Iluzja. Zadowoliliby się czymkolwiek.

Victoria jak na razie się nie pojawiała. A w miarę upływu czasu Rachel uświadamiała sobie, że tak naprawdę to nie był duch, ale przecucie, ostrzeżenie, którego ona nie umiała odczytać.

Wkładała wiele wysiłku w przekonanie rady miejskiej, że powinno się odkupić Starą Tuonele, zrównać z ziemią budynki, porządnie ogrodzić teren i pozwolić naturze załatwić resztę. Rada niemal zgodziła się na ten plan, ale okazało się, że jakaś nieznana osoba

wykupiła teren od rodziny Alby, zanim miasto zdążyło złożyć ofertę.

Kto mógł chcieć kupić to miasto?

Travis przyznał się, że on i paru innych chłopaków włamali się do domu Evana, szukając czegoś, co udowodniłoby raz na zawsze, że jest wampirem. Mieli nadzieję znaleźć samego Evana leżącego w trumnie w piwnicy. Chcieli ukraść jego serce. Kiedy nie zastali go w domu, zabrali przedmioty osobiste, na których było jego DNA. Ciało Chelsea Gerber przewozili w bagażniku samochodu Craiga Johnsona, gdzie miało kontakt z DNA Evana.

Kristin March przypomniała sobie wreszcie, jak została „uratowana” przed Evanem przez Albę i Nieśmiertelnych. Zabrali ją do ST, gdzie pewnie by umarła, gdyby nie uciekła. Nie zdecydowano jeszcze o dalszym losie Trávisa, ale wiele osób miało nadzieję, że będzie sądzony jak pełnoletni. Travis przyznał również, że w całym tym bagnie tkwił także Dan, asystent Rachel. Ciało kobiety zaginionej w Summit Lake znaleziono wciśnięte do jamy w Starej Tuoneli. Wyglądało na to, że była pierwszą ofiarą Alby.

Ktoś zapukał do drzwi dostawczych. Otworzywszy je, Rachel ujrzała Evana stojącego w progu. Wszedł do środka, pachnący nocnym powietrzem – wilgocią i rozmiękłą ziemią. Rozpiął płaszcz i wsadził ręce do kieszeni.

Od wydarzeń w Starej Tuoneli spotkała go tylko dwa razy. Wiedziała, że znalazł ją w domu Alby, ale pamiętała wszystko jak przez mgłę. Od tamtej pory nie rozmawiali ze sobą; wyraził jej tylko swoje współczucie z powodu śmierci ojca.

Świadomie zachowywał dystans.

- Mój tato wraca do domu. Pomoże mi zająć się Grahamem.

- To miło.

- Tęskni za Tuonelą.

Rachel pomyślała o tamtej nocy, kiedy twarz mumii zmieniła się w twarz Evana.

- Chcesz się pożegnać z Richardem Manchesterem? - Otworzyła wieko trumny,

odsłaniając szczątki Nieśmiertelnego. - Trochę szkoda, że nie mogę znaleźć apaszki, nie sądzisz?

Długo dyskutowano, co zrobić z Nieśmiertelnym. Niektórzy

mieszkańcy uważali, że powinien zostać ponownie pochowany w Starej Tuoneli, że jego wydobyć z grobu uwolniło złe moce. Inni sądzili, że powinno się go wystawić w miejscowym muzeum. Zamiast odwracać się od historii, mieszkańcy zdawali się gotowi przyjąć swoje niesamowite dziedzictwo, szczególnie jeśli to oznaczało turystów i pieniądze. Rachel już to widziała. Naleśnikarnia U Nieśmiertelnego. Cukiernia U Nieśmiertelnego.

Sławy i milionerzy oferowali zawrotne sumy za z mumifikowane szczątki potwora, który mordował kobiety i dzieci jak bydłota.

Czyją własnością był trup? O tym musieli zdecydować. W normalnych okolicznościach należałby do rodziny, ale Manchester był przodkiem połowy miasta. Do czasu osiągnięcia porozumienia i podjęcia decyzji Nieśmiertelny miał zostać przechowany w utajnionym miejscu.

- Nie podoba mi się, że wychodzi stąd bez apaszki. - Rachel uniosła oczy w nadziei, że Evan przyzna się do jej zabrania.

Jego twarz była popielata.

- Evan? - W tej chwili zrozumiała nareszcie, że jej własna tęsknota za Tuonelą w dużej mierze nie miała nic wspólnego z miastem.

Wszyscy mamy tajemnice, nawet przed samymi sobą. Przycisnął długie, blade palce do skroni.

- Muszę iść.

- Powinieneś usiąść. Za bardzo się forsujesz. Jeszcze na to sporo za wcześnie.

Ona też nie doszła całkiem do siebie. Po utracie ogromnej ilości krwi była słaba, anemiczna. Zasypiała w najdziwniejszych momentach i budziła się zdezorientowana dziwacznymi snami.

Zawrócił na pięcie.

- Muszę iść.

Zamknęła wieko trumny, żalując, że posłużyła się tak naiwnym chwytem, by pociągnąć go za język.

- Zawiozę cię.

- Dam sobie radę. Zniknął, łopocząc połami płaszcza. Dopadła do drzwi w porę, by dostrzec jego ciemną, samotną postać idącą ulicą i znikającą pod gałęziami.

Alba był złym człowiekiem, ale czy zabijałby, gdyby nie bliskość ziemi, przeklętej i naznaczonej horrorem z przeszłości? I czy te nowe morderstwa, tak podobne do dawnych, obudziły zło?

Nigdy nie mieli poznać odpowiedzi. Na takie pytania po prostu nie było odpowiedzi. Ale Rachel uważała, że ludzie nie powinni wiedzieć, co stanie się z nimi po śmierci. Śmierć powinna pozostać tajemnicą. Drzwi do tamtego świata, czymkolwiek był, powinny pozostać zamknięte.

Zawsze próbowała sobie wmawiać, że historie o Starej Tuoneli miały źródło w ignorancji i przesądach. Teraz mogła wreszcie przyjąć prawdę: Stara Tuonela była miejscem, gdzie nie powinien chodzić żaden człowiek.

Evan skierował się za miasto. Jechał za szybko, tak pogrążony w myślach, że nie pamiętał, jak pokonał trasę. Znalazł się na zarośniętej drodze; światła samochodu wydobyły z mroku tablicę „na sprzedaż”. Wysiadł z auta, zdjął tablicę i rzucił ją na bok. Wyjął z kieszeni płaszcza starą puszkę, zdjął wieczko i przyjrzał się reszcie zawartości.

Pił herbatę z serca wampira. Nie był pewien, co właściwie z nim zrobiła, ale wiedział, że nie jest już do końca człowiekiem, i że teraz żyje w nim część Nieśmiertelnego.

Nikt nie mógł odkryć jego tajemnicy. A przede wszystkim Rachel i Graham.

Odłożył puszkę, wyjął apaszkę z herbem i zawiązał sobie na szyi. A potem z rękami w kieszeniach płaszcza, ruszył drogą do Starej Tuoneli, krainy zmarłych.

KONIEC (Cz. I)